

ANDREW LANE



MŁODY  
SHERLOCK  
HOLMES

wydawnictwo  
ab

CZERWONA PIJAWKA

Andrew Lane

Młody Sherlock Holmes  
Czerwona pijawka

Przełożyła Dominika Cieśla-Szymańska



Tytuł oryginału: Young Sherlock Holmes. The Red Leech

Copyright © 2010 Andrew Lane

The original edition was published by Macmillan Children's Books, London

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2012

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2012

Wydanie I

Warszawa 2012

## Spis treści

Dedykacja

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Posłowie](#)

[Przypisy](#)

Dedykuję trzem nauczycielkom, które przez lata uczyły mnie pisania: Sylvii Clark, Eve Wilson i Iris Cannon, a także pisarzom, których książki były dla mnie niczym podręczniki – Stephenowi Gallagherowi, Timowi Powersowi, Jonathanowi Carrollowi i Davidowi Morrellowi.

Wyrazy wdzięczności zechcą przyjąć: Marc i Cat Dimmockowie, za dodawanie mi otuchy; Stella White, Michelle Fry, Scott Fraser, A. Kinson, Chris Chalk, Susan Belcher, L.M. Cowan, L. Hay, Stuart Bentley, Mandy Nolan, D.J. Mann i wszyscy inni, którzy napisali recenzje pierwszej książki o młodym Sherlocku dla Amazona dokładnie wtedy, kiedy potrzebowałem wsparcia jako pisarz, a także Dominic Kingston i Joanne Owen z wydawnictwa Macmillan, za to, że tak wspaniale się mną opiekowali.

Bardzo Wam wszystkim dziękuję.

## PROLOG

Kiedy James Hillager po raz pierwszy zobaczył gigantyczną pijawkę, myślał, że ma halucynacje.

W dżungli na Borneo było gorąco i wilgotno niczym w tureckiej łaźni. Ubranie miał zupełnie przemoczone, a wilgoć w powietrzu powodowała, że pot nie parował: kapał mu z palców i nosa albo spływał po ciele, gromadząc się tam, gdzie tkanina dotykała skóry. W butach miał tyle wody, że chlupotała przy każdym kroku. Jeśli tak dalej pójdzie, materiał przegnije w ciągu kilku tygodni. Nigdy jeszcze nie czuł się tak udręczony i nieszczęśliwy jak teraz.

Od upału kręciło mu się w głowie, z tych właśnie powodów – i dlatego, że był odwodniony i od wielu dni marnie się odżywiał – pomyślał, że ma zwidy. Od pewnego czasu w koronach drzew słyszał jakieś głosy: szepczące głosy, które rozmawiały o nim, naigrawając się z niego. Część jego umysłu mówiła mu, że to tylko szelest wiatru w listowiu, ale inna część miała ochotę wrzasnąć do nich, żeby się zamknęły. A potem je zastrzelić, jeśli nie posłuchają.

Widział już wcześniej zwierzęta, które wprawiały go w osłupienie. Może były rzeczywiste, a może też były zwidami. Widział małpy o wielkich bulwiastych nosach, żaby wielkości kciuka, w kolorze jaskrawopomarańczowym, czerwonym albo niebieskim, coś, co wyglądało dokładnie jak dorosły słoń, tyle że sięgało mu do ramion, i podobne do świni stworzenie o ciemnej sierści i długim, spiczastym, elastycznym pysku. Ile spośród nich było prawdziwych, a ile stanowiło wytwór jego rozgorączkowanego umysłu?

Obok niego Will Gimson zatrzymał się i pochylił, z rękami na kolanach, biorąc wielkie hausty wilgotnego powietrza.

– Muszę stanąć na minutkę – wydyszał. – Ledwo idę.

Hillager wykorzystał to, żeby otrzeć czoło chusteczką, i tak bardziej mokną niż jego twarz. Może ma halucynacje, ponieważ dopadła go jakaś tropikalna gorączka. W tych lasach na Borneo szerzyły się dziwne choroby. Słyszał o ludziach, którzy tygodniami błakali się po dżungli, a gdy wracali, wrzody pokrywały ich twarze albo ciało dosłownie odchodziło od kości.

Rozejrzał się nerwowo. Nawet te drzewa zdawały się z niego kpić. Z ich poskręcanych i sękatych pni wyrastały, niczym pasożyty, mniejsze rośliny

i pnącza. Rosły tak gęsto, że przesłaniały niebo, a na dół dochodziło tylko rozproszone, zielonkawe światło.

Mimo gorąca dygotał. Nie byłoby go w tym strasznym miejscu, gdyby nie to, że swojego pracodawcy bał się jeszcze bardziej.

– Wracajmy już. – Nie chciał tu być ani chwili dłużej. Pragnął tylko dostać się z powrotem do portu, załadować klatki ze schwytanymi zwierzętami i wrócić do cywilizacji. – To nie tutaj. Złapaliśmy już dość zwierząt, żeby go zadowolić. On nawet nie zauważy.

– Zauważy ani chybi – odparł Gimson ponuro. – Zależy mu właśnie na tym jednym stworzeniu.

Hillager już miał zacząć się z nim sprzeczać, kiedy Gimson dodał:

– Czeka! Chyba je widzę!

Hillager podszedł do kolegi. Ten wciąż stał pochylony, ale patrzył na korzenie jednego z drzew.

– Spójrz – powiedział, wskazując ręką.

Hillager podążył wzrokiem za jego palcem. Tam, w sadzawce między dwoma korzeniami, znajdowało się coś, co wyglądało jak wielki czerwony skrzep krwi rozmiaru jego dłoni. Połyskiwało w słabym świetle słońca.

– Jesteś pewien? – zapytał.

– Duke twierdził, że to tak właśnie będzie wyglądać. Dokładnie tak.

– Więc co robimy?

Zamiast odpowiedzieć, Gimson wyciągnął rękę i ujął to coś w palce. Podniósł. Zwisало bezwładnie. Hillager patrzył zafascynowany.

– Tak – oznajmił Gimson, odwracając to i przyglądając się bacznie. – Zobacz: tu jest otwór gębowy albo przyssawka, czy jak to się tam zwie. Trzy zęby umieszczone na krawędzi. Na drugim końcu też ma przyssawkę. Właśnie tak się trzyma – przyczepia się oboma końcami.

– I wysysa krew – dodał posępnie Hillager.

– I wysysa krew każdego zwierzęcia, które przechodzi na tyle wolno, że zdąży się przyczepić – wyjaśnił Gimson. – Te małe słonie, te stworzenia ze spiczastym pyskiem podobne do tapira – cokolwiek.

Pijawka tymczasem na ich oczach zmieniała kształt, robiła się coraz cieńsza i dłuższa. Kiedy Gimson ją podniósł, była niemal okrągła, ale teraz przypominała raczej grubą dżdżownicę. Wciąż zaciskał palce na mniej więcej jednej trzeciej długości od głowy – jeśli kawałek z otworem gębowym można nazwać głową.



– Co on z nimi robi? – zapytał Hillager. – Dlaczego wysyła po nie ludzi tak daleko?

– Mówi, że słyszy, jak wołają do niego – odparł Gimson. – A jeśli chodzi o to, co z nimi robi – naprawdę wołałbyś nie wiedzieć. – Pochylił się nad stworzeniem, by przyjrzeć mu się uważnie. Pijawka wiała się na oślep w jego stronę, czując w pobliżu ciepłą krew.

– Chyba jest głodna.

– Skąd wiesz?

– Szuka czegoś, do czego mogłaby się przyssać.

– Może powinniśmy ją zostawić? – zaproponował Hillager. – I poszukać jutro innej?

Miał nadzieję, że Gimson się nie zgodzi, bo naprawdę nie chciał być ani chwili dłużej w tej dżungli.

– To pierwsza, jaką widzieliśmy od tygodni – przypomniał mu Gimson. – Nie wiadomo, kiedy znajdziemy następną. Nie, musimy wziąć tę. Musimy dowieźć ją do domu.

– Ale czy przeżyje podróż?

Gimson wzruszył ramionami.

– Pewnie tak – jeśli ją przedtem nakarmimy.

– Okej. – Hillager się rozejrzał. – Co proponujesz? Małpę? Jedno z tych stworzeń podobnych do świni?

Gimson nie odpowiedział.

Hillager odwrócił się i zobaczył, że towarzysz wpatruje się w niego z osobliwym wyrazem twarzy. Jego mina wyrażała współczucie, ale głównie niesmak.

– Proponuję – oświadczył Gimson – żebyś podwinął rękaw.

– Oszalałeś? – wyszeptał Hillager.

– Nie, ja jestem tropicielem i przewodnikiem – wyjaśnił Gimson. – A ty myślałeś, że jaką rolę odgrywasz w tej ekspedycji? No już, podwijaj. To paskudztwo potrzebuje krwi, i to szybko.

Wiedząc, jak zareagowałby Duke, gdyby się dowiedział, że pozwolił pijawce umrzeć, zamiast ją nakarmić, Hillager zaczął powoli podwijać rękaw.

## ROZDZIAŁ 1



– Myślałeś kiedyś o mrówkach? – zapytał Amyus Crowe.

Sherlock potrząsnął głową.

– Poza tym, że na piknikach oblażą kanapki z dżemem, chyba nigdy się nad nimi nie zastanawiałem.

Spacerowali obaj po wiejskiej okolicy w hrabstwie Surrey. Żar słońca ciążył na karku Sherlocka jak cegła. W powietrzu unosił się niemal obezwładniający aromat kwiatów i świeżo skoszonej trawy.

Wzdrygnął się, gdy pszczoła zabrzęczała mu przy uchu. Nie miał specjalnie określonego stosunku do mrówek, ale pszczoły wciąż go przerażały.

Crowe roześmiał się.

– Co jest z tymi Brytyjkami i kanapkami z dżemem? – zapytał, wciąż się śmiejąc. – Przysięgam, że w żadnym innym kraju nie ma takiej kuchni jak dla niemowlaków. Puddingi na parze, kanapki z dżemem – z okrojoną skórką, oczywiście – i warzywa gotowane tak długo, że zmieniają się w papkę prawie bez smaku. Jedzenie, do którego nie potrzeba zębów.

Sherlock poczuł ukłucie irytacji.

– A co jest takiego wspaniałego w amerykańskim jedzeniu? – zapytał, zmieniając pozycję na murze, na którym siedział. Przed nim teren opadał w stronę rzeki płynącej w oddali.

– Steki – odparł krótko Crowe.

Opierał się o mur, który sięgał mu do piersi. Kwadratowy podbródek ułożył na skrzyżowanych ramionach, a szerokoskrzydły kapelusz chronił jego oczy przed słońcem. Jak zwykle miał na sobie jasny lniany garnitur.

– Wielkie steki pieczone nad ogniem. Porządnie upieczone, tak żeby były chrupiące z brzegu, a nie tylko przesunięte nad świecą, jak u Francuzów. I nie zalane jakimś śmietanowym sosem z brandy, co także

robią Francuzi. Nie trzeba wielkiej filozofii, żeby właściwie przyrzadzić i podać stek, więc dlaczego nikt poza Stanami nie potrafi tego zrobić? – westchnął, a dobry humor, którym wcześniej wręcz tryskał, nagle wyparował, odsłaniając nieoczekiwanie głęboki smutek.

– Tęskni pan za Ameryką? – zapytał Sherlock.

– Za długo już mnie tam nie ma. I wiem, że Virginii też brakuje starego kraju.

Sherlock miał przed oczami obraz córki Crowe'a, Virginii, która jedzie na swoim ogierze Sandii, a jej miedziane włosy płyną za nią jak płomień.

– Kiedy chce pan wrócić? – zapytał z nadzieją, że nie nastąpi to zbyt szybko. Przywiązał się do nich obojga. Cieszył się, że pojawili się w jego życiu, od kiedy musiał zamieszkać u stryjostwa.

– Gdy moja praca tutaj się zakończy. – Szeroki uśmiech przeciął pobrużdżoną, wysmaganą wiatrem twarz Crowe'a, mężczyzna od razu odzyskał humor. – I kiedy uznam, że spełniłem obowiązek wobec twojego brata i nauczyłem cię wszystkiego, co wiem. A teraz porozmawiajmy o mrówkach.

Sherlock westchnął, zgadzając się na kolejną spontaniczną lekcję. Wysoki Amerykanin potrafił wybrać sobie dowolny element otoczenia, czy to na dworze, w mieście, czy w czyimś domu, i wykorzystać go jako pretekst do postawienia pytania, problemu albo zagadki logicznej. Zaczynało to Sherlocka irytować.

Crowe wyprostował się i obejrzał za siebie.

– Chyba gdzieś tu widziałem te stworzonka – oznajmił, podchodząc do kopczyka suchej ziemi, spiętrzonego niczym miniaturowe wzgórze na podłożu porośniętym trawą. Sherlock nie dał się nabrać. Crowe zapewne zauważył mrówki, kiedy tu szli, i zapamiętał jako materiał do następnej lekcji.

Chłopiec zeskoczył z muru i podszedł do miejsca, gdzie stał Crowe.

– Mrowisko – powiedział bez zapału. Małe czarne owady kręciły się bez celu wokół kopczyka ziemi.

– Istotnie. Widoczny dowód na to, że pod spodem jest całe mnóstwo tunelików, które te stworzonka cierpliwie wykopały. Gdzieś w głębi na pewno można znaleźć tysiące białych jajeczek, zniesionych przez królową mrówek, która spędza życie pod ziemią, nigdy nie widząc światła.

Crowe pochylił się i skinął na Sherlocka, żeby także spojrział.

– Przyjrzyj się, jak one chodzą – polecił. – Co jest w tym zastanawiającego?

Sherlock obserwował je przez chwilę. Każda mrówka szła w inną stronę, a wszystkie wydawały się bez widocznej przyczyny co chwilę zmieniać kierunek.

– Poruszają się przypadkowo – stwierdził. – Albo reagują na coś, czego nie widzimy.

– Raczej to pierwsze wyjaśnienie – powiedział Crowe. – Nazywa się to krokiem pijaka i to dobry sposób, żeby szybko sprawdzić teren, jeśli się czegoś szuka. Większość ludzi przeszukujących jakiś obszar będzie chodzić po linii prostej, przecinając go w różnych kierunkach, albo podzieli go na kwadraty i będzie je po kolei sprawdzać. Te techniki zazwyczaj odnoszą skutek, ale szanse na znalezienie czegoś szybko rosną, jeśli przeszukuje się teren w taki przypadkowy sposób. Mówi się na to „krok pijaka”, bo tak chodzi człowiek opity whisky: nogi sobie, a głowa sobie. – Sięgnął do kieszeni marynarki i coś z niej wyjął. – Ale wracając do mrówek, popatrz tylko, co robią, kiedy znajdą coś interesującego.

Pokazał Sherlockowi, co trzyma w ręku. Był to gliniany garnczek przykryty woskowanym papierem obwiązany sznurkiem.

– Miód – wyjaśnił, zanim chłopiec zdążył zapytać. – Kupiłem na targu. – Zdjął sznurek i papier. – Przepraszam, jeśli budzi niemiłe wspomnienia.

– Proszę się nie martwić – powiedział Sherlock. Schylił się i ukląkł obok Crowe'a. – Czy mogę zapytać, dlaczego chodzi pan ze słoikiem miodu w kieszeni?

– Nigdy nie wiadomo, co się może przydać – oświadczył z uśmiechem Crowe. – Albo może zaplanowałem to wszystko z wyprzedzeniem. Sam zdecyduj.

Sherlock tylko się uśmiechnął i potrząsnął głową.

– Miód to głównie cukier, ale też całe mnóstwo innych składników – ciągnął Crowe. – Mrówki uwielbiają cukier. Zanoszą go do gniazda, żeby nakarmić królową i larwy, wylęgające się z jajek.

Crowe zanurzył palec w miodzie, który, jak zauważył Sherlock, w gorącym porannym słońcu zrobił się płynny. Mężczyzna nabrał wielką, błyszczącą kroplę i pozwolił jej spaść. Wylądowała na kępie trawy i zawisała na chwilę, żdźbła przygięły się aż do ziemi i leżały tam jak lśniąca splątane pasma.

– Zobaczmy teraz, co zrobią.

Sherlock przyglądał się, jak mrówki nadal chodzą tu i tam, niektóre wspinały się na źdźbła trawy i przez moment zwisały z nich głową w dół, a inne buszowały wśród grudek ziemi. Po chwili jedna z mrówek natknęła się na smużkę miodu. Zatrzymała się w pół drogi. Najpierw Sherlock myślał, że się przylepiła, ale ona przeszła wzdłuż smugi, następnie z powrotem, i pochyliła łeppek, jakby piła.

– Zbiera tyle, ile może unieść – powiedział Crowe swobodnie. – Teraz pójdzie do mrowiska.

I rzeczywiście, mrówka zaczęła wracać po własnych śladach, ale zamiast zmierzać prosto do mrowiska, nadal chodziła w tę i z powrotem. Trwało to kilka minut i Sherlock niemal ją zgubił kilka razy, kiedy przechodziła przez ścieżkę innej grupy mrówek, ale w końcu dotarła do kopczyka ziemi i znikła w otworze.

– I co teraz? – zapytał Sherlock.

– Spójrz na miód – odparł Crowe.

Miód zdążyło już odkryć dziesięć, może piętnaście mrówek, i wszystkie go próbowały. Dołączały do nich następne, a niektóre z kolei odchodziły i zmierzały mniej więcej w kierunku mrowiska.

– Co zauważyłeś? – zapytał Crowe.

Sherlock pochylił głowę, żeby się przyjrzeć.

– Dotarcie do mrowiska wyraźnie zajmuje im coraz mniej czasu – rzekł z namysłem.

Po kilku minutach utworzyły się dwa równoległe rzędkie mrówek chodzących między miodem a mrowiskiem. Zamiast krążenia na oślep pojawił się ruch w wybranym kierunku.

– Dobrze – powiedział z aprobatą Crowe. – Teraz zrobmy mały eksperyment.

Sięgnął do kieszeni i wydobyl kawałek papieru wielkości swojej dłoni. Położył go na ziemi w połowie drogi między mrowiskiem a miodem. Mrówki przeszły przez papier w stronę mrowiska, jakby w ogóle go nie zauważyły.

– Jak się porozumiewają? – zapytał Sherlock. – W jaki sposób mrówki, które znalazły miód, mówią innym w mrowisku, gdzie jest?

– Nie komunikują się – odparł Crowe. – Fakt, że wracają z miodem, to sygnał, że gdzieś znajduje się jedzenie, ale one nie potrafią mówić ani czytać w swoich myślach, ani też wskazywać kierunku swoimi tyrciami nóżkami. Dzieje się tu coś dużo ciekawszego. Pokażę ci.

Crowe zręcznie obrócił kawałek papieru o dziewięćdziesiąt stopni. Mrówki, które były już na papierze, zeszyły z krawędzi i wydawały się zagubione, chodząc bez celu dookoła, ale Sherlock patrzył zafascynowany, jak te, które dopiero weszły na papier, maszerują do połowy, po czym skręcają i wracają pod kątem prostym do swojej poprzedniej trasy, aż docierają do krawędzi, później schodzą i ruszają dalej.

– Idą po ścieżce – wykrztusił. – Po ścieżce, której my nie widzimy, ale one tak. Pierwsze kilka mrówek w jakiś sposób wyznaczyło tę ścieżkę, reszta nią poszła, a kiedy pan odwrócił papier, nadal nią szły, nie wiedząc, że teraz prowadzi gdzie indziej.

– Właśnie – potwierdził zadowolony Crowe. – Najprawdopodobniej to jakaś substancja chemiczna. Kiedy mrówka niesie jedzenie, zostawia za sobą chemiczny ślad. Wyobraź sobie coś jak kawałek materiału pokryty czymś o mocnym zapachu, takim jak anyżek, przyczepiony do jednego z odnóży. Inne mrówki, niczym psy, chętnie pójdą za anyżkowym śladem. Z powodu efektu „kroku pijaka” pierwsza mrówka obejdzie cały teren dookoła, zanim znajdzie mrowisko. Coraz więcej mrówek trafi na miód i niektóre będą szły do mrowiska dłuższą drogą, a inne krótszą. Im więcej mrówek pójdzie za nimi, tym wyraźniej krótsze ścieżki zostaną zaznaczone przez tę substancję, ponieważ są lepsze i mrówki mogą szybciej wrócić, a dłuższe ścieżki, te wiodące okrężną drogą, zanikną, gdyż nie okazały się równie dobre. W końcu utworzy się niemal prosta trasa. Można to udowodnić, robiąc coś takiego jak z tym papierem. Mrówki wciąż idą prostym szlakiem, chociaż teraz oddala je od mrowiska, ale w końcu znajdą właściwą drogę.

– Nieprawdopodobne – stwierdził Sherlock. – Nie miałem pojęcia. To nie... inteligencja, bo to instynktowne, a one się nie porozumiewają, ale wygląda, jakby były inteligentne.

– Niekiedy – zauważył Crowe – grupa jest mniej inteligentna niż jednostka. Pomyśl o ludziach: pojedynczo bywają bystrzy, ale gdy znajdują się w tłumie, mogą wszcząć zamieszki, zwłaszcza jeśli jakieś wydarzenie zadziała jak zapalnik. A niekiedy grupa zachowuje się bardziej inteligentnie niż jednostka, tak jak te mrówki albo rój pszczół.

Wyprostował się, otrzepując spodnie z ziemi i trawy.

– Instynkt podpowiada mi – powiedział – że zbliża się pora lunchu. Myślisz, że u twoich stryjostwa znajdzie się miejsce przy stole dla zbląkanego Amerykanina?

– Oczywiście – odparł Sherlock. – Chociaż nie jestem pewien, co na to powie ochmistrzyni, pani Eglantine.

– Zdaj się na mnie. Mam niespożyte zasoby wdzięku, z których mogę czerpać w każdej chwili.

Poszli z powrotem przez pola i kępy drzew, gdzie Crowe po drodze wskazywał Sherlockowi jadalne grzyby, przypominając to, czego nauczył go przez kilkanaście tygodniami. Teraz już chłopiec był pewny, że umiałby przetrwać w głuszy, żywiąc się tym, co znajdzie, i się nie zatruć.

W pół godziny doszli do dworu Holmesów: dużego i raczej nieprzystępnego domostwa stojącego na kilku akrach otwartej przestrzeni. Sherlock widział na górze okienko swojej sypialni: izdebki o nieregularnym kształcie, tuż pod spadzistym dachem. Nie była wygodna i nigdy nie spieszyło mu się do niej wieczorem.

Przed drzwiami frontowymi stał powóz; woźnica leniwie pstrykał biczem, podczas gdy koń przeżuwał siano z torby zawieszanej na łbie.

– Goście? – zapytał Crowe.

– Stryj Sherrinford i stryjenka Anna nie wspominali, że spodziewają się kogoś na lunchu – powiedział Sherlock, zastanawiając się, kto mógł przyjechać.

– Cóż, niebawem się dowiemy – zauważył Crowe. – To strata energii szukać odpowiedzi na jakieś pytanie, kiedy za chwilę dostanie się ją na tacy.

Doszli do schodów prowadzących do frontowego wejścia. Sherlock podbiegł do półotwartych drzwi, a Crowe statecznie kroczył za nim.

W mrocznym hallu słońce wpadające przez wysokie okna tworzyło skośne filary światła z wirującymi drobkami kurzu. Olejne obrazy zapelniające ściany były prawie niewidoczne w półmroku. Letni upał wydawał się niemal namacalny.

– Powiem komuś, że pan tu jest – powiedział Sherlock do Crowe'a.

– Nie trzeba – mruknął Crowe. – Ktoś już wie. – Skinął głową w stronę cienia pod schodami.

Wynurzyła się stamtąd jakaś postać; czerń sukni i włosów równoważyła tylko bladość cery.

– Panie Crowe – odezwała się ochmistrzyni – nie sądzę, byśmy pana oczekiwali.

– Dwór Holmesów słynie ze swej gościnności – rzekł z powagą Crowe. – A także z wiktuałów, jakimi częstuje przejeżdżających podróżnych. A poza

tym, jakże mógłbym odmówić sobie przyjemności ponownego ujżenia pani, pani Eglantine?

Prychnęła; wąskie wargi zacisnęły się pod spiczastym, cienkim nosem.

– Jestem pewna, że wiele kobiet ulega pańskiemu kolonialnemu czarowi, panie Crowe – odparła. – Ale ja do nich nie należę.

– Pan Crowe zostanie na lunch – oświadczył stanowczo Sherlock, ale poczuł drżenie w sercu, kiedy spoczęło na nim ostre jak szpilka spojrzenie pani Eglantine.

– O tym zadecydują twoi stryjostwo – odrzekła. – A nie ty.

– W takim razie ja im o tym powiem – oznajmił. – Nie pani. – Odwrócił się do Crowe’a. – Proszę tu poczekać, a ja się rozejrzę.

Kiedy znów się odwrócił, pani Eglantine zdążyła napowrót zniknąć w półmroku.

– W tej kobiecie jest coś dziwnego – mruknął Crowe. – Nie zachowuje się jak służąca, tylko czasem tak, jakby była członkiem rodziny. Jakby to ona tu wszystkim rządziła.

– Nie wiem, dlaczego moi stryjostwo pozwalają jej na to – powiedział Sherlock. – Ja bym nie pozwolił.

Podszedł do drzwi salonu i zerknął do środka. Służące krzątały się przy kredensach pod ścianą, przygotowując półmiski z zimnym mięsem, rybą, serem, ryżem, piklami i pieczywem, żeby członkowie rodziny mogli przyjść i coś przegryźć, bo tak zwykle jadano lunch u Holmesów, ale nie było ani śladu stryjenki czy stryja. Sherlock wrócił więc do hallu i zawahał się przez chwilę, zanim podszedł do drzwi biblioteki i zapukał.

– Tak? – odezwał się z wnętrza głos nawykły do wygłaszania kazań i mów, które właściciel owego głosu, stryj Sherlocka, Sherrinford Holmes, pisał przez większość życia. – Proszę wejść!

Sherlock nacisnął klamkę.

– Jest tu pan Crowe – powiedział, gdy drzwi otworzyły się, ukazując jego stryja siedzącego przy biurku. Miał na sobie czarny surdut o staroświeckim kroju, a jego imponująca biblijna broda opadała mu na pierś, ścieląc się na leżącej przed nim bibułkowej podkładce. – Zastanawiałem się, czy mógłby zostać na lunch.

– Chętnie skorzystam z okazji, żeby porozmawiać z panem Crowe’em – stwierdził Sherrinford Holmes, ale uwagę Sherlocka odwrócił mężczyzna w długim surducie o wysokim kołnierzyku, którego sylwetka odznaczała się na tle wysokiego okna.



– Mycroft!

Brat Sherlocka skinął z powagą głową, ale w jego oczach pojawił się błysk, którego nie potrafił zamaskować.

– Sherlocku – powiedział – dobrze wyglądasz. Pobył na wsi wyraźnie ci służy.

– Kiedy przyjechałeś?

– Przed godziną. Przyjechałem z Waterloo i wziąłem powóz na stacji.

– Na długo zostaniesz?

Mycroft wzruszył ramionami; nieznaczny ruch jego potężnej postaci.

– Nie zatrzymam się na noc, ale chciałem sprawdzić, czy robisz postępy. Miałem też nadzieję zobaczyć się z panem Crowe'em. Cieszę się, że jest tutaj.

– Twój brat i ja dokończymy rozmowę – rzekł Sherrinford – a potem zobaczymy się w jadalni.

Sherlock odprawiony w ten sposób zamknął za sobą drzwi biblioteki. Twarz rozciągnęła mu się w uśmiechu. Mycroft jest tutaj! Dzień stał się nagle jeszcze bardziej słoneczny niż przedtem.

– Czyżbym słyszał głos twego brata? – zadudnił Amyus Crowe z drugiej strony hallu.

– To jego powóz stoi na dworze. Powiedział, że chce z panem porozmawiać.

Crowe z powagą skinął głową.

– Zastanawiam się dlaczego – odezwał się cicho.

– Stryj Sherrinford zgodził się, by został pan na lunch. Spotkamy się z nimi w jadalni.

– To mi wygląda na spisek – oświadczył Crowe głośniej, ale zatroskana mina przeczyła niefrasobliwości w jego głosie.

Sherlock ruszył przodem do jadalni. Była tam już pani Eglantine, stała pod ścianą w cieniu między dwoma oknami. Sherlock nie zauważył, jak mijala go w hallu. Przez chwilę rozważał, czy ona nie jest duchem, który potrafi przenikać przez ściany, ale szybko uznał, że to głupia myśl. Duchy przecież nie istnieją.

Ignorując panią Eglantine, podszedł do kredensu i wziął talerz, by nałożyć sobie plastry mięsa i kawałki łososia. Crowe poszedł za nim i zaczął od drugiego końca kredensu.

Sherlock czuł się wciąż oszołomiony nagłym pojawieniem się starszego brata. Mycroft mieszkał i pracował w Londynie, stolicy Imperium. Był

urzędnikiem państwowym pracującym dla rządu i chociaż często umniejszał swoją pozycję, mówiąc, że jest tylko skromnym gryzpiórkiem, Sherlock żywił od jakiegoś czasu przekonanie, że Mycroft jest dużo ważniejszy, niż to ujawnia. Kiedy Sherlock mieszkał w domu – to znaczy z ojcem i matką, zanim wysłano go do stryjostwa – Mycroft czasem przyjeżdżał z Londynu na kilka dni. Sherlock zauważył wtedy, że codziennie pojawia się człowiek w powozie, który przywozi czerwoną skrzynkę. Oddawał ją tylko Mycroftowi do rąk własnych, a ten w zamian wręczał mu kopertę, zawierającą, jak przypuszczał Sherlock, listy i notatki służbowe, wynikające z zawartości pudełka z poprzedniego dnia. Jakikolwiek zajmował stanowisko, władze musiały codziennie być z nim w kontakcie.

Z ustami pełnymi jedzenia usłyszał, że otwierają się drzwi do biblioteki. Kilka chwil później w jadalni pojawiła się wysoka, przygarbiona postać Sherrinforda Holmesa.

– Ach, brōma theōn – oświadczył po grecku na widok kredensów. Zerkając ku Sherlockowi, powiedział: – Możesz skorzystać z biblioteki, mój psychēs iatreion, żeby się spotkać z bratem. – Następnie odwrócił się do Crowe’a i dodał: – Mycroft prosił specjalnie, żeby pan do nich dołączył.

Sherlock odsunął talerz i pospieszył do biblioteki. Crowe ruszył za nim; choć szedł wolno, jego długie nogi szybko pokonywały odległość.

Mycroft stał w tej samej pozycji przy wysokim oknie. Uśmiechnął się do Sherlocka, po czym zbliżył się i zmierzył mu czuprynę. Uśmiech zniknął z jego twarzy, gdy spojrzał na Crowe’a, ale uścisnął Amerykaninowi dłoń.

– Najpierw to, co najważniejsze – powiedział. – Po drobiazgowym śledztwie przeprowadzonym przez policję nie trafiliśmy na ślad barona Maupertuisa. Przypuszczalnie uciekł do Francji. Dobra wiadomość jest taka, że żaden brytyjski żołnierz – ani nikt inny – nie zginął od użądlenia pszczoł.

– Wątpliwe, czy plan Maupertuisa miał szanse powodzenia – rzekł z powagą Crowe. – Podejrzewam, że baron był niezrównoważony. Ale lepiej było tego nie sprawdzać.

– A rząd jest odpowiednio wdzięczny – dodał Mycroft.

– Mycroftcie, a co z ojcem? – wykrztusił Sherlock.

Jego brat skinął głową.

– Statek, którym płynie, właśnie zbliża się do Indii. Prawdopodobnie za tydzień ojciec zejdzie ze swym pułkiem na ląd, ale zapewne nie dostaniemy

od niego ani od nikogo innego wiadomości przez miesiąc lub dwa – szybkość komunikacji z tym odległym kontynentem jest, jaka jest. Jeśli czegokolwiek się dowiem, od razu ci przekażę.

– A mama?

– Jak wiesz, z jej zdrowiem nie jest najlepiej. Teraz jej stan wydaje się stabilny, ale przyda jej się odpoczynek. Wiem od lekarza, że śpi szesnaście albo osiemnaście godzin na dobę. – Westchnął. – Ona potrzebuje czasu, Sherlocku. Czasu i ochrony przed jakimkolwiek wysiłkiem psychicznym czy fizycznym.

– Rozumiem. – Sherlock urwał, próbując zapanować nad głosem. – Więc zostanę tutaj przez resztę wakacji?

– Nie jestem pewien – powiedział Mycroft – czy szkoła dla chłopców w Deepdene rzeczywiście ci służy.

– Moja łacina jest coraz lepsza – odparł Sherlock szybko, po czym skarcił sam siebie w myślach. Powinien zgodzić się z bratem, a nie zaprzeczać.

– Bez wątpienia – rzekł sucho Mycroft – ale są inne rzeczy oprócz łaciny, które chłopiec powinien poznać.

– Greka? – nie mógł się powstrzymać Sherlock.

Mycroft uśmiechnął się mimo woli.

– Widzę, że twój cięty dowcip cię nie opuszcza. Nie, choć znajomość łaciny i greki jest niezwykle ważna w coraz bardziej skomplikowanym świecie, w jakim żyjemy, myślę, że lepiej ci zrobi indywidualny, dopasowany do twoich potrzeb styl nauki. Zastanawiam się nad zabranieniem cię z Deepdene, tak żebyś mógł uczyć się tutaj, w dworze Holmesów.

– Nie wróciłbym do szkoły? – Sherlock starał się znaleźć w sobie jakąś oznakę, że się tym przejął, ale nic nie poczuł. Nie zostawił tam przyjaciół, a w najlepszych momentach co najwyżej się nudził, a nie był szczęśliwy. W Deepdene nie miał czego szukać.

– Musimy pomyśleć z wyprzedzeniem o twoich studiach – ciągnął Mycroft. – Oczywiście w Cambridge. Albo Oksfordzie. Myślę, że twoje szanse wzrosną, jeśli skupimy się na wybranych przedmiotach nieco bardziej, niż byłoby to możliwe w Deepdene. – Znów się uśmiechnął. – Jesteś wyjątkowym chłopcem, i tak powinieneś być traktowany. Niczego nie obiecuję, ale przed końcem wakacji dam ci znać, jakie poczyniłem kroki.

– Czy będzie nadmierną śmiałością z mojej strony, jeśli zapytam, czy będę miał do odegrania skromną rolę w edukacji tego młodzieńca? –

zadudnił Amyus Crowe.

– Tak – powiedział Mycroft z lekkim skrzywieniem ust. – Dotychczas bardzo skutecznie nie pozwolił mu pan zboczyć na manowce.

– On jest z rodu Holmesów – zauważył Crowe. – Można nim kierować, ale nie da się go do niczego zmusić. Pan był taki sam.

– Owszem – rzekł po prostu Mycroft. – Taki właśnie byłem.

Zanim Sherlock zdążył zapytać o tak zaskakujący fakt, że Crowe uczył także Mycrofta, ten poprosił:

– Byłbyś tak miły i pozwolił nam porozmawiać na osobności? Mamy pewne sprawy do omówienia.

– Czy... zobaczymy się jeszcze, zanim wyjedziesz?

– Oczywiście. Zostanę aż do wieczora. Możesz oprowadzić mnie po domu, jeśli chcesz.

– Możemy przejść się po majątku – zaproponował Sherlock.

Mycroft wzdrygnął się.

– Chyba nie – powiedział. – Raczej nie jestem stosownie ubrany na przechadzki.

– Ale tylko wokół domu – zaprotestował Sherlock. – Nie po lesie!

– Jeśli nie widzę sufitu nad głową i nie czuję pod stopami posadzki albo trotuaru, to jest przechadzka – oświadczył stanowczo Mycroft. – A teraz, panie Crowe, przystąpmy do rzeczy.

Sherlock niechętnie opuścił bibliotekę i zamknął za sobą drzwi. Sądząc po głosach dochodzących z jadalni, stryjenka także przyszła na lunch. Nie miał ochoty wysłuchiwać jej nieustającej paplaniny, więc wyszedł na dwór. Pałętał się przy bocznej ścianie budynku, z rękami w kieszeniach, kopiąc kamyczki. Słońce świeciło mu niemal dokładnie nad głową, czuł cienką warstwę potu na czole i między łopatkami.

Przed sobą miał wysokie okna biblioteki. Otwarte okna.

Słyszał dźwięki docierające ze środka.

Wewnętrzny głosik mówił mu, że to prywatna rozmowa, z której wyraźnie go wykluczono, ale inny, bardziej kusicielski, podpowiadał, że Mycroft i Amyus Crowe rozmawiają o nim.

Przysunął się bliżej, idąc wzdłuż kamiennego gzymsu biegnącego wokół domu.

– Czy są pewni? – spytał Crowe.

– Pracował pan już dla Pinkertonów – odparł Mycroft. – Ich źródła wywiadowcze są zwykle bardzo dokładne, nawet tak daleko od Stanów

Zjednoczonych.

– Ale to, że on przyjechał tutaj...

– Myślę, że Ameryka okazała się dla niego zbyt niebezpieczna.

– To duży kraj – zauważył Crowe.

– Ale w znacznej części niecywilizowany – odparł Mycroft.

Crowe nie był przekonany.

– Spodziewałbym się, że przejdzie przez granicę z Meksykiem.

– Ale najwyraźniej tego nie zrobił – Mycroft mówił stanowczym tonem. –

Niech pan spojrzy na to w ten sposób: wysłano pana do Anglii, żeby ścigał pan zwolenników Południa z wojny secesyjnej, na których głowy wyznaczono cenę. Jaki miałby lepszy powód, żeby tu przyjechać, niż ten, że oni tu są?

– Logiczne – przyznał Crowe. – Czy podejrzewa pan spisek?

Mycroft zawahał się.

– Spisek to chyba na razie za mocne słowo. Przypuszczam, że wszyscy zmierzali do tego kraju, ponieważ jest cywilizowany, ludzie mówią tym samym językiem i wydaje się bezpieczny. Ale wystarczy trochę czasu i może zawiązać się spisek. Tylu podejrzanych ludzi, którzy nie mają nic do roboty poza dyskusjami... Musimy zdławić to w zarodku.

Sherlock był oszołomiony. O czym oni, u diabła, mówią? Zaczął podsłuchiwać zbyt późno, żeby pojąć sens rozmowy.

– Och, Sherlocku! – zawołał jego brat z wnętrza biblioteki. – Skoro i tak podsłuchujesz, możesz do nas dołączyć.

## ROZDZIAŁ 2



Sherlock ze spuszczoną głową wszedł przez okno do biblioteki. Czuł gorąco, zakłopotanie, i, co dziwne, złość; chociaż nie był pewien, czy jest zły na Mycrofta, że przyłapał go na podsłuchiwanie, czy na siebie, że dał się złapać.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem? – zapytał.

– Po pierwsze – odrzekł Mycroft zupełnie beznamiętnie – spodziewałem się, że tam będziesz. Jesteś młodym człowiekiem z nadmiernie rozwiniętym zmysłem ciekawości, a ostatnie wydarzenia świadczą o tym, że nie masz zbyt wiele respektu dla zasad przyjętych w społeczeństwie. Po drugie, przez uchylone okno wpadał lekki wietrzyk. Kiedy stanąłeś w pobliżu, chociaż nie było cię widać ani twój cień nie padał na okna, zatrzymałeś ten powiew. Gdy ustał na dłużej niż kilka sekund, domyśliłem się, że coś go blokuje. Oczywiście kandydatem byłeś ty.

– Gniewasz się? – zapytał Sherlock.

– Ani trochę – odparł Mycroft.

– Twój brat gniewałby się raczej wtedy – powiedział pogodnie Amyus Crowe – gdybyś przez nieuwagę pozwolił, by twój cień przesłonił okna.

– Byłby to dowód – zgodził się Mycroft – godnego pożałowania braku znajomości prostej geometrii, a także nieumiejętności przewidywania skutków własnych działań.

– Drażnisz się ze mną – zarzucił mu Sherlock.

– Tylko odrobinę – przyznał Mycroft. – I z najlepszymi zamiarami. – Urwał. – Ile słyszałeś z naszej rozmowy?

Sherlock wzruszył ramionami.

– Coś o człowieku, który przyjechał z Ameryki do Anglii, i twoim zdaniem jest niebezpieczny. I coś o rodzinie o nazwisku Pinkerton.

Mycroft zerknął przez pokój na Crowe'a i uniósł brew. Crowe uśmiechnął się lekko.

– To nie jest rodzina – powiedział – chociaż czasem może się tak wydawać. Narodowa Agencja Detektywistyczna Pinkertona to spółka detektywów, zapewniających też obsługę prywatnym osobom. Założył ją Allan Pinkerton w Chicago mniej więcej dwanaście lat temu, kiedy zdał sobie sprawę, że w Stanach powstaje coraz więcej linii kolejowych, ale przewoźnicy nie mają sposobu, by się uchronić przed rabunkiem, sabotażem albo działaniami związków zawodowych. Allan najmuje swoich ludzi jako kogoś w rodzaju superpolicji.

– Całkowicie niezależnej od regulacji i przepisów władz – mruknął Mycroft. – Wie pan, jak na kraj, który szczyli się, że został zbudowany na demokratycznych zasadach, macie skłonność do tworzenia niezliczonych niezależnych agencji.

– Mówi pan o nim Allan – zdał sobie sprawę Sherlock. – Zna go pan?

– Al Pinkerton i ja znamy się od dawna – przyznał Crowe. – Byłem z nim siedem lat temu, kiedy razem potajemnie eskortowaliśmy prezydenta Lincolna przez Baltimore na uroczystość zaprzysiężenia. Południowcy zawiązali spisek, żeby zabić Lincolna w mieście, ale wynajęto ludzi Pinkertona, by go chronić i przeprowadzić żywego. Od tamtej pory niekiedy doradzam Alowi. Nigdy właściwie nie byłem u niego zatrudniony na stałe, ale od czasu do czasu płaci mi za konsultację.

– Prezydent Lincoln? – Umysł Sherlocka pracował gorączkowo. – Ale czy on nie...

– W końcu go dopadli. – Twarz Crowe'a była nieruchoma i ciężka jak kawałek rzeźbionego granitu. – Trzy lata po spisku w Baltimore ktoś strzelał do niego w Waszyngtonie. Jego koń wierzgnął, a prezydentowi spadł kapelusz. Kiedy potem go odszukano, okazało się, że jest w nim dziura po kuli. Minęła go o włos. – Westchnął. – A rok później, zaledwie trzy lata temu, był w Waszyngtonie w teatrze na sztuce Our American Cousin, kiedy człowiek o nazwisku John Wilkes Booth strzelił mu w tył głowy, zeskoczył na scenę i uciekł.

– Pana tam nie było – rzekł łagodnie Mycroft. – Nie mógł pan nic zrobić.

– Powinienem być tam być – odparł Crowe równie miękko. – I tak samo Al Pinkerton. Bogiem a prawdą, jedynym człowiekiem, który chronił wtedy prezydenta, był pijany policjant o nazwisku John Frederick Parker. Nawet

nie było go na miejscu, kiedy zastrzelono Lincolna. Siedział naprzeciwko teatru w Star Tavern i żłopał piwo.

– Pamiętam, jak czytałem o tym w gazecie ojca – powiedział Sherlock, przerywając ciężkie milczenie, które zapadło w pokoju. – I pamiętam, że ojciec o tym wspominał, ale nigdy do końca nie zrozumiałem, dlaczego prezydent Lincoln został zamordowany.

– To jest problem z obecnymi szkołami – burknął Mycroft. – Historia Anglii urywa się w nich mniej więcej sto lat temu, a historii powszechnej w ogóle się nie uwzględnia. – Zerknął na Crowe'a, lecz Amerykanin najwyraźniej nie miał ochoty kontynuować rozmowy o tej sprawie. – Wiesz chyba o amerykańskiej wojnie secesyjnej? – zapytał Sherlocka.

– Tylko z artykułów w „The Times”.

– Najprościej rzecz ujmując, jedenaście stanów w południowej części kraju ogłosiło niepodległość i stworzyło Skonfederowane Stany Ameryki. – Prychnął. – To tak, jakby Dorset, Devon i Hampshire nagle postanowiły stworzyć odrębne państwo i odłączyły się od Wielkiej Brytanii.

– Albo tak, jakby Irlandia uznała, że chce się uniezależnić od władzy brytyjskiej – mruknął Crowe.

– To zupełnie co innego – odparł ostro Mycroft. Spojrzał znów na Sherlocka i mówił dalej: – Przez pewien czas było dwóch prezydentów amerykańskich: Abraham Lincoln na Północy i Jefferson Davis na Południu.

– Dlaczego chcieli niepodległości? – zapytał Sherlock.

– A dlaczego jakikolwiek kraj pragnie niepodległości? – odpowiedział pytaniem Mycroft. – Ponieważ nie chce słuchać rozkazów. W tym przypadku istniała jeszcze różnica poglądów politycznych. Południowe stany popierały ideę niewolnictwa, podczas gdy jednym z głównych haseł kampanii Lincolna było wyzwolenie niewolników.

– To nie takie proste – zauważył Crowe.

– Nigdy nie jest proste – zgodził się Mycroft – ale na razie wystarczy. Wojna zaczęła się 12 kwietnia 1861 roku i przez następne cztery lata sześćset dwadzieścia tysięcy Amerykanów zginęło w bratobójczych walkach, czasem dosłownie brat przeciw bratu i ojciec przeciwko synowi. – Wzdrygnął się, a w pokoju pociemniało przez chwilę, gdy chmura przysłoniła słońce. – Stopniowo – kontynuował – Północ, znana jako Unia Stanów, podkopała siłę militarną Południa, czyli konfederatów. Najważniejszy generał Konfederacji – Robert Lee – poddał się 9 kwietnia



1865 roku. Bezpośrednim skutkiem tej wiadomości był zamach Johna Wilkesa Bootha na prezydenta Lincolna pięć dni później. Stanowił on część większego spisku – jego uczestnicy mieli zabić sekretarza stanu i wiceprezydenta – ale drugiemu zamachowcowi się nie udało, a trzeciego opuściła odwaga i uciekł. Ostatni generał Konfederacji poddał się 23 czerwca 1865 roku, a ostatni oddział, załoga CSS<sup>1</sup> „Shenandoah”, 2 listopada 1865 roku. – Mycroft uśmiechnął się, coś sobie przypomniawszy. – Paradoksalnie, skapitulowali w Liverpoolu, w Anglii, po tym, jak przepłynęli przez Atlantyk, żeby uniknąć poddania się wojskom Północy. Pojechałem tam jako przedstawiciel rządu brytyjskiego. I to był koniec wojny secesyjnej.

– Niezupełnie – wtrącił Crowe. – Na Południu wciąż są ludzie, którzy chcą niepodległości. Wielu wciąż za tym agituje.

– Co każe nam wrócić do terażniejszości – Mycroft zwrócił się do Sherlocka. – Współspiskowców Bootha schwytano i powieszono w lipcu 1865 roku. Sam Booth uciekł. Dwanaście dni później został rzekomo złapany i zastrzelony przez żołnierzy Unii.

– Rzekomo? – zapytał Sherlock, słysząc, że jego brat powiedział to z lekkim naciskiem.

Mycroft zerknął na Crowe'a.

– W ciągu ostatnich trzech lat pojawiały się doniesienia, że Booth wymknął się swoim prześladowcom i że był też inny spiskowiec, podobny do Bootha, i to jego zastrzelono. Podobno Booth zmienił nazwisko na John St. Helen i w obawie o własne życie zbiegł z Ameryki. Z zawodu jest aktorem.

– I sądzisz, że teraz przebywa tutaj? – zapytał Sherlock. – W Anglii?

Mycroft skinął głową.

– Wczoraj dostałem telegram z Agencji Pinkertona. Jej zwiadowcy słyszeli, że człowiek o nazwisku John St. Helen, z wyglądu pasujący do opisu Johna Wilkesa Bootha, przyплыł statkiem z Japonii do Wielkiej Brytanii. Poprosili, bym zawiadomił pana Crowe'a, który, jak wiedzą, jest w kraju. – Zerknął na Amerykanina. – Allan Pinkerton uważa, że Booth przyплыł do Anglii na pokładzie CSS „Shenandoah” trzy lata temu, został na jakiś czas, po czym znów wyjechał. Teraz według nich wrócił.

– Jak, zdaje się, wspomniałem pewien czas temu – powiedział Crowe do Sherlocka – poproszono mnie, abym przyjechał tutaj, żeby wytropić ludzi, którzy zbiegli z Ameryki, ponieważ popełnili straszliwe zbrodnie podczas

wojny secesyjnej. Nie chodzi o zabijanie żołnierzy przez żołnierzy, tylko o masakry cywili, podpalanie miast, wszelkiego rodzaju niktzemności. Ponieważ jestem tutaj, to zrozumiałe, że Allan Pinkerton chce, żebym sprawdził tego Johna St. Helen.

– Czy nie obrazi się pan, jeśli zapytam – zwrócił się Sherlock do Crowe’a – po której stronie był pan podczas wojny domowej? Powiedział mi pan, że pochodzi z Albuquerque. Odszukałem to miasto na mapie w bibliotece stryja. Albuquerque leży w Teksasie, a to jeden ze stanów na południu. Prawda?

– Zgadza się – przyznał Crowe. – Teksas podczas wojny należał do Konfederacji. Ale to, że urodziłem się w Teksasie, nie znaczy, że automatycznie popieram wszystko, co robili konfederaci. Człowiek ma prawo podejmować własne decyzje, oparte na wyższych zasadach moralnych. – Skrzywił się mimowolnie. – Uważam niewolnictwo za coś... odrażającego. Nie wierzę, żeby jeden człowiek miał być gorszy od drugiego z powodu koloru skóry. Może być gorszy pod innymi względami, na przykład zdolności rozumowania, ale nie z powodu czegoś, co nie jest od niego zależne, tak jak kolor skóry.

– Oczywiście, członkowie Konfederacji dowodziliby – wtrącił się gładko Mycroft – że kolor skóry człowieka wskazuje na to, czy potrafi myśleć logicznie, czy nie.

– Jeśli chcę przekonać się o czyjejś inteligencji, to z nim rozmawiam – prychnął Crowe. – Kolor skóry nie ma tu nic do rzeczy. Jedni z najbardziej inteligentnych ludzi, z jakimi rozmawiałem, byli czarni, a niektórzy najgłupszy – biali.

– Więc przeszedł pan na stronę Unii? – zapytał Sherlock, nie mogąc się doczekać dalszego ciągu fascynującej i nieoczekiwanej historii Crowe’a.

Crowe zerknął na Mycrofta, który potrząsnął lekko głową.

– Powiedzmy, że zostałem w Konfederacji, ale pracowałem dla Unii.

– Jako szpieg? – wykrztusił Sherlock.

– Agent – poprawił łagodnie Mycroft.

– Czy to nie jest... nieetyczne?

– Nie wdawajmy się w dyskusję o etyce, bo spędzimy tu cały dzień. Uznajmy po prostu, że rządy zawsze korzystają z agentów.

Coś, co wcześniej powiedział Mycroft, wreszcie przesączyło się przez umysł Sherlocka i wywołało reakcję.

– Mówiłeś, że Agencja Pinkertona poprosiła cię, abyś przekazał panu Crowe'owi wiadomość o Johnie St. Helen. To znaczy – poczuł nagłe wzburzenie – że nie przyjechałeś tu, by zobaczyć się ze mną. Przyjechałeś do niego.

– Przyjechałem zobaczyć was obu – odrzekł łagodnie Mycroft. – Jedną z charakterystycznych cech świata dorosłych jest to, że decyzje rzadko podejmuje się na podstawie jednego czynnika. Dorośli robią różne rzeczy z wielu powodów jednocześnie, Sherlocku. Życie nie jest takie proste.

– A powinno! – zawołał Sherlock buntowniczo. – Coś jest albo dobre, albo złe.

Mycroft uśmiechnął się.

– Nawet nie próbuj dostać się do służb dyplomatycznych – przestrzegł brata.

Crowe przestąpił z nogi na nogę. Wydawało się, że czuje się nie w porządku wobec Sherlocka.

– Gdzie mieszka ten cały St. Helen? – zapytał.

Mycroft wyjął kartkę z kieszeni surduta i sprawdził.

– Najwyraźniej wynajął dom w Godalming przy Guildford Road. Dom nazywa się – znów zerknął na kartkę – „Shenandoah”, co może być wskazówką, ale też czystym przypadkiem. – Urwał. – Co pan zamierza?

– Sprawdzić to – powiedział Crowe. – Dlatego tu jestem. Oczywiście muszę dokładnie przemyśleć, jak to zrobić. Takiego wielkiego Amerykanina jak ja łatwo zauważyć.

– Niech więc pan działa ostrożnie – ostrzegł Mycroft – i nie próbuje sam wymierzać sprawiedliwości. W tym kraju obowiązuje prawo, a nie chciałbym zobaczyć pana powieszzonego za morderstwo. – Prychnął. – Nie lubię ironii. Źle mi wpływa na trawienie.

– Mógłbym pomóc – odezwał się raptem Sherlock, zdziwiony własnymi słowami. Myśl jakby przeszła z jego mózgu prosto do ust, omijając rozum.

Obaj mężczyźni spojrzeli na niego zaskoczeni.

– W żadnym wypadku – powiedział surowo Mycroft.

– Absolutnie – rzucił ostro Crowe, niemal jednocześnie.

– Ale mogę po prostu pojechać do Godalming i popytać – upierał się Sherlock. – Nikt nie zwróci na mnie uwagi. Czy nie dowiodłem przy sprawie barona Maupertuisa, że potrafię robić takie rzeczy?

– To było co innego – stwierdził Mycroft. – Wplątałeś się w to przez przypadek, a największe niebezpieczeństwo pojawiło się wtedy, kiedy pan

Crowe próbował cię z tego wypłatać. – Urwał i zastanowił się. – Ojciec nigdy by mi nie wybaczył, gdybym pozwolił, żeby stała ci się jakaś krzywda, Sherlocku – powiedział ciszej.

Sherlock poczuł się urażony takim opisem swoich działań przeciwko baronowi Maupertuisowi, relacja ta jego zdaniem pomijała albo wypaczała wiele ważnych szczegółów, ale się nie odzywał. Nie było sensu kłócić się o coś, co należało już do przeszłości, skoro przed sobą mieli dużo ważniejsze zadanie.

– Nie zrobię nic, co mogłoby zwrócić na mnie uwagę – zaprotestował. – Nie rozumiem, dlaczego miałyby to być niebezpieczne.

– Jeśli John St. Helen to rzeczywiście John Wilkes Booth, to jest bezsprzecznie mordercą i zbiegiem – oświadczył Crowe – którego, jeśli wróci – albo jeśli zostanie dostarczony – do USA, czeka stryczek. Jest niczym osaczone zwierzę. Jeśli uzna, że coś mu grozi, zatrze ślady i znów zniknie, a ja będę musiał go szukać. Bardzo bym nie chciał, żebyś ty był jednym z tych śladów.

– Jest coś jeszcze – mruknął Mycroft. Zerknął na Crowe'a. – Nie wiem, jak dużo Agencja Pinkertona przekazała panu na temat sytuacji, ale wydaje się coraz bardziej pewne, że Booth i jego współpracownicy byli częścią czegoś większego.

– Oczywiście, że tak – zadudnił Crowe. – To się nazywa wojna domowa.

– Miałem na myśli – odparł dobitnie Mycroft – że to nie oni wpadli na pomysł zamordowania prezydenta Lincolna; ktoś nimi kierował, i ten ktoś wciąż przebywa na wolności. Jeśli Booth naprawdę pojawił się tutaj, w Anglii, to możliwe, że wybiera się z powrotem do Ameryki, a jeśli tak jest w istocie, to można zapytać dlaczego. Jaki ma cel?

Crowe uśmiechnął się.

– Jeśli zmierza do Ameryki, moje zadanie będzie dużo łatwiejsze. Muszę jedynie dać znać, żeby aresztowano go, gdy tylko zejdzie na ląd.

– Ale czy nie lepiej byłoby najpierw ustalić, jakie ma zamiary? Zatrzymanie go niekoniecznie udaremni spisek.

– Jeśli jest jakiś – zauważył Crowe, potrząsając głową.

Sherlock czuł, jakby wpadł w sam środek dyskusji filozoficznej. Wiedział tylko, że nauczyciel, do którego zdążył przywyknąć, stoi przed problemem, z powodu którego będzie musiał wrócić do swojego rodzinnego kraju lub ścigać tego człowieka po całym świecie. Gdyby Sherlock mógł jakoś

rozwiązać ten problem, toby to zrobił. Tylko nie powiedziałyby o niczym Mycroftowi.

– Mogę już iść? – zapytał.

Mycroft machnął ręką przyzwalająco.

– Idź, przejdź się po okolicy albo co tam chcesz. My porozmawiamy jeszcze chwilę.

– Przyjdź do mnie jutro rano – odezwał się Crowe, nawet nie patrząc na Sherlocka. – Na dalszy ciąg lekcji.

Sherlock wymknął się na zewnątrz, podczas gdy oni zaczęli rozmowę o zawiłościach umów o ekstradycji między poszczególnymi stanami na poziomie federalnym a rządem brytyjskim.

Na zewnątrz słońce wciąż wisało ciężko na niebie. Sherlock czuł zapach palonego drewna i odległą słodkawą woń browarów w Farnham.

Godalming chyba nie leży zbyt daleko? Wiodła z niego Guildford Road, co znaczyło, że jest niedaleko Guildford, a Guildford było gdzieś blisko Farnham.

Matthew Arnatt na pewno będzie wiedział.

Matthew – albo, jak wołał, Matty – był chłopcem, którego Sherlock zdążył całkiem dobrze poznać w ciągu ostatniego miesiąca czy dwóch. Mieszkał sam, na barce, przepływał z miasta do miasta kanałami, kradł jedzenie, jeśli musiał, i starał się uniknąć zamknięcia w domu poprawczym. Zatrzymał się w Farnham na dłużej niż zwykle, chociaż ani Sherlock, ani on nie mówił o tym, dlaczego to zrobił.

Jeśli Sherlock miał wyruszyć do Godalming, żeby obejrzeć dom o nazwie „Shenandoah” i poobserwować człowieka, który był albo i nie był Johnem Wilkesem Boothem, wołał mieć Matty’ego u boku. Matty już kilka razy uratował mu życie. Sherlock mu ufał.

Obszedł dom, minął kuchnię i dotarł do stajni. Konie, które on i Matty zabrali baronowi Maupertuisowi kilka tygodni temu, stały tam sobie, z zadowoleniem jedząc siano z worka. Gdy gigantyczny spisek barona legł w gruzach, Sherlock nie bardzo wiedział, co zrobić z końmi, więc poprosił stajennych, żeby się nimi zajęli, i wsunął im ukradkiem szylinga. Poza tym chyba nikt nie zauważył, że w majątku przybyły dwa dodatkowe wierzchowce. I oczywiście mógł teraz wybierać się na przejażdżki z Virginią. Dawała mu lekcje jazdy, a jego cieszyło, że potrafi jeździć jak należy.

Sherlock osiodłał swojego konia, a następnie wyjechał truchtem na otwartą przestrzeń, prowadząc za sobą drugiego wierzchowca. Z dwoma końmi jechało się wolniej, ale i tak w pół godziny dotarł do Farnham, a potem do miejsca nad rzeką, gdzie stała przycumowana barka Matty'ego.

Chłopak siedział na daszku, patrząc na rzekę. Aż podskoczył na widok Sherlocka.

– Masz konie – zauważył.

– Wiem – odrzekł Sherlock. – Twoja spostrzegawczość jest zdumiewająca.

– Odczep się! – powiedział spokojnie Matty. – Spostrzegłem, że chcesz, żebyśmy dokądś razem pojechali. Jeśli to prawda, nie musisz być taki złośliwy.

– Jasne – odparł Sherlock. – Przepraszam. Czasem nie mogę się powstrzymać.

– A więc co się dzieje?

– Pomyślałem, że może chciałbyś się ze mną przejechać do Godalming – wyjaśnił Sherlock.

Matty zmrużył oczy.

– A po co miałbym to robić?

– Powiem ci po drodze – obiecał Sherlock.

Droga do Godalming wiodła wznoszącym się stopniowo, bardzo długim zboczem. Wzgórze było właściwie początkiem grzbietu, który ciągnął się aż po horyzont. Po jego obu stronach rozpościerał się wiejski krajobraz, niknący w oddali w dymie.

Matty zerknął przez ramię na Sherlocka.

– Pojedziemy jakiś czas Hog's Back, a potem zjedziemy na dół przez Gomshall. Zajmie nam to około godziny. Chcesz jechać dalej czy zatrzymamy się na chwilę?

– Możemy przez minutę czy dwie pooglądać widoki – powiedział Sherlock. – Niech konie trochę odetchną.

– Koniom nic nie jest – zauważył Matty. – Chyba nie boli cię tyłek od siodła, co?

Dalej jechało się łatwiej, przez pola i rozległe pastwiska, gdzie pasły się razem owce, kozy i świnie. Kiedy dotarli na skraj Godalming, przejechali przez most nad wąską rzeką, obrośniętą zielonym sitowiem wysokości człowieka. Tuż za mostem droga skręcała w lewo.

– To chyba jest Guildford Road – wskazał Matty. – Którędy chcesz jechać?

– Na razie nie wjeżdżajmy do miasta – odparł Sherlock. – Mam przeczucie, że miejsce, którego szukam, znajduje się bardziej na uboczu.

Ruszyli dalej, teraz zwolnili, żeby Sherlock mógł przyjrzeć się budynkom po drodze. Matty rozglądał się beztrząsco, nie pytając, co właściwie tu robią.

Wiele domów nie miało nazw albo były mniejsze, niż Sherlock się spodziewał. Ostatecznie nie ma sensu nazywać domu „Shenandoah”, jeśli jest to obskurna rudera, prawda? Nazwa, na dodatek taka wzniosła, sugerowała coś większego, solidniejszego<sup>2</sup>. Przed kilkoma budynkami dzieci bawiły się drewnianymi bączkami albo skórzaną piłką. Jedno czy dwoje pomachało im, gdy przejeżdżali truchtem.

W końcu znaleźli dom nieco oddalony od innych, nie na osobnej posesji, ale oddzielony zakrętem drogi i zagajnikiem. Sherlock widział z traktu drewnianą tablicę nad wejściem. Widniało na niej długie słowo, które chyba zaczynało się na „S”. A może nie. Jedna ściana budynku była obrośnięta pnączami kwitnącej na purpurowo glicynii, czepiającymi się wszelkich otworów czy występów, jakie mogły znaleźć.

– Czy to ten? – zapytał Matty. – Podejźmy i zapukamy?

– Nie – odrzekł Sherlock. – Jedź, aż go minimy, a potem się zatrzymaj.

Dom od frontu pobielono, na oknach tkwiły okiennice. Przejeżdżając, Sherlock spostrzegł, że ogród jest dobrze utrzymany. Najwyraźniej ktoś tu mieszkał.

Minąwszy budynek, chłopcy zatrzymali konie.

– To jasne, że oglądasz ten dom – powiedział Matty – i nie chcesz, żeby gość, który tu mieszka, to zauważył. O co chodzi?

– Później ci powiem – obiecał Sherlock. – Muszę znaleźć się bliżej drzwi frontowych. Masz jakiś pomysł?

– Podejść i zapukać?

– Bardzo śmieszne. – Rozejrzał się. Ale nie nasunął mu się żaden koncept. – Możesz podjechać z powrotem do tych dzieciaków, które bawiły się piłką? – Wyjął z kieszeni garść monet. – Daj im parę pensów i zapytaj, czy możemy na chwilę pożyczyć piłkę. Powiedz, że potem ją oddamy.

Matty spojrział na niego dziwnie.

– Jechaliśmy tak daleko po to, żeby grać w piłkę?

– Po prostu zrób to, bardzo cię proszę.

Matty westchnął i wziął monety, po czym odjechał truchtem, zerkając przez ramię i cmokając z powątpiewaniem.

Sherlock zsiadł i czekał cierpliwie. Przywiązał konia, podszedł na skraj zagajnika i patrzył na dom. Nie było widać żadnego ruchu. Czy to był „Shenandoah”, czy coś innego, na przykład „Summerisle” albo „Strangeways”?

Wydawało mu się, że upłynęły całe wieki, kiedy wreszcie wrócił Matty. Pod pachą niósł piłkę.

– Do kitu – powiedział. – Ta piłka to kapeć.

– Nieważne. Przejdźmy się z powrotem drogą, rzucając piłkę do siebie. Kiedy dotrzemy do domu, ten, który będzie miał piłkę, rzuci, ale celowo nie trafi, żeby upadła możliwie blisko drzwi frontowych.

– Żeby ten drugi mógł po nią pobiec. Okej, dobra.

– Tak żebym ja mógł po nią pobiec. Muszę zobaczyć, co jest napisane na tej tablicy, a ty przecież nie umiesz czytać. W każdym razie nie za dobrze.

Ruszyli drogą, rzucając do siebie piłkę. Raz czy dwa Matty upuścił ją na ziemię i kopnął do Sherlocka.

Kiedy znaleźli się najbliżej domu, tam, skąd prowadziła ścieżka do drzwi frontowych, Matty ustawił się tak, żeby być po przeciwnej stronie drogi. Zamachnął się i rzucił piłkę wysoko nad głowę Sherlocka. Poszybowała do ogrodu, odbiła się raz, po czym potoczyła ku drzwiom wejściowym.

Sherlock wykonał pokaz irytacji, rozkładając szeroko ręce i wzruszając ramionami, a następnie odwrócił się i podbiegł ścieżką do drzwi. Kiedy pochylił się, by sięgnąć po piłkę, jednocześnie zerknął w górę na tablicę przy wejściu.

„Shenandoah”.

To ten dom. Teraz musiał tylko wymyślić ich następny krok. Czy lepiej zostać i obserwować budynek przez pewien czas, żeby móc opisać Mycroftowi i Amyusowi Crowe’owi jego mieszkańca, czy może odważyć się i wślizgnąć do środka, jeśli nikogo nie było w domu?

Nie miał jednak czasu na podjęcie decyzji, ponieważ drzwi otworzyły się szeroko i z mrocznego wnętrza wyłonił się jakiś mężczyzna. Był chudy, o spiczastej, szpakowatej brodzie, ale Sherlock zmarł z przerażenia na widok lewej połowy jego twarzy. W którymś momencie jego życia została strasznie poparzona, skóra była czerwona i gruzłowata, w miejscu oczodołu ziała czarna dziura pozbawiona gałki ocznej.



– Ty szczekliwy kundlu! – warknął mężczyzna. Złapał Sherlocka za włosy i zanim ten zdążył pisnąć, wciągnął go do domu.

## ROZDZIAŁ 3



Sherlock czuł się, jakby płonęła mu skóra na głowie. Chwycił mężczyznę za ramię i pozwolił się ciągnąć, bo wleczenie za kępkę włosów, na której ciało zwisa całym ciężarem, było nieznośną udręką. Już sobie wyobrażał wyrwane z włosami kawałki skóry, po których zostaną mu na głowie krwawiące, odsłonięte miejsca.

– Ja tylko chciałem zabrać piłkę! – wrzasnął.

Mężczyzna go zignorował. Mrucząc pod nosem przekleństwa i oskarżenia, włókł Sherlocka dalej.

W hallu było jasno, światło wpadało przez świetlik u góry. Dom wyglądał na pusty, jakby tylko na wpół urządzony. Kroki mężczyzny odbijały się echem na posadzce wyłożonej płytkami.

Napastnik lewą ręką otworzył drzwi i wtargał Sherlocka do środka. To był salon: kryte perkalem fotele z pokrowcami na oparciach, żeby elegancy goście nie zatłuszcili włosami obić, a wokół stoliki do kawy przykryte tylko koronkowymi serwetkami. Dom sprawiał wrażenie nie do końca umeblowanego, niezamieszkanego.

A na podłodze leżał trup. Sherlock ledwo zdążył dostrzec parę wysokich butów i położenie ciała twarzą do dywanu, nim mężczyzna szarpnął go dalej i rzucił na krzesło.

Szybko sięgnął do głowy, spodziewając się krwi albo żywego mięsa, albo nadwerżonej skóry, tam gdzie oderwała się od czaszki, ale wszystko wydawało się w porządku. Oprócz bólu. Ból absolutnie nie był w porządku.

– Proszę! – krzyknął, wciąż udając, że jest niewinną ofiarą, przypadkowym przechodniem. – Niech mnie pan puści! Rodzice będą się o mnie martwić! Mieszkają tam dalej przy drodze.

Mężczyzna nie patrzył Sherlockowi w oczy. Zamiast tego wciąż gwałtownie kiwał głową jak ptak, chodząc od okna do drzwi, od drzwi do

okna, w tę i z powrotem.

Sherlock wykorzystał tę chwilę, żeby dobrze mu się przyjrzeć. Przy wejściu zdołał zauważyć pokiereszowaną lewą połowę twarzy, ale teraz obserwował całą sylwetkę, próbując dostrzec coś, co mogłoby mu pomóc.

Ubranie mężczyzny było dobrej jakości, tego Sherlock był pewien. Było czarne, eleganckie, a sposób, w jaki układały się surdut i spodnie, pozwalał sądzić, że zostały uszyte przez krawca znającego się na swoim fachu. Nie wyglądały jak worek na ziemniaki, do którego doszyto rękawy, tak jak czasem odzienie noszone przez mieszkańców Farnham. Ale w kroju było coś dziwnego, coś... niemal cudzoziemskiego. Jakaś część umysłu Sherlocka zaczęła się zastanawiać, czy można rozpoznać po samych szwach i kroju, który krawiec uszył ubranie albo przynajmniej czy uszył je zgodnie z jakimś stylem – niemieckim, angielskim lub amerykańskim.

Mężczyzna był tak chudy, że sterczały mu wyraźnie kości nadgarstków i jabłko Adama. Prawa strona jego twarzy okazała się klasycznie przystojna, z bujnym wąsem i kozią bródką, ale lewa budziła przerażenie. Cera na niej była czerwona i lśniąca, nierówna jak powierzchnia księżyca. Zarost po tej stronie rósł rzadki i marny, przebijający się przez skórę jak zwęglone resztki po pożarze lasu, a oczodół był po prostu dziurą w twarzy pokrytą czerwonymi bliznami.

– Proszę pana – odezwał się Sherlock, lecz mężczyzna gwałtownym gestem dał mu znak, by zamilkł.

– Ani słowa! – rozkazał. Głos miał przenikliwy, ale o jęklwym tonie, od którego Sherlockowi dreszcz przebiegł po plecach. – Cicho, ty mały sukinsynu!

Mówił z lekkim obcym akcentem. Nie brytyjskim, przypominał raczej sposób wysławiania się Virginii i Amyusa Crowe'ów, choć nie był zupełnie taki sam. Może nieco bardziej elegancki. Mężczyzna wyrażał się tak, jakby oczekiwał, że będzie słuchany. On nie tyle mówił, ile wygłaszał kwestie, tak jakby występował na scenie. Sherlock widział kilka ciągnących się w nieskończoność sztuk Szekspira wystawianych w plenerze na dworze rodziców w Reigate i gdyby nie to, że ten gość mało nie urwał mu głowy, sądząc po postawie i sposobie mówienia, Sherlock wziąłby go za aktora.

– Ile mamy czasu? – zapytał niespodziewanie mężczyzna. – Ile mamy czasu, zanim oni wrócą?

– Ja nie... – zaczął Sherlock, ale napastnik podszedł do niego i uderzył go w twarz grzbietem dłoni, aż chłopcu świeczki stanęły w oczach.

Wstrząśnięty poczuł w ustach smak krwi.

– Nie kłam, chłopcze. Kłamstwa wyczuwam z daleka. Ile mamy czasu?

– Może godzinę – odparł Sherlock. Nie wiedział, czego chce ten człowiek, ale był pewien, że nie jest całkiem zrównoważony. Najlepiej było więc grać w jego grę.

– Dym – powiedział zniechęca mężczyzna. Podniósł głowę, wężąc. – Czuję dym. – Nagle spojrzał na Sherlocka. – Musimy uciekać. Z powrotem na Wschód. Tam jest bezpiecznie. Tutaj szuka mnie za dużo ludzi. Za dużo oczu. Za dużo uszu.

– Mógłbym sprawdzić, zobaczyć, czy na wybrzeżu nic panu nie grozi – zaproponował Sherlock.

– Wybrzeże! – Oczy tamtego jakby rozbłysły. – Znajdziemy łódź. Statek. Możemy popłynąć do Hongkongu. Ukryć się, aż będziemy bezpieczni.

– Ukryć przed czym? – zapytał Sherlock, ale mężczyzna tylko spojrzał na niego gniewnie.

– Nie udawaj, że o niczym nie wiesz. Wy wszyscy wiecie. Co do jednego.

Pamiętając rozmowę w dworze Holmesów, Sherlock starał się ocenić, czy ten człowiek dałby radę zorganizować zamach na kogokolwiek, a co dopiero na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Był najwyraźniej chory psychicznie, na skraju załamania nerwowego, ale rzeczywiście był Amerykaninem i może to, przez co przeszedł, doprowadziło go na skraj szaleństwa. Sherlock miał teraz dość wieści, które mógłby zanieść Amyusowi Crowe'owi i swemu bratu – tylko czy zdoła się stąd wydostać?

Głowa mężczyzny obróciła się nagle, jakby ktoś z zewnątrz pociągnął za sznurek.

– Dym! – krzyknął. Wybiegł pędem z pokoju. Sherlock został sam. Nie licząc trupa.

Przez moment rozważał, czy nie rzucić się do ucieczki. Jeśli będzie szybki, może uda mu się wyminąć porywacza, nawet jeżeli stoi w hallu, i dopaść drzwi. Ale mógł też ruszyć w przeciwnym kierunku, do okna salonu, i tą drogą wydostać się do ogrodu. Matty na pewno na niego czeka i uciekną razem konno.

Lecz obok niego znajdowało się ciało i musiał sprawdzić, czy ten człowiek nie żyje, czy tylko jest ranny. Wiedział, że nie może tak go tu zostawić. Myśl o tym prześladowałaby go potem przez całe życie.

Wstał z krzesła i ukucnął przy leżącym, zerkając, czy prześladowca nie wraca. Mężczyzna miał bokobrody. Spoczywał z głową zwróconą na bok

i zamkniętymi oczami, ale Sherlock usłyszał z ulgą, że oddycha ciężko przez usta. Włosy na potylicy pociemniały od krwi, która częściowo zakrzepła w gęstą, lepłą masę. Prawdopodobnie uderzono go od tyłu, tak że upadł. Miał szczęście, że żyje.

Sherlock zastanowił się przez chwilę. Człowiek, który wciągnął go do domu, był najpewniej niezrównoważony umysłowo. Czy ten na podłodze to jakiś jego opiekun? Strażnik? A temu szaleńcowi udało się go ogłuszyć i teraz szukał drogi ucieczki?

Sherlock ułożył nieprzytomnego mężczyznę w wygodniejszej pozycji, żeby łatwiej mu się oddychało. Trudno było nie zauważyć, że ubranie miał w podobnym stylu i z podobnego materiału co tamten. Możliwe, że pochodzili z tego samego miejsca.

Dobiegł go hałas z hallu. Akurat zdążył wrócić na krzesło, kiedy jednooki wrócił do pokoju. Na czole perlił mu się pot, lecz błyszcząca czerwona ruina lewej połowy twarzy była zupełnie sucha.

– Czeka na mnie statek, który zabierze mnie do Chin! – oświadczył, ale jedyne oko miał tak wytrzeszczone, że wokół całej tęczy było widać białko, jak u przerażonego konia, i Sherlock wiedział, że ów statek jest taką samą halucynacją jak dym, którego woń poczuł mężczyzna. Dym pożaru, po którym, jak sądził Sherlock, zostały mu te straszne blizny.

– Proszę iść przodem – powiedział Sherlock tak spokojnie, jak tylko mógł. – Ja pójdę za panem.

Miał nadzieję, że jego pewny siebie, opanowany ton przekona porywacza, żeby odwrócił się i poszedł, ale te słowa wywarły przeciwny efekt. Napastnik uniósł rękę, a wtedy Sherlock ujrzał z dreszczem zgrozy, że trzyma on srebrzystą broń o bardzo długiej lufie i obrotowym magazynku tuż przed rękojeścią.

– Nie zostawiać śladów! – oświadczył i wycelował w czoło Sherlocka.

Sherlock stoczył się z krzesła, pistolet wystrzelił z hukiem i dymem, a zagłówek, na którym chłopiec opierał głowę, zmienił się w poszarpaną masę tkaniny i końskiego włosia. Sherlock wszedł pod jeden ze stolików do kawy i cisnął nim w kierunku uzbrojonego człowieka. Ten wystrzelił ponownie z dzikim wyrazem twarzy, a ołowiana kula oderwała długie drzazgi z blatu stolika, który potoczył się na bok.

Porywacz znów celował w Sherlocka. Tym razem kula świsnęła nad głową chłopca i trafiła w okno, tłukąc szybę.

Sherlock skierował się do drzwi hallu. Czwarty strzał trafił we framugę, akurat gdy przebiegał obok, aż poleciały drzazgi.

Z korytarza do drzwi było za daleko. Kiedy będzie próbował je otworzyć, napastnik dotrze tam i znów będzie do niego strzelał, a on znajdzie się w pułapce. Zamiast tego odwrócił się i ruszył w górę po stopniach.

Tamten pojawił się u stóp schodów, gdy tylko Sherlock wbiegł na piętro. Przeładowywał broń. Najwyraźniej nie jest zupełnie szalony, pomyślał Sherlock, pędząc korytarzem. Kiedy na dole huknął strzał, łeb łosia zawieszony na desce w kształcie tarczy nagle przekrzywił się na bok; po jednym ze szklanych ślepi została dziura. Biedak, nie dość, że raz go zastrzelono, musiał znieść to poníženie po raz drugi i teraz nie miał nawet jak uciec!

Korytarz kończył się parą drzwi. Sherlock słyszał już kroki na schodach. Myślał gorączkowo, próbując przypomnieć sobie wygląd domu, gdy obserwował go z zewnątrz. Po tej stronie budynku rosła glicynia, sięgająca jednego z okien. Lewego czy prawego?

Wybrał prawe drzwi, raczej na chybił trafił. Gdyby zastanawiał się dłużej, i tak by zginął. Miał pięćdziesiąt procent szans.

Wystarczyło popchnąć, by drzwi się otworzyły. Wślizgnął się przez nie i szybko zamknął je za sobą. Jeśli człowiek z pistoletem będzie sprawdzał oba pokoje, Sherlock zyska parę minut, zanim go znajdzie.

W pomieszczeniu stało łóżko, nieposłane, jakby ktoś, kto w nim spał, wygrzebał się z niego i ubrał, nie dbając o porządek, a żadna służąca nie przyszła, by posprzątać. Sherlock uznał, że jedynymi ludźmi w domu byli człowiek z bronią i jego strażnik czy opiekun. Jeśli nie mieli dobrych zamiarów i ukrywali się przed jakimś nieznanym niebezpieczeństwem, służąca stanowiłaby dodatkowe zagrożenie. Najlepiej trzymać się z dala od ludzi, nie zwracając niczyjej uwagi. Co oznaczało, że zapewne sami sobie gotowali i sprząтали.

A to, pomyślał nagle Sherlock, oznacza, że w domu może być jeszcze co najmniej jedna osoba, jeśli szalowiec wymaga stałego nadzoru.

Nasłuchując odgłosów z zewnątrz albo nagłego otwarcia drzwi, Sherlock przekradł się do okna. Na podłodze obok łóżka zauważył czarny kuferek. Był otwarty, wewnątrz połyskiwały szkło i metal. Zaintrygowany podszedł bliżej i zajrzał do środka.

Po jednej stronie torby w pojedynczych przegródkach, umocowane paskami, tkwiły fiołki z przezroczystym płynem. Na dno wrzucono

beładnie różne instrumenty medyczne, skalpele i tym podobne. A poza nimi w kuferku leżało osobne długie, płaskie pudełko, które Sherlock rozpoznał. Widział już kiedyś takie pudełka, należały do lekarzy leczących jego siostrę, gdy była chora. Zwykle zawierały strzykawki do zastrzyków podskórnych: puste szklane cylindry z tłoczkiem, zakończone ostrą igłą, używane do wprowadzania leków do krwiobiegu. Przez chwilę znalazł się znów w domu rodziców, patrzył przez szparę w drzwiach, jak lekarze i pielęgniarki krzątają się przy łóżku siostry. Igły i strzykawki fascynowały go: odbłaski światła, groteskowa funkcjonalność, to, jak zacierały granicę między wnętrzem ciała a jego zewnętrzem. To, że dzięki nim znów było dobrze. To, że uciszały krzyki.

Wzdrygnął się. Nie czas na wspomnienia. Tuż za nim biega wariat z bronią.

Przez chwilę myślał, że okno zostało zaryglowane albo wręcz zabite gwoździami. Próbował je podnieść, ale ani drgnęło. Musi dać się otworzyć, powiedział sobie. Jeśli w tym pokoju walają się instrumenty medyczne, to nie może być sypialnia szaleńca, więc nie ma sensu zamykać okna na głucho.

W oknie obłąkanego zapewne tkwiłyby kraty.

Z całej siły pociągnął za dolną krawędź okna, które z piskiem drewna o drewno przesunęło się w górę. Cudownie chłodne powietrze owiało mu twarz. Przecisnął się na parapet i rozejrzał. Ani na drodze, ani w ogrodzie nie było śladu Matty'ego. W ogóle nikogo nie było widać.

Spojrzał w dół. Pnącza glicynii sięgały od okna aż do kwietników na dole. Mógłby z łatwością po nich zejść.

Ale co potem? Jeśli wariat wejdzie do pokoju, kiedy on znajdzie się w połowie drogi na dół, będzie go miał na widelcu. Może po prostu strzelić mu w głowę i patrzeć, jak spada.

Zerknął w górę. Glicynia, na ile mógł dostrzec, sięgała aż po dach, jej pędy wnikały w zaprawę między cegłami muru, a wokół krawędzi biegło coś w rodzaju gzymsu. Jeśli szaleniec wejdzie do pokoju i zbliży się do okna, odruchowo spojrzy w dół. Ale Sherlock będzie się wspinał w górę, może uniknie schwytania. Albo chociaż zyska kilka sekund.

Stanął na parapecie i chwycił prawą ręką pęk pnączy, lewą zaś ostrożnie opuścił okno. Już nie mógł się wycofać, lecz może w ten sposób zapewnił sobie kilka chwil bezpieczeństwa.

Wysunął w bok prawą nogę i stopą ostrożnie poszukał punktu, gdzie dwie skrzyżowane łądygi wytrzymałyby jego ciężar. Po ciągnącej się w nieskończoność chwili znalazł miejsce, które ugięło się lekko pod naciskiem, ale powinno było go utrzymać.

Nerwowo oparł się całym ciężarem na pnączach i rozpaczliwie machał lewą nogą w poszukiwaniu kolejnego punktu podparcia. Kiedy go znalazł, podciągnął się i sięgnął lewą ręką, żeby złapać za następną łądygę. Zamiast tego trafił na przerwę między ceglami. Wcisnął tam palce, cegły trzymały się mocno. Żmudnie, krok za krokiem, wdrapywał się w górę, aż okno zostało pod nim, a on wspinał się w stronę dachu.

Z góry osypał się ceglany pył, który wpadł mu do oczu. Z zamkniętymi powiekami potrząsnął głową, żeby się go pozbyć. Ale na jego ramiona i głowę posypało się więcej piasku i kawałków gruzu.

Glicynia zakołysała się pod nim nagle. Swoim ciężarem odrywał ją od ściany, odczepiając jej pędy, wrosnięte w wyrwy i załomy między ceglami. Czuł, że jego środek ciężkości odsuwa się od muru. Zerknął w dół i natychmiast poczuł mdłości, bo zakołysał się, a ziemia poniżej jakby zafalowała. łądygi, które ścisnął w prawej dłoni, zrobiły się wiotkie, więc szybko pomacał ręką nad sobą, szukając czegoś, czego mógłby się złapać. Z wdzięcznością zacisnął palce na grubym pnączu, które wydawało się mocno uczezione swojego miejsca, i opierając się na prawej stopie, podciągnął się w górę. Lewą ręką złapał się płaskiej dachówki na krawędzi dachu. Z ulgą odpoczął przez chwilę, by wyrównać oddech.

Poniżej usłyszał zgrzyt otwieranego okna.

Zamarł, przylgnąwszy do ściany tak blisko, jak tylko miał odwagę.

Raczej wyczuł, niż zobaczył, jak jakaś ciemna postać wychyla się przez okno, wpatrując się w teren przed domem. Wstrzymał oddech, bardzo nie chciał, żeby zdradził go jakiś dźwięk.

Z góry sypał się na niego ceglany pył. Czuł, że łądygi, które ścisnął w ręku, zaczynają odrywać się od muru. Za długo się ich trzymał – powinien przenieść swój ciężar gdzie indziej, ale nie śmiał.

Piasek wpadł mu do oczu, zamrugął.

Zaswędziało go w nosie. Miał ochotę kichnąć, zmarszczył jednak tylko nos, tak żeby zatkać sobie dziurki.

Postać poniżej chwiała się w przód i w tył, jej spojrzenie omiatało okolicę niczym snop światła z latarni morskiej. Nieco dalej, w ogrodzie na tyłach domu, Sherlock zobaczył stos drewnianych skrzynek. Między deskami były



szpary i wydawało mu się, że coś się w nich porusza, ale potem musiał znów się skupić, kiedy postać na dole odwróciła się i spojrzała w górę.

Na niego.

– Ty bezczelny, tchórzliwy kundlu! – wrzasnął jego prześladowca i znów strzelił.

Kula bzyknęła Sherlockowi koło ucha niczym wściekły szerszeń. Czuł, że jej gorąco przypaliło mu włosy. Rozpaczliwie wdrapał się na płaski gzyms na dachu, wciągając za sobą nogi, gdy wariat ponownie strzelił.

Na chwilę zapadła cisza, zdążył złapać oddech. Zsunął się ku krawędzi i wyjrzał.

Okno było puste. Szaleniec wchodził po schodach, żeby go dopaść.

Sherlock rozejrzał się rozpaczliwie. Gzyms, na którym leżał, miał zaledwie kilka stóp szerokości. Sam dach kryty dachówką zaczynał się dalej, wznosząc się stromo aż do kalenicy. Co mniej więcej dziesięć stóp nad gzymsem były lukarny – być może okna sypialni na drugim piętrze albo magazynów.

Musiał znaleźć drogę ucieczki, i to szybko.

Wiedział, że nie uda mu się zejść z powrotem po glicynii, więc pobiegł po gzymse do pierwszego okna. Było albo zamknięte, albo zamurowane. Przeszedł do drugiego – to samo. Trzecie okno okazało się lekko uchylone, nie dawało się jednak otworzyć ani trochę szerzej, bo drewno się wypaczyło.

Ruszył w stronę czwartego okna, ale nagle zdał sobie sprawę, że szaleniec z bronią stoi na rogu gzymsu, tam gdzie ten zakręcał na drugą stronę domu. Najwyraźniej udało mu się wyjść na dach, zanim Sherlock zdołał z niego zejść.

Długą lufę broni kierował prosto w pierś chłopca.

– Jeśli tu jeszcze tli życia iskierka, precz z nią do piekła! – wrzasnął, plując śliną. – Mów, zem ja cię posłał!<sup>3</sup>

Sherlock czekał, aż uderzenie pocisku zepchnie go z dachu. Zastanawiał się przez chwilę, czy wcześniej zabije go pocisk, czy upadek. To byłby ostatni eksperyment w jego życiu.

Zza załomu dachu wyłonił się ktoś inny, przysadzisty mężczyzna o jasnych włosach i popękanych żyłkach na nosie i policzkach. Lewą ręką założył szaleńcowi nelsona, podczas gdy prawą wbił mu w ramię igłę strzykawki. Wcisnął tłoczek, podając prosto do żył jakiś lek.

Wariat zwiotczał w jego ramionach, broń upadła z grzechotem na dach. Wciąż próbował mówić, ale teraz tylko bełkotał. Powieki mu zatrzepotały, po czym znieruchomiał.

Nieznajomy wyciągnął strzykawkę z jego ramienia. Wyplęło trochę jasnego płynu, a szaleniec osunął się na gzyms. Kiedy mężczyzna się wyprostował, spojrzał spokojnie na Sherlocka:

– Co tu robisz, chłopcze?

– Szukałem piłki w ogrodzie – odparł Sherlock, starając się mówić jak małe bezbronne dziecko – kiedy ten człowiek złapał mnie i wciągnął do środka.

Nie mógł nie zauważyć, że kiedy mężczyzna się wyprostował, podniósł też rewolwer i trzymał go przy udzie lufą w dół.

– A co ten dżentelmen chciał ci zrobić, kiedy wciągnął cię do domu?

– Nie wiem. Przysięgam, że nie wiem.

Mężczyzna zastanawiał się w milczeniu przez kilka chwil, uderzając długą lufą o spodnie.

– Wejść do domu – powiedział w końcu, dając mu znak bronią. – I weź go ze sobą – dodał, wskazując głową nieprzytomnego szaleńca. – Zaciągnij go za róg. Tam jest otwarte okno. Wsuń go do środka.

– Ale...

– Bez dyskusji. Po prostu zrób, co ci każę.

Sherlock zerknął na nieznajomego, potem na broń, i znów na niego. Mężczyzna nie wydawał się zdenerwowany, niespokojny ani szalony. Był zupełnie zdrowy na umyśle, ale i tak gotów strzelać.

Chłopiec podszedł więc i chwycił szaleńca za ramiona. Mężczyzna odsunął się, żeby zrobić mu miejsce. Sherlock przeciągnął ciało nieprzytomnego człowieka za róg, do otwartego okna, cały czas świadom, jak wąski jest gzyms. Jeden fałszywy krok i spadnie.

Ciało szaleńca było ciężkie i trudno się nim manewrowało. Sherlock czuł, że cały ocieka potem, gdy się z nim siłował. W końcu udało mu się wepchnąć go do połowy w okno. Przecisnął się za nim, po czym pociągnął mężczyznę za sobą.

Człowiek z bronią przez cały czas stał i patrzył.

Nagle zza pleców Sherlocka pojawiły się czyjeś ramiona, które złapały ciało nieprzytomnego.

– Zabiorę go stąd – odezwał się wysoki głos.

Zaskoczony Sherlock odwrócił głowę. Tuż obok niego stał czwarty mężczyzna, niski, tęgi i łysy. Brakowało mu też kawałka prawego ucha.

Sherlock odsunął się i pozwolił łysemu powlec nieprzytomnego po posadzce korytarzem do innej sypialni, z kluczem w zamku. Podczas gdy mężczyzna dźwigał tamtego na łóżko, Sherlock zauważył, że w tym pomieszczeniu faktycznie są kraty w oknach. To był pokój szaleńca.

Trzeci mężczyzna – ten przysadzisty o jasnych włosach – stał w drzwiach. Wciąż trzymał broń.

– Co z Gilfillanem? – zapytał.

– Paskudna rana głowy – odparł niski i łysy, który wciąż układał wariata na łóżku. – Kiedy się obudzi, łeb będzie go bolał jak diabli, ale poza tym chyba nic mu nie grozi. – Zachichotał. – Ma twardą czaszkę. Żeby naprawdę go uszkodzić, trzeba walnąć go dużo mocniej.

– Chętnie bym to zrobił! – warknął przysadzisty. – Cholerny głupiec, że pozwolił Boothowi, by tak go uderzył. Mógł zepsuć cały plan. Ostatnie, czego nam potrzeba, to Booth szalejący po okolicy, zwłaszcza w jego obecnym stanie.

Booth! Sherlock starał się ukryć emocje, ale poczuł ciepłą falę satysfakcji. Ten człowiek to naprawdę John Wilkes Booth, a nie John St. Helen.

Przysadzisty wciąż mówił. Wskazał Sherlocka bronią.

– A teraz przez niego mamy na głowie świadka.

Łysy przerwał to, co robił, i po raz pierwszy spojrzął na Sherlocka.

– Co z nim zrobimy, Ives?

Przysadzisty – Ives – wzruszył ramionami.

– Chyba nie mamy wyboru – stwierdził.

Łysy nagle jakby zrobił się nerwowy.

– Ale to tylko dzieciak. Nie moglibyśmy go po prostu puścić? – Odwrócił się do Sherlocka. – Niczego nie widziałeś, prawda, mały?

Sherlock starał się wyglądać na przerażonego, co nie było trudne.

– Jak mamę kocham, szefie – powiedział, starając się, żeby jego głos zabrzmiał możliwie szczerze. – Zapomnę o tym wszystkim. Przysięgam.

Ives go zignorował.

– Co z Boothem?

– Środek usypiający działa jak należy. Będzie spał przez kilka godzin.

Ives skinął głową.

– To mi da dość czasu.

– Czasu na co?

Ives uniósł rewolwer o długiej lufie i wycelował prosto w Sherlocka.  
– Żeby zabić dzieciaka i pozbyć się ciała. Zapamiętaj zasadę numer jeden: nie może zostać nikt, kto widział twoją twarz.

## ROZDZIAŁ 4



Sherlockiem wstrząsnął dreszcz. Mieli zamiar się go pozbyć, wyrzucić niczym worek ziemniaczanych obierek! Zerknął do przodu i do tyłu, szukając drogi ucieczki, ale Ives stał w drzwiach, a ten drugi, niski i łysy – między Sherlockiem a oknem. A nawet gdyby udało mu się wydostać przez okno, dokąd by poszedł? Pobiegliby za nim, otoczyli i albo by go zepchnęli, albo zastrzelili i patrzyli, jak spada z dachu.

– Proszę pana, ja nic nie widziałem – jęknął, by zyskać na czasie.

– Nie udawaj niewiniątka! – warknął Ives. Wyszedł na korytarz i dał Sherlockowi znak, żeby ruszył za nim. – Tędy, pospiesz się. – Zerknął na łysego, który, jak sądził Sherlock, miał jakieś wykształcenie medyczne, bo Ives najwyraźniej zdawał się na niego w kwestii ran i szaleństwa. – Berle, zamknij Boothę jak należy, a potem spróbuj postawić Gilfillana na nogi. Musimy się stąd wynieść. Za dużo ludzi już zauważyło coś dziwnego. Dałbym głowę, że nasz przyjaciel nie zakradł się tutaj z powodu zagubionej piłki, tylko albo się z kimś założył, albo chciał podejrzeć, co robimy.

Sherlock wyszedł do hallu. Zerknął na Berlego, który nie spojrział mu w oczy.

– Proszę, niech pan mu nie pozwoli mnie skrzywdzić! – jęknął, ale Berle odwrócił się z powrotem do nieprzytomnego Johna Wilkesa Boothę.

– Przykro mi, mały – mruknął. – Ale stawka jest za wysoka. Jeśli Ives mówi, że musisz zginąć, to tak będzie. Nie mam zamiaru się mieszać. – Zawahał się przez chwilę, patrząc na coś na komodzie. – A co z tym? – zapytał Ivesa.

– Z czym?

Berle sięgnął i wziął do ręki słoik przykryty kawałkiem muślinu obwiązanego sznurkiem. Sherlock ze swojego miejsca widział dziurki zrobione w tkaninie ostrym nożem. Tak postąpiłoby dziecko, które złapało

gąsienicę albo chrząszcza – trzeba przykryć słoik, żeby stworzenie nie uciekło, ale zrobić otwory, żeby mogło oddychać – jednak w środku nie dało się dostrzec żadnych owadów ani innych stworzeń. Jediną rzeczą w słoiku była połyskująca czerwona masa, jak kawałek wątroby lub wielki skrzep krwi.

Ives zerknął lekceważąco na słoik.

– Weźmiemy ze sobą – powiedział. – Szeft chce to mieć. Chce to mieć niemal tak bardzo jak Booth.

Berle z powątpiewaniem potrząsnął słoikiem.

– Jesteś pewien, że to wciąż żyje?

– Lepiej, żeby żyło. Szeft nie słynie z wyrozumiałości, jeśli ktoś go rozczaruje. A to coś przyjechało aż z Borneo. – Zmarszczył brwi z niepokojem. – Słyszałem kiedyś, że jeden z jego służących upuścił na werandzie dzbanek miętowej oranżady z lodem. Duke tylko spojrzął na niego bez słowa. Służący zaczął się trząść i poszedł tyłem przez ogród aż nad rzekę, cały czas trząsnął się i płakał, a potem wszedł tyłem do wody i po prostu zniknął. Jakby był zahipnotyzowany. Nikt go więcej nie widział. Duke twierdzi, że w tej rzece są aligatory, ale nie wiem, czy mówi prawdę.

Berle patrzył, nie kryjąc wątpliwości.

– Sądziłbym, że Duke posłuży się jednym z tych dwóch stworzeń, które trzyma na smyczy. Czy to nie ich używa do zabijania?

– Może chciał tylko dać coś do zrozumienia. Może one nie były głodne. – Ives potrząsnął głową. – Nieważne. To coś jedzie z nami, aż do domu.

Lufą popchnął Sherlocka korytarzem w stronę schodów.

– Co ma pan zamiar ze mną zrobić? – zapytał Sherlock.

– Nie mogę cię zastrzelić – zastanawiał się Ives. – Chyba że nie dasz mi wyboru. Jeśli znajdą zwłoki chłopaka z kulą w ciele, to zaraz rozpocznie się śledztwo, a dom, w którym mieszka czterech cudzoziemców, będzie pierwszym miejscem, gdzie zajrzy policja. Mógłbym ci wstrzyknąć za dużą dawkę jednego ze specyfików Berlego, ale szkoda ich na ciebie. Przy Boocie schodzą tak szybko, że mogą nam się jeszcze przydać. Nie, myślę, że uduszę cię jakąś szmatą. To nie zostawi wyraźnych śladów. Kilka mil stąd jest kamieniołom. Wsadzę cię na wózek, przykryję workami i zawiozę tam. Pełno tam dziur, w które będzie można wrzucić ciało. Jeśli ktoś cię znajdzie, władze uznają, że przypadkiem wpadłeś i rozbiłeś sobie głowę.

– Czy to takie ważne? – zapytał Sherlock.

– Czy co jest takie ważne?

– To, co tu robicie? Czy to naprawdę coś tak ważnego, że musi mnie pan zabić, aby być pewnym, że nikt się o niczym nie dowie?

Ives roześmiał się.

– Och, ludzie i tak się dowiedzą. Świat dowie się o wszystkim, ale wtedy, kiedy my o tym zdecydujemy.

Sherlock stał u szczytu schodów, Ives dał mu znak, żeby ruszył na pierwsze piętro. Niechętnie posłuchał. Wiedział, że w którejś chwili musi spróbować ucieczki, ale gdyby teraz usiłował się wymknąć, Ives po prostu by go zastrzelił i wymyślił jakiś inny sposób, żeby nigdy nie znaleziono ciała. Sherlock był pewien, że gdyby w tym momencie ruszył biegiem, sprawiłby najwyżej chwilowy kłopot Ivesowi, ale sam niczego by nie uzyskał. Może pojawi się jakaś szansa, kiedy wyjdą na zewnątrz.

Idąc po schodach, poczuł pod stopą coś leżącego na dywanie. Zanim zdążył zobaczyć, co to takiego, Ives popchnął go dalej. Kiedy się odwrócił, spostrzegł, jak w poprzek schodów, między poręczą a ścianą obłożoną boazerią, napina się sznurek. To właśnie na niego wcześniej nadepnął.

Ives, schodząc po stopniach, zaczepił stopą o ten sznurek. Jego ciało poruszało się naprzód, ale stopa została tam, gdzie była. Komicznie wytrzeszczył oczy, padając do przodu. Usiłował uchwycić się ściany i poręczy, uderzył rewolwerem o boazerię, po czym go upuścił. Sherlock odsunął się, gdy Ives spadał obok niego. Mężczyzna huknął barkiem o schody i poturlał się niezgrabnie, aż w końcu stoczył się na pierwsze piętro i rozciągnął na dywanie.

Sherlock, stojący w połowie stopni, zerknął nad poręczą. Poniżej, z półmroku pierwszego piętra, spoglądała ku niemu blada twarz Matty'ego. Jego kumpel trzymał koniec sznurka, który prowadził do poręczy i w poprzek schodów, aż do miejsca, gdzie między listwą przypodłogową a ścianą tkwił wbity pospiesznie gwoździec. Sznurek był przywiązany do jego głowy.

– Miałeś szczęście, że nie wyrwał gwoździa swoim ciężarem – zauważył spokojnie Sherlock, chociaż serce łomotało mu w piersi.

– Nie – poprawił go Matty. – To ty miałeś szczęście, że go nie wyrwał. Dla mnie to bez różnicy. On nie wiedział, że tu jestem.

Sherlock zszedł na pierwsze piętro i pochylił się, żeby sprawdzić, co z Ivesem. Był nieprzytomny, na czole miał paskudny czerwony ślad. Sherlock podniósł jego broń. Lepiej nie ryzykować.

Matty zbliżył się do niego.

– Czy ty masz jakiś problem z domami obcych ludzi? – zapytał.

– O co ci chodzi?

– Że znów muszę cię wyciągać z tarapatów. – Matty spojrzał na schody. – Co się tam dzieje? Widziałem, jak facet ze spaloną twarzą wciąga cię do domu, a później dwóch innych, jak podjeżdżają wozem. Potem nagle pojawiliście się na dachu. Zobaczyłem, że mają broń, więc pomyślałem, że przyjdę, żeby cię stamtąd wydostać. – Potrząsnął głową. – Jak na tak łebskiego gościa za często dajesz się złapać. Nie mogłeś ich jakoś zagadać?

– Sądzę – odparł Sherlock – że to właśnie przez gadanie czasem pakuję się w kłopoty. – Urwał i zastanowił się. – Skąd wzięłeś ten sznurek?

– Z kieszeni – wyjaśnił Matty. – Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać.

– Chodźmy – powiedział Sherlock. – Musimy się stąd wydostać.

– Na dole jest jeszcze jeden gość – zauważył Matty – ale nieprzytomny. Przynajmniej tak było, kiedy przyszedłem. Lepiej uważajmy, na wypadek gdyby się obudził.

Zeszli na palcach na parter i przemknęli się obok salonu. Mężczyzna, którego Sherlock wcześniej widział nieprzytomnego i krwawiącego – Ives mówił o nim Gilfillan – leżał teraz na kanapie, chrapiąc. Przekradli się obok niego, wyszli za drzwi, przez ogród i ruszyli drogą do miejsca, gdzie Matty uwiązał wierzchowce.

– Czy dowiedziałeś się tego, czego chciałeś? – zapytał Matty, kiedy wsiedli na konie.

– Chyba tak – powiedział z namysłem Sherlock. – W domu jest czterech mężczyzn, wszyscy są Amerykanami. W każdym razie trzech z nich – nie słyszałem głosu tego ostatniego. Jeden z nich jest słaby na umyśle, a drugi to lekarz, który się nim opiekuje. Dwaj pozostali chyba pilnują, żeby nie uciekł. Postawili pewnie jednego na straży, kiedy dwóch z nich wyszło – może po jedzenie albo coś innego, a wtedy ten wariat, który nazywa się John Wilkes Booth, go ogłuszył. Uznał, że biorę udział w jakimś spisku przeciwko niemu i dlatego wciągnął mnie do domu.

– Ale przede wszystkim co oni robią w Anglii? – dociekał Matty.

– Nie wiem, ale coś tu się dzieje. To nie jest tylko sanatorium dla szalonych zamachowców.

– Szalonych zamachowców?

– Opowiem ci o wszystkim, gdy dojedziemy do dworu Holmesów.



Jazda z powrotem do Farnham zajęła im ponad godzinę, a Sherlock z każdą milą coraz bardziej upadał na duchu. Jak ma wytłumaczyć Mycroftowi i Amyusowi Crowe'owi, że w rezultacie jego dyskretnej wyprawy na przespiesi czterech mężczyzn w tamtym domu zostało ostrzeżonych, że ktoś wie o ich niecznych zamiarach? Gdyby wcześniej się lepiej nad tym zastanowił, w ogóle by się tam nie zbliżał.

Kiedy dotarli do dworu Holmesów, powóz Mycrofta wciąż stał przed wejściem.

– Cóż – powiedział Matty – powodzenia.

– Jak to: powodzenia? Nie wejdiesz ze mną?

– Chyba żartujesz. Pan Crowe mnie przeraża, a twój brat jeszcze bardziej. Wracam na barkę. Jutro opowiesz mi o wszystkim. – Z tymi słowami Matty zawrócił konia i oddalił się kłusem w stronę stajni.

Wziąwszy głęboki oddech, Sherlock wkroczył do hallu, podszedł do biblioteki i zapukał do drzwi.

– Proszę wejść – zadudnił głos jego brata.

Mycroft i Amyus Crowe siedzieli razem przy długim stole do czytania z boku pokoju. Przed nimi piętrzył się ogromny stos książek – historycznych, geograficznych, filozoficznych – oraz trzy wielkie atlasy, otwarte, jak się wydawało Sherlockowi, na mapach obu Ameryk.

Mycroft zmierzył brata krytycznym spojrzeniem.

– Ktoś na ciebie napadł – powiedział – i to nie ktoś w twoim wieku.

– Ani z tego kraju – zahuczał Amyus Crowe.

– Właściwie – zauważył Mycroft, zerkając na buty Sherlocka – napastników było dwóch. Jeden z nich był w jakiś sposób niezrównoważony.

– A obaj uzbrojeni w pistolety – dodał Crowe.

– Skąd wiecie? – zapytał zdumiony Sherlock.

– To nieistotne. – Mycroft machnął lekceważąco dłonią. – Szkoda czasu na wyjaśnienia. Ważniejsze jest to, gdzie się podziewałeś i dlaczego ktoś na ciebie napadł.

Sherlock niechętnie opowiedział im o wszystkim, co się stało, a na koniec uświadomił sobie, że wciąż ma pistolet Ivesa wetknięty za pasek spodni. Wyciągnął go i położył na biurku przed Mycroftem i Crowe'em.

– To model Colt Army – zauważył łagodnie Crowe. – Kaliber czterdzieści cztery, sześciopalcowy. Czternaście cali<sup>4</sup> od kurka do końca lufy. Zastąpił colta Dragoon jako ulubioną broń armii Stanów Zjednoczonych. Celność

do stu jardów. – Walnął pięścią w stół, że pistolet aż podskoczył. – Coś ty, na miłość boską, sobie myślał, jadąc do tamtego domu?! – ryknął. – Ostrzegłeś Bootha i jego opiekunów, że ktoś ma ich na oku. Zmyją się stamtąd, ani się obejrzymy.

Sherlock przygryzł wargę, starając się powstrzymać od odpowiedzi.

– Chciałem się tylko rozejrzeć – wyznał w końcu. – Sądziłem, że mógłbym pomóc.

– Nie pomogłeś, a wręcz zaszkodziłeś! – wybuchnął Crowe. – To jest sprawa dla dorosłych. Nie masz ani umiejętności, ani wiedzy, żeby zrobić to jak należy.

Część umysłu Sherlocka – ta beznamietna, zdystansowana – zauważyła, że Crowe, kiedy się złości, zaczyna mówić z silniejszym akcentem, ale reszta aż skręcała się na myśl, że zawiódł dwóch spośród trzech mężczyzn, na których opinii zależało mu najbardziej na świecie. Otworzył usta, żeby powiedzieć „przepraszam”, ale tak zaschło mu w gardle, że nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Mina Mycrofta wyrażała raczej rozczarowanie niż gniew.

– Idź do swojego pokoju, Sherlocku – rzekł. – Zawołamy cię, kiedy – zerknął na Crowe’a – będziemy pewni, że możemy porozmawiać spokojniej. A teraz idź.

Z policzkami palącymi ze wstydu Sherlock odwrócił się i wyszedł z biblioteki.

Popołudniowy upał sprawiał, że w hallu było duszno. Przystanął na moment, zwieszając głowę, i czekał, aż emocje nieco z niego opadną i poczuje się na siłach podjąć długą wspinaczkę do swojego pokoju. Bolała go głowa.

– Czyżbyśmy wypadli z łask? – odezwał się z półmroku jakiś głos.

Sherlock podniósł wzrok, gdy pani Eglantine wysunęła się z kąta pod schodami. Uśmiechała się złośliwie. Jej czarne spódnice poruszały się sztywno wokół niej, a ich szelest na podłodze przypominał szept w odległym pokoju.

– Jakim cudem wciąż pracuje pani w tym domu, choć jest pani taka nieuprzejma dla wszystkich? – zapytał, nie mając nic do stracenia. Dziś nie mogło się już zdarzyć nic gorszego. – Gdyby to ode mnie zależało, już dawno bym panią zwolnił.

Zaskoczył ją tymi słowami. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Nie masz w tym domu nic do gadania! – warknęła. – To ja tu rządzę.

– Tylko dopóki żyje stryj Sherrinford – zauważył Sherlock. – Ani on, ani stryjenka Anna nie mają dzieci, więc po jego śmierci dom przejdzie na własność rodziny mojego ojca. A wtedy zalecałbym pani ostrożność, pani Eglantine.

Zanim odpowiedziała, ruszył schodami do swojego pokoju. Gdy spojrzął w dół z pierwszego piętra, wciąż stała w hallu.

Położył się na łóżku, zasłaniając oczy ramieniem, i poddał się myślom kłębiącym mu się w głowie. Co on sobie wyobrażał? Mycroft i Crowe ostrzegali go, żeby nie próbował pomagać. Co właściwie starał się im udowodnić?

Chyba się zdrzemnął, ponieważ światło w pokoju niespodziewanie się zmieniło i poczuł, że zdrewniało mu ramię, którym zasłaniał sobie twarz. Wstał i powoli zszedł po schodach; głównie po to, żeby poszukać czegoś do jedzenia. Nagle poczuł, że jest strasznie głodny.

Służące zastawiały stół do kolacji. Mycroft właśnie wychodził z biblioteki. Amyusa Crowe’a nigdzie nie było widać.

Mycroft skinął głową na widok Sherlocka.

– Lepiej się czujesz? – zapytał.

– Niespecjalnie. Zrobiłem głupstwo.

– Nie po raz pierwszy i pewnie nie ostatni. Pamiętaj tylko, żeby wyciągnąć z tego wnioski. Błąd można wybaczyć za pierwszym razem. Potem staje się nużący.

Jedna z pokojówek wyszła z jadalni z małym gongiem. Nie patrząc na Mycrofta ani na Sherlocka, uderzyła weń głośno, tylko raz, po czym znów wycofała się do pomieszczenia.

– Wejdziemy? – zapytał Mycroft.

Chwilę później dołączyli do nich Sherrinford i Anna Holmesowie. Mycroft przez większość kolacji dyskutował ze stryjem na temat trafności łacińskiego przekładu greckiego tłumaczenia hebrajskich i aramejskich ksiąg Starego Testamentu. Stryjenka Anna mówiła głównie do Sherrinforda i Mycrofta, nie zwracając uwagi na to, że są pogrążeni w rozmowie, chociaż aby zachować się uprzejmie, Mycroft co jakiś czas odwracał się do niej i odpowiadał na pytania, które pojawiały się w jej niekończącym się monologu. Sherlock skupił się na jedzeniu, unikając spojrzenia pani Eglantine, która wpatrywała się w niego ze swojego stanowiska pod oknem.

Po kolacji Sherrinford i Anna odprowadzili Mycrofta na ganek, żeby się z nim pożegnać.

– Twoja greka jest płynna, a łacina szczególnie biegła pod względem gramatycznym – oświadczył Sherrinford, co w jego ustach było najwyższą pochwałą. – Nasza rozmowa sprawiła mi ogromną radość. Masz pewne braki w znajomości Starego Testamentu, ale na podstawie tego, co ci przekazałem, wyciągnąłeś kilka zdumiewających wniosków. Będę musiał się poważnie i wnikliwie zastanowić nad tym, co powiedziałeś na temat początków Kościoła. Odwiedź nas znowu.

Stryjenka Anna zaskoczyła wszystkich, ponieważ postąpiła naprzód i położyła dłoń na ramieniu Mycrofta.

– Zawsze będziesz tu mile widziany – rzekła. – Żałuję... że niechęć podzieliła naszą rodzinę. Wolałabym, żeby było inaczej.

– Stryjenko, twoja dobroć to siła zdolna pokonać wszelkie przeszkody – odparł łagodnie Mycroft. – A życzliwość, jaką okazałaś, opiekując się Sherlockiem, zawstydzą nas wszystkich. Myślę, że możemy uznać to nieporozumienie nie tylko za zażegnane, lecz także za niebyłe. – Zerknął w półmrok hallu, gdzie Sherlock wciąż dostrzegał przyglądającą się im ciemno ubraną postać. Mycroft zniżył głos. – Ale dopóki pewna osoba wciąż ma wpływy w tym domu, sądzę, że nigdy nie będę czuł się tak mile widziany, jak stryjenka by sobie życzyła.

Anna odwróciła wzrok. Sherlockowi wydawało się, że widzi w jej oczach błysk łez.

– Jesteśmy tu, gdzie jesteśmy – stwierdziła zagadkowo. – I robimy to, co robimy.

Mycroft zrobił krok w tył.

– Muszę was teraz opuścić – powiedział. – Jeszcze raz dziękuję za wszystko. Czy mogę po raz ostatni nadużyć waszej życzliwości i poprosić, by Sherlock towarzyszył mi na stację? Powóz odwiezie go z powrotem.

– Oczywiście – odrzekł Sherrinford.

Kiedy dorożka wyjechała poza teren majątku na drogę, Sherlock spojrzął w tył. Na schodach ujrzał trzy postacie – stryjenki, stryja i pani Eglantine. I czy to przez przypadek, czy celowo, ochmistrzyni stała na najwyższym stopniu, górując nad swymi chlebobdawcami.

– Chciałbyś jeszcze porozmawiać o tym, co wydarzyło się w ciągu dnia – domyślił się Sherlock, gdy powóz podskakiwał na wybojach i kamieniach.

– Oczywiście. Zatrzymamy się w domu pana Crowe’a. Mamy wiele do omówienia.

Powóz z łoskotem toczył się drogą.

Sherlocka wciąż bolała skóra głowy, tam gdzie pokaleczony wariat chwycił go za włosy, wlokąc do domu. Chłopiec dyskretnie pociągnął za kosmyk, by sprawdzić, czy się trzyma. Od nagłego bólu aż łzy stanęły mu w oczach, ale włosy tkwiły na swoim miejscu. Dzięki Bogu.

Po dziesięciu minutach dorożka zwolniła i Sherlock dostrzegł podobny do bochna chleba kształt krytego strzechą dachu wyłaniający się zza kępy krzewów.

– Chodź – powiedział Mycroft, gdy powóz zatrzymał się przed furtką w kamiennym murku. – Pan Crowe czeka na nas.

Drzwi domku były otwarte. Mycroft zapukał, po czym wszedł, nie czekając na odpowiedź.

Amyus Crowe siedział przy palenisku na krześle, które pod jego potężną postacią wydawało się malutkie. Palił cygaro.

– Pan Holmes – rzekł spokojnie, skłoniwszy się lekko.

– Panie Crowe – odparł Mycroft – dziękuję, że zechciał się pan z nami zobaczyć.

– Usiądźcie, proszę.

Mycroft wybrał jedyny fotel w pokoju. Sherlock usiadł na stołku przy zimnym, pustym palenisku i się rozejrzał. W domku Amyusa Crowe’a panował taki sam nieład, jaki zapamiętał z pierwszej wizyty. Do drewnianego gzymsu kominka przybito nożem plik listów, a z pojedynczego pantofla na podłodze wystawał rozcapierzony pęk cygar. Była też mapa okolicy przypięta do ściany. Narysowane na niej kręgi i kreski tworzyły z pozoru chaotyczny wzór. Niektóre z linii wybiegały poza mapę, na otynkowaną ścianę.

Sherlock zastanawiał się, gdzie jest Virginia, córka Crowe’a. Nie było jej widać w domku, a znając jej krnąbrny charakter, jasne było, że na pewno nie siedziałaby potulnie w pokoju, podczas gdy dorośli rozmawiają. Może swoim zwyczajem wybrała się na konną przejażdżkę. Sherlock nie zauważył przed domkiem jej konia, Sandii.

Uśmiechnął się. Virginia nie znosiła przebywać pod dachem. Pod pewnymi względami przypominała zwierzątko.

– Może kieliszek sherry? – zaproponował Crowe. – Sam jej nie znoszę – smakuje, jakby coś wlało do beczki i tam zdechło – ale trzymam butelkę

dla gości.

– Dziękuję, ale nie – odmówił grzecznie Mycroft. – Sherlock nie pije, a ja wolę brandy o tej porze dnia. – Zerknął na brata. – Ameryka wciąż nie dorobiła się swojego narodowego trunku – wyjaśnił Crowe. – Francuzi mają wino i brandy, Włosi grappę, Niemcy piwo, Szkoci whisky, a Anglicy ale<sup>5</sup>, podczas gdy nasi kuzyni po drugiej stronie oceanu wciąż szukają swojej tożsamości.

Sherlock miał wrażenie, jakby Mycroft wcale nie mówił o trunkach, lecz o czymś zupełnie innym, dużo bardziej subtelnym, tylko że za nic nie mógł zrozumieć, o co chodzi.

– Meksykanie mają alkohol destylowany z kaktusów – powiedział pogodnie Crowe. – Nazywają go tequila. Może powinniśmy go uznać za swój.

– Co to jest kaktus? – zapytał Sherlock.

– To mięsista roślina o grubej skórze pokrytej kolcami – odparł Crowe. – Rośnie w słońcu i piasku, na suchych, gorących terenach w Teksasie, Nowym Meksyku i Kalifornii. Gruba skóra zapobiega parowaniu wody, a kolce przeszkadzają krowom, koniom i tym podobnym stworzeniom dostać się do soczystego miąższu. Kaktus to dowód, że albo istnieje jakiś Stwórca, który wymyśla różne rzeczy przystosowane do odmiennych środowisk, albo że jest jakaś siła, która skłania żywe organizmy, żeby zmieniały się tak, by przetrwać w dowolnym miejscu, w jakim przyszło im żyć, jak utrzymuje Charles Darwin. Sam zdecyduj.

– Ale wracając do tematu, co udało się panu ustalić? – zapytał Mycroft.

Crowe wzruszył ramionami.

– Znalazłem ten dom. Jest pusty. Zdaje się, że mieszkańcy opuścili go w pośpiechu. Rozmawiałem z parobkiem z gospodarstwa przy drodze, który widział, jak odjeżdżali. Twierdził, że było ich czterech. Jeden wyglądał, jakby spał, drugi miał całą zabandażowaną głowę, a dwaj pozostali mieli niezadowolone miny, tak jakby czekała ich długa, nieprzyjemna podróż.

– Ptaszki uciekły. – Mycroft zastanowił się przez chwilę. – Czy są jakieś inne dowody na to, że śpiący mężczyzna to John Wilkes Booth?

Crowe ponownie wzruszył ramionami.

– Oprócz tego, co powiedział nam twój brat, nie. Ważna jest informacja, że na twarzy ma stare blizny po poparzeniu. Ostatnio słyszano o nim, kiedy wdał się w strzelaninę z żołnierzami w jakiejś stodole w Wirginii.

Wytropili go i kazali mu się poddać, ale on zaczął strzelać. Wojsko odpowiedziało ogniem i podczas strzelaniny stodoła zaczęła się palić. Być może przewróciła się lampa naftowa. W każdym razie, kiedy ogień przygasł, żołnierze wydobyli zwłoki ze zgliszczy. Były tak poparzone, że nie mogli stwierdzić tożsamości, więc uznali, że to Booth. Teraz okazuje się, że Boothowi udało się uciec, ale jakiś jego współnik zaplątał się w pożarze i nie zdołał się wydostać. – Urwał. – Booth był zawsze dość nerwowy. Wydaje się, że straszny czyn, jaki popełnił, a potem ucieczka i pożar nadwerżyły jego umysł. Ciekawe, że najwyraźniej jest pod opieką jakiejś organizacji, która go potrzebuje. Sądząc z tego, co przekazał nam obecny tu młodzieniec, nie nadaje się na przywódcę, co więc innego może dla nich zrobić?

– Jest symbolem – stwierdził Mycroft. – Może najszlachetniejszym konfederatem poza generałem Lee i Jeffersonem Davisem. Jeśli w Ameryce zostały niedobitki zwolenników Konfederacji i jeżeli choćby tli się w nich pragnienie, żeby obalić nowego prezydenta i ustanowić kogoś bliższego ich przekonaniom, to John Wilkes Booth będzie idealną postacią, wokół której można się skupić. Muszą tylko dowieźć go na kilka potajemnych wieców, opowiedzieć o tym, jak to odważył się spróbować zniszczyć Unię za pomocą kilku dobrze wymierzonych kul, a mogą na nowo rozpalic tłumy.

– Tego właśnie się obawiałem – przyznał Crowe, kiwając głową. – To bez znaczenia, czy on jest obłąkany, muszą tylko go odurzyć, żeby stał spokojnie na scenie, a oni będą wygłaszać przemowy. – Urwał na chwilę. – Jakie stanowisko zajmuje brytyjski rząd w tej sprawie?

– Nie mogę mówić w imieniu rządu brytyjskiego – powiedział Mycroft roztropnie. – Wiem jednak, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych popiera obecny rząd amerykański i wolałoby nie być świadkiem odrodzenia się Konfederacji. Niewolnictwo to odrażająca praktyka, której należy położyć kres. Pierwsze, co zrobiłby prezydent konfederatów, to zniweczyłby kroki poczynione przez prezydenta Lincolna i jego następcę. Na to nie ma zgody.

Crowe westchnął.

– Oni mają zamiar wrócić do Stanów, prawda?

Mycroft przytaknął.

– Więc będę musiał pojechać za nimi.

– Możemy wysłać telegram – zaproponował Mycroft. – Dotrze na drugą stronę Atlantyku wcześniej niż oni.

Crowe potrząsnął głową.

– Nie wiemy, którym statkiem popłyną.

– Możemy sprawdzić listy pasażerów – powiedział Mycroft. – Bez wątpienia podadzą fałszywe nazwiska, ale możemy szukać podróżujących razem czterech mężczyzn, z których jeden jest najwyraźniej chory.

– Nie będą podróżować razem. – W głosie Crowe'a brzmiała pewność. – Kupią osobne bilety i może wynajmą pielęgniarza do opieki nad Boothem. Jak wysledzimy czterech pojedynczych ludzi, których nazwisk nie znamy? I nawet nie wiemy, jak wyglądają. – Nagle uderzył pięścią w podłokietnik fotela, tak że Sherlock aż podskoczył. – Jestem tropicielem. Muszę ich znaleźć. Po prostu. Trzeba założyć, że zmierzają do Nowego Jorku.

– Mógłbym pomóc – Sherlock sam był zaskoczony własnymi słowami. – Tylko ja ich widziałem. Mogę pojechać do portu i zobaczyć, kto wsiada na statek.

– Nie wiemy, gdzie będą wsiadać – zauważył Crowe.

– To może być Southampton albo Liverpool, albo nawet Queenstown – dodał łagodnie Mycroft. – Jeden chłopiec, nawet bardzo bystry, nie może obserwować trzech portów.

– Ale... – zaczął Sherlock i umilkł. Chciał powiedzieć, że Crowe nie może wyjechać z Anglii, bo on dopiero zaczyna pojmować to, czego go uczył, a jeśli już ma wyjechać, nie może zabrać ze sobą swojej córki. Virginia wzbudzała w Sherlocku uczucia, które niezupełnie rozumiał, ale chciał się przekonać, dokąd go zaprowadzą, chociaż się ich bał. Wiedział jednak, że żaden z tych argumentów nie będzie się liczył wobec niejasnego, ale z pewnością ważnego spisku wymierzonego przeciwko władzom całego kraju.

Jednak wyglądało na to, że jego życie przewróci się do góry nogami.

Po raz kolejny.



## ROZDZIAŁ 5



Mycroft i Crowe zaczęli rozmawiać o rozkładzie rejsów i portach, w których tamci mogliby wsiąść na statek i zejść na ląd. Sherlock szybko się tym znudził. Wciąż głowił się, co zrobić, żeby Amyus i Virginia nie musieli wyjeżdżać z Anglii.

– Nadal nie wie pan, jak oni wyglądają – zauważył po kilku minutach. – Może pan ich śledzić, ale jak pan ich rozpozna, kiedy już pan ich znajdzie? Dopóki będą trzymać tego z bliznami w ukryciu, będzie ich tylko trzech. Nie wyróżniają się niczym szczególnym oprócz akcentu, a myślę, że gdy dotrze pan do portu, z którego odbija statek do Ameryki, będzie tam wielu ludzi mówiących w podobny sposób.

– Możesz mi opowiedzieć, jak wyglądają – odparł na to Crowe. – Uczyłem cię przecież zwracać uwagę na detale, którymi jedna twarz różni się od drugiej: kształt uszu, linia włosów, wykrój oczu. Możemy nawet sporządzić kilka szkiców na podstawie twojego opisu. Virginia ma smykałkę do rysunków.

– Nie jestem pewien, czy to wystarczy – zastanawiał się Mycroft. – Relacja jednego świadka – nawet tak spostrzegawczego jak mój brat – często może być niedokładna, zafałszowana pod wpływem stresu. Od dawna mnie to interesuje – to, jak ludzki umysł potrafi wymyślać różne szczegóły i przekonać sam siebie, że są prawdziwe. Podejrzewam, że w brytyjskich więzieniach wielu jest niewinnych ludzi, których wtrącono tam na podstawie wątpliwych relacji jednej osoby. Kiedy powiesz komuś, że szukasz człowieka z brodą, nagle wszędzie wokół są brodacze. Nie, wszystko, co pamięta Sherlock, trzeba traktować z pewną dozą rezerwy.

Sherlock już miał zaprotestować, że doskonale pamięta wszystkich czterech mężczyzn, ale coś go powstrzymało. Czuł, że dyskusja obraca się na jego korzyść, a Mycroft i Crowe zaczynają zdawać sobie sprawę, że

problem jest poważniejszy niż sądzili, i nie chciał zrobić nic, co mogłoby to zepsuć.

Ale choć całym sercem pragnął powstrzymać Amyusa i Virginie od wyjazdu, rozum mówił mu, że gra toczy się o wysoką stawkę. Ani Mycroft, ani Crowe nigdy jeszcze nie byli tak poważni. Miał wątpliwości, czy w pełni rozumie możliwe konsekwencje całego zamieszania – w jaki sposób czterech mężczyzn, w tym jeden zapewne szalony, zagraża polityce całego narodu? – ale czuł, że przy tej skali jego drobne problemy wydają się nieistotne. Jeśli tylko może pomóc, powinien to zrobić, niezależnie od tego, jak wysoką cenę miałby zapłacić.

To była dziwnie dorosła myśl, ale nie podobały mu się płynące z niej wnioski.

– Matty też ich widział – powiedział nagle, niemal bez zastanowienia.

– Co masz na myśli? – zapytał Mycroft, odwracając się ku niemu.

– Matty widział człowieka, który wciągnął mnie do domu – tego, który być może jest Johnem Wilkesem Boothem – a później, kiedy mnie uratował, widział co najmniej dwóch spośród trzech pozostałych. Jeden z nich był nieprzytomny – żaden z nas nie przyjrzał mu się dobrze. Jeśli chcesz mieć opis, ale obawiasz się, że nie należy polegać na mojej pamięci, to wezwij tu Matty'ego. Może dzięki nam dwóm uda się uzyskać dobry opis – zwłaszcza jeśli przepytasz nas osobno, nie razem. W ten sposób żaden z nas nie wpłynie niechcący na drugiego.

– Chłopak ma rację – zahuczał Crowe. – Co dwie głowy, to nie jedna. Mógłbym posłać Virginie, żeby przywiozła Matty'ego. Wie, gdzie cumuje jego barka. – Kiwnął głową. – Szkic na podstawie tego, co pamiętają obydwaj, będzie dużo bliższy prawdy niż oparty na relacji tylko jednego.

Mycroft patrzył spokojnie na Sherlocka.

– Rozumiem, że nie chcesz, żeby pan Crowe i jego córka wyjechali – rzekł cicho. – A jednak zaproponowałeś coś, co sprawi, że prawdopodobnie tak się stanie. Myślisz jak mężczyzna, nie jak chłopiec. Jestem z ciebie dumny, Sherlocku. Ojciec także byłby dumny.

Sherlock odwrócił się, żeby Mycroft nie zobaczył łez w jego oczach.

Crowe, który nie słyszał rozmowy braci, podniósł się z twardego krzesła i ciężkim krokiem podszedł do wyjścia.

– Ginnie! – zawołał, otworzywszy drzwi. – Przyjdź tutaj!

Czekał przez chwilę, dopóki się nie upewnił, że córka ruszyła w jego stronę, po czym wrócił do środka i stanął za krzesłem.

W progu pojawiła się Virginia Crowe. Zerknęła na Sherlocka i się uśmiechnęła. Jak zwykle zadziwiło go, ile jest w niej koloru: miedziane włosy, smągła cera, piegi rozsypane na policzkach i nosie, fioletowy odcień oczu. Inne dziewczyny wyglądały przy niej jak czarno-biały rysunek.

– Tak, ojczy?

– Mam dla ciebie sprawę do załatwienia. Chciałbym, żebyś pojechała nad rzekę i przywiozła tu tego małego Arnatta. Zamierzam zadać mu kilka pytań dotyczących dzisiejszego dnia. Powiedz mu, że nie czekają go żadne kłopoty, tylko że potrzebuję jego pomocy.

Skinęła głową.

– Chcesz, żebym przywiozła go na Sandii?

– Tak będzie szybciej. Koń udźwignie was oboje. To nieduży chłopak.

– Ale zadziorny – dodał Sherlock w obronie Matty’ego.

– Co do tego nie mam wątpliwości – powiedział Crowe. Spojrzał na Virginie. – Nie trać czasu.

Znów zerknęła na Sherlocka, jakby chciała coś powiedzieć, może zapytać, czy pojedzie razem z nią, ale zamiast tego odwróciła się i wyszła. Po kilku chwilach chłopiec usłyszał, jak koń Virginii rzy na jej powitanie, a potem dobiegł ich brzęk uprzęży i oddalający się tętent kopyt.

Crowe i Mycroft wrócili do rozmowy o tym, jak można przebyć Atlantyk szybciej niż czterech Amerykanów. Wszystko zależało od tego, który wybiorą statek i z którego portu odpłyną. Pewne statki były szybsze niż inne. Niektóre z nowszych okrętów nie polegały tylko na wietrze i żaglach, ale uzupełniały je potężnymi silnikami parowymi napędzającymi wielkie koła, podobne do młyńskich, z drewnianymi łopatkami umieszczonymi na obwodzie. Dzięki temu statek mógł płynąć, nawet gdy nie było wiatru. Przecież z pomocą takich maszyn można dotrzeć wszędzie, rozwiązać wszelkie problemy. Co będzie dalej – zastanawiał się Sherlock – czy drogi zapełnią się napędzanymi parą wozami i karetami, które w kilka godzin zawiozą podróżnych z Londynu do Liverpoolu? A może nawet dalej – czy pewnego dnia za pomocą statku parowego człowiek dotrze na Księżyc?

Potrząsnął głową, żeby pozbyć się tych nedorzecznych myśli, i zaczął znów przysłuchiwać się Mycroftowi i Crowe’owi, dyskutującym o polityce, podróżach i rewolucji.

Rozmowa trwała, a Sherlock na przemian to nadażał za nią, to gubił wątek. Polityka wydawała mu się czymś abstrakcyjnym, chociaż co jakiś

czas Crowe sprowadzał ją na ziemię, opowiadając o tym, ilu ludzi zginęło w określonym miejscu bądź czasie albo jak jakieś miasto legło w gruzach.

Wreszcie usłyszał szybki tętent kopyt. Podeszedł do drzwi, żeby przywitać Virginie i Matty'ego.

Na zewnątrz, w świetle wczesnego wieczoru, zobaczył zbliżającego się Sandię – konia Virginii. Ciemny kształt na jego grzbiecie musieli tworzyć Virginia i Matty. Przez chwilę Sherlock pozazdrościł Matty'emu, że jest tak blisko niej. Ale tylko przez chwilę.

Gdy Sandia podjechał bliżej, sylwetka na siodle okazała się jedną postacią zamiast dwóch. To była Virginia, która zatrzymała wierzchowca tuż przed Sherlockiem. W jej oczach widać było strach, a włosy zmieniły się na wietrze w splątana masę.

– Gdzie jest Matty? – zapytał Sherlock.

Zeskoczyła z siodła i natychmiast pobiegła do domu. Sherlock poszedł za nią.

– Porwali Matty'ego! – krzyknęła.

– Co ty mówisz? – Mycroft podniósł się zza stołu.

– Pojechałam do barki i powiedziałam, żeby zabrał się ze mną – opowiadała pospiesznie. – Oboje wsiedliśmy na grzbiet Sandii. Ruszyliśmy drogą, ale okazało się, że w poprzek leży drzewo i nie można przejechać. Kiedy jechałam w tamtą stronę, nie było go tam, przysięgam. Pomyślałam, że przez nie przeskoczę, ale z Mattym na siodle mogłam nie dać rady, więc zatrzymałam się, żebyśmy oboje zsiadli i przesunęli przeszkodę. Z lasu wybiegło dwóch mężczyzn, pewnie ukrywali się w zaroślach. Jeden z nich uderzył Matty'ego w głowę. Chyba go ogłuszył, bo Matty przestał z nim walczyć. Drugi ruszył na mnie. Próbował mnie zaatakować, ale ugryzłam go w rękę. Szarpnął się, a wtedy ja pobiegłam do Sandii. Wskoczyłam na siodło i odjechałam. Kiedy spojrzałam w tył, tych dwóch niosło gdzieś Matty'ego. – Virginia była biała i wzburzona. – Zostawiłam go tam! – krzyknęła, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, co się wydarzyło. – Powinnam była zostać i go uratować albo po niego wrócić.

– Gdybyś to zrobiła, zapewne ciebie także by złapali – stwierdził Crowe. Zaskakująco szybko jak na tak potężnego mężczyznę przeszedł przez pokój i przyciągnął ją do siebie w mocnym uścisku. – Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało.

– Ale Matty! – zawołał Sherlock.

– Uwolnimy go – obiecał Mycroft, unosząc z krzesła swoją okazałą postać. – To oczywiste, że...

Nim zdążył dokończyć zdanie, rozległ się brzęk szkła. Coś ciężkiego wleciało przez wybite okno i wylądowało na podłodze. Crowe podbiegł do drzwi i otworzył je na oścież. Sherlock usłyszał dobiegający z zewnątrz tętent – ktoś odjeżdżał na koniu. Crowe zaklął siarczyście. Padły słowa, których Sherlock nigdy nie słyszał, choć domyślał się ich znaczenia.

Chłopiec pochylił się, żeby podnieść przedmiot, który wrzucono przez okno. Był to duży kamień, wielkości mniej więcej dwóch złożonych pięści. Przywiązano do niego sznurkiem kawałek papieru.

Mycroft wziął kamień od Sherlocka i położył go na stole. Chwycił nóż i zręcznie przeciął sznurek.

– Lepiej zachować węzły – powiedział do Sherlocka, nie patrząc na niego. – Może powiedzą nam coś o człowieku, który je zawiązał. Na przykład marynarze używają wielu szczególnych węzłów zwykle nieznanymi zwykłym ludziom. Jeśli znajdziesz kiedyś kilka wolnych dni, szczerze ci radzę, żebyś poświęcił temu trochę czasu.

Odłożywszy sznurek na bok, być może po to, żeby później uważniej mu się przyjrzeć, odwinął papier i rozłożył go na stole.

– To ostrzeżenie – zwrócił się do Crowe'a. – „Mamy twojego syna. Przestań nas ścigać. Nie próbuj nas śledzić. Jeśli zostawisz nas w spokoju, wróci do ciebie za trzy miesiące – cały i zdrowy. A jeśli nie, też wróci – ale w kawałkach, w ciągu kilku tygodni. Ostrzegamy cię”.

Crowe trzymał Virginie w ramionach.

– Najwyraźniej uznali, że Matty jest moim synem – powiedział. – Może dlatego, że zobaczyli ich razem na koniu. Gdy tylko usłyszą, jak mówi, szybko zrozumieją swój błąd.

– Niekoniecznie – zauważył Mycroft. – Nie wiedzą, od kiedy jesteś w Anglii. Nie wiedzą nawet, że jesteś Amerykaninem. Myślę, że przez pewien czas Matty'emu nic nie grozi. A czego możemy się dowiedzieć z tego listu?

– Mniejsza o list, powinniśmy ruszyć za nimi w pościg! – krzyknął Sherlock.

– Chłopak ma rację – stwierdził donośnie Crowe. – Jest czas na analizowanie i czas na działanie. To jest ta druga sytuacja. – Delikatnie odsunął od siebie Virginie. – Ty zostaniesz tutaj. Jadę za nimi.

– Ja z panem – oświadczył stanowczo Sherlock. Kiedy Crowe otworzył usta, by zaprotestować, dodał: – Matty to mój przyjaciel i to ja go w to wplątałem. A poza tym, we dwóch możemy objechać większy teren.

Crowe zerknął na Mycrofta, który musiał niezauważalnie skinąć głową, bo powiedział:

– Dobrze, młodzieńcze – na koń. Jedziemy.

Ruszył do drzwi, a Sherlock poszedł za nim.

Na zewnątrz Crowe osiodłał jednego konia i przygotował drugiego dla Sherlocka. Zanim chłopiec zdążył wsiąść, Crowe już ruszył galopem.

Sherlock przycisnął pięty do boków wierzchowca, który pogalopował w ślad za nimi.

Słońce zniżało się ku horyzontowi, przesłonięte rozwianymi chmurami, zza których wyglądało jak kula czerwonego światła. Crowe jechał przodem. Sherlock starał się za nim nadążyć. Łomot końskich kopyt na drodze przenosił się na kręgosłup, z powodu tej ciągłej wibracji ciężko było zaczerpnąć powietrza.

Sherlock zastanawiał się, skąd Crowe wie, w którą stronę jechać. Może szybko skalkulował sobie, którą drogą tamci wyjadą z Farnham, jeśli zmierzają na wybrzeże. Jeśli wybierają się do Ameryki, najprawdopodobniej pojedą do portu w Southampton. Ale Crowe mógł się mylić – może chcą wsiąść na statek w Liverpoolu, do którego dotrą pociągiem z Londynu, co oznaczałoby, że wyjadą z Farnham w zupełnie innym kierunku. Po raz pierwszy Sherlock zdał sobie sprawę, że logiczne myślenie ma swoje ograniczenia i że bardzo rzadko daje jedną odpowiedź. Dużo częściej uzyskuje się w ten sposób kilka prawdopodobnych odpowiedzi, a wtedy trzeba znaleźć sposób, jak wybrać którąś z nich. Można to nazwać intuicją, zgadywaniem, ale to już nie jest logika.

Wiejskie chaty i domy migały po drodze zbyt szybko, by dało się je wyraźnie dostrzec. W oddali Sherlock widział kamienną budowlę na wzgórzu – czyżby zamek Farnham? Wiatr gwizdał mu w uszach, które marzły, mimo że ziemia oddawała teraz ciepło, jakie wchłonęła przez cały upalny dzień. Wydawało mu się, że słyszy echo tętentu, ale nie było nic, od czego dźwięk mógłby się odbijać. Zerknął w tył i ze zdumieniem zobaczył za sobą Virginię, przyciśniętą do karku Sandii. Błysnęła uśmiechem, a on uśmiechnął się do niej. Powinien był wiedzieć, że nie sposób powstrzymać jej od działania. Naprawdę różniła się od wszystkich dziewczyn, jakie dotychczas spotkał.

Wszyscy troje przejechali przez maleńką wioskę, złożoną ze stłoczonych ciasno gospodarstw. Ludzie uciekali z drogi na ich widok, Sherlock słyszał za sobą podniesione głosy. Z przodu droga była pusta, zakręt nie pozwalał zobaczyć, co jest dalej. Jak długo Crowe zamierza jechać, zanim uzna, że wybrali zły kierunek?

Virginia dopędziła Sherlocka. Rozejrzała się na boki, oczy jej błyszczały. Sherlock podejrzewał, że dobrze się bawi, mimo powagi ich misji. Uwielbiała jeździć konno, a teraz miała szansę pogalopować jak nigdy przedtem.

Przed nimi, za potężną sylwetką Amyusa Crowe'a i jego szerokim białym kapeluszem, który jakimś sposobem wciąż trzymał się mu na głowie, choć mężczyzna jechał naprawdę szybko, Sherlock nagle spostrzegł powóz. Kołysząc się w przód i w tył, pędził drogą; koła po jednej stronie wypadły na chwilę na pobocze, po czym z podskokiem wróciły w zakręt. Sherlockowi wydawało się, że widzi nad powozem prędko ruch bicia, gdy woźnica zmuszał konie do coraz większego wysiłku. Czy Matty znajdował się w środku? Woźnica najwyraźniej gnał ile sił. Gdyby powozem nie jechali Amerykanie, byłby to niesłychany zbieg okoliczności, że komuś innemu tak bardzo się spieszy, by wyjechać z Farnham, że pędzi z narażeniem życia.

Sherlock ponaglił konia, który posłusznie ruszył szybciej. Odległość między nim a Crowe'em zmniejszyła się i teraz lepiej widział mknący przed nimi pojazd. Był to powóz zaprzężony w dwa konie, którego resory podskakiwały w górę i w dół, gdy koła wpadały w koleiny, dziury, i trzęsły się i podskakiwały na wybojach na drodze.

Virginia jechała po lewej stronie Sherlocka. Znów na nią zerknął. Odślaniała zęby jakby w uśmiechu, ale Sherlock podejrzewał, że był to raczej drapieżny grymas.

Chłopiec zerknął w prawo, na ojca Virginii. Wzrok wbił w powóz, a z jego oczu emanowała taka wulkaniczna siła, że Sherlock na chwilę się przeraził. Zawsze myślał o Crowie jako o dżentelmenie, dla którego nic nie liczy się bardziej niż logika i gromadzenie faktów, ale Virginia powiedziała mu, że jej ojciec w Ameryce tropił ludzi i nieczęsto przyprowadzał ich żywych. Patrząc teraz na niego, Sherlock był skłonny w to uwierzyć. Żadna siła na ziemi nie powstrzymałaby człowieka o takim spojrzeniu.

Koń Crowe'a toczył pianę z pyska i oddychał ciężko. Porywane przez wiatr drobinki piany nikły w oddali.

Droga skręcała w prawo, a powóz przed nimi wziął zakręt, nie zwalniając ani trochę. Dwa koła po zewnętrznej stronie zakrętu wyjechały poza drogę, a sam powóz wyglądał, jakby zaraz miał się przewrócić i toczyć się bezwładnie ciągnięty dalej przez konie, ale ludzie wewnątrz musieli przenieść swój ciężar na lewo, bo nagle pojazd zakołysał się na bok i koła opadły na ziemię.

Sherlock, Crowe i Virginia także wjechali w zakręt, ich konie pochyliły się na bok, tak żeby kopyta znalazły punkt oparcia na drodze. Gdy wierzchowce się wyprostowały, Sherlock zobaczył nagle, że powóz przed nimi zbliża się do furmanki wyładowanej snopami świeżego siana. Woźnica dawał gorączkowe znaki, żeby powóz go wyminął, ale chyba wiedział, że jest za późno, bo zjechał z drogi do rowu. Powóz przemknął obok niego z łoskotem, dosłownie o włos mijając tył furmanki. Po chwili przegalopowali Sherlock, Crowe i Virginia. Chłopiec zerknął w bok, żeby sprawdzić, czy woźnicy nic się nie stało. Stał na przodzie furmanki, wściekle wymachując rękami. Ale oni już jechali dalej, a on zniknął w oddali niczym odległe wspomnienie.

Uwagę Sherlocka zwrócił ruch z boku powozu. Wychylił się z niego osobnik trzymający jakiś kij. Sherlock pomyślał, że to jeden z mężczyzn z domu w Godalming, ale nie miał pewności. Mężczyzna skierował kij w tył, ku jeźdźcom, i nagle u jego końca zakwitł płomień. To była strzelba!

Sherlock nie potrafił powiedzieć, którędy przeleciała kula. Powozem rzucało tak bardzo, gdy pędził przez mrok, że strzelec nie miał szans wycelować, ale to nie znaczyło, że nie mógł przypadkiem trafić kogoś z nich albo konia.

Mężczyzna znów wypalił i tym razem Sherlock miał wrażenie, że słyszy odgłos przelatującego pocisku: jakby wściekle bzyczenie rozgniewanej osy.

Crowe ponaglił konia do szybszego biegu i przez chwilę wydawało się, że zbliżył się do powozu. Trzymał lejce jedną ręką, a drugą sięgnął za pasek. Wyciągnął pistolet i wymierzył w człowieka wychylającego się z powozu. Wypalił, siła odrzutu odepchnęła w tył jego rękę, aż skręcił się w siodle. Mężczyzna ze strzelbą schował się do powozu. Sherlock nie wiedział, czy jest ranny, czy po prostu ostrożny.

Jechali teraz wzdłuż rzeki. Od powierzchni wody odbijało się srebrzyste światło.

Człowiek ze strzelbą pojawił się znowu, wychylił się z tej samej strony co poprzednio, ale tym razem patrzył do przodu. Wymierzył i nacisnął



cyngiel. I znów płomień wybuchł w półmroku jak egzotyczny kwiat. Oszołomiony Sherlock pomyślał przez chwilę, że mężczyzna strzela do koni, które ciągnęły powóz, ale on strzelał ponad ich głowami. Zrozumiał, że próbuje je nastraszyć, żeby pogalopowały jeszcze szybciej niż dotychczas, i chyba skutecznie. Nie mogły długo utrzymać takiego tempa – konie szybko się męczą – ale najwyraźniej mężczyzna miał jakiś plan.

Znów schował się we wnętrzu powozu, ale tylko na chwilę. Drzwiczki nagle się otworzyły i mężczyzna wyskoczył szczupakiem na zewnątrz. Doskonale obliczył moment i wpadł w masę trzciny i roślinności zarastającej brzeg rzeki. Zniknął ścigającym z oczu, ale wyrwa w sitowiu, hamującym jego ruchy, wskazywała, gdzie wylądował.

Crowe zwolnił na chwilę, niepewny, co robić, po czym znów popędził konia, ruszając dalej za powozem, a nie za mężczyzną, ale Sherlock dostrzegł, że tamten wyłonił się spomiędzy trzciny. Ociekał wodą, a na twarzy miał rany, tam gdzie ostre liście przecięły mu skórę.

W rękach trzymał strzelbę. Uniósł ją, gdy Crowe się zbliżył, starannie wycelował i wypalił.

W tym samym momencie, gdy z lufy buchnął płomień, Crowe poderwał ręce do twarzy i spadł z siodła do tyłu. Uderzył prawym barkiem o ziemię i poturlał się w pyle, aż legł nieruchomo, niczym zakurzona kłoda. Jego koń pobiegł dalej, ale ponieważ Crowe już go nie poganiał, zwolnił do kłusu, potem do truchtu, aż wreszcie się zatrzymał. Stał i przyglądał się znikającemu w oddali powozowi, tak jakby zastanawiał się, po co był cały ten pośpiech.

Virginia krzyknęła:

– Ojcze!

Osadziła konia w miejscu i zeskoczyła z siodła. Pognała ku Crowe'owi drogą, nie bacząc na mężczyznę ze strzelbą, który patrzył, jak się zbliża.

A potem uniósł broń.

Wszystko to rozegrało się w ciągu zaledwie kilku sekund. Sherlock wbił obcasy w boki konia, który skoczył naprzód.

– Padnij! – wrzasnął.

Virginia zerknęła przez ramię, zobaczyła, że Sherlock nadjeżdża ku niej, i rzuciła się na ziemię. Poturlała się, a on ściągnął wodze. Koń przeskoczył nad nią, płynąc w powietrzu jakby wbrew grawitacji.

Przednie kopyta konia uderzyły mocno o podłoże, a potem wierzchołek potknął się, gdy strzelec znów wypalił. Sherlock nawet nie

słyszał strzału. Wyrzucony z siodła, przeleciał nad łbem konia. Przed sobą widział tylko szybko zbliżający się grunt. Czas jakby zwolnił. Chłopiec, lecąc, zastanawiał się, czy najpierw roztrzaska sobie czaszkę, czy połamie obie nogi. Bezwiednie zwinął się w kłębek, przyciskając brodę do piersi, i otoczył głowę ramionami, a kolana przyciągnął do brzucha. Uderzył w ziemię i potoczył się, czując, jak kamienie wbijają mu się pod żebra, w plecy i nogi. Świat wirował wokół niego: ciemno, jasno, ciemno. Już nie wiedział, gdzie się znajduje.

Po nieskończonej długiej chwili wreszcie się zatrzymał. Ostrożnie podniósł głowę, próbując stwierdzić, gdzie wylądował. Wszystko było zamazane, a on miał wrażenie, jakby nadał się turlać, chociaż twardość kamieni pod jego rękami i nogami świadczyła o tym, że tkwi w miejscu. Czuł ucisk w żołądku, i musiał się powstrzymać, by nie zwymiotować. Piekły go zadrapania na całym ciele.

Powóz z Mattym uwięzionym w środku zniknął w oddali otoczony tumanami kurzu.

Sherlock poczuł na sobie czyjś cień. Spojrzał w górę. Stał nad nim mężczyzna ze strzelbą. Nie był pewien, ale chyba tamten ogłuszony przez obłąkanego Johna Wilkesa Bootha. Inni nazywali go Gilfillan. Głowę miał zabandażowaną, a wzrok zionący nienawiścią.

– Co z was za bachory! – ryknął, unosząc strzelbę. – Przysięgam, że mieliśmy dziś z wami więcej kłopotów niż z całą armią Unii od końca wojny!

– Wypuście mojego przyjaciela! – warknął Sherlock, wstając.

– Odważna gadka jak na kogoś, kto za parę minut zejdzie z tego świata – powiedział mężczyzna, uśmiechając się ponuro. – Wzięliśmy dzieciaka, żebyście ty i ten gość w białym kapeluszu przestali nas ścigać, ale to chyba nie odniosło skutku. Więc po prostu was wszystkich ukatrupię i nadam telegram do Ivesa, żeby zabił tamtego, bo już nam nie będzie potrzebny. – Zdjął palec z cyngla i pokazał Sherlockowi grzbiet dłoni. Był zakrwawiony, między nasadą kciuka a palcem wskazującym widniały ślady zębów na miękkim ciele. – Ta dziewczucha mnie ugryzła! – stwierdził z niedowierzaniem.

– Tak – przyznał Sherlock. – I myślę, że na tym się nie skończy. – Po czym machnął ręką zza pleców, ciskając w niego kamieniami pozbieranymi z ziemi. Pofrunęły zamazanymi smugami i uderzyły Gilfillana w policzek, czoło i lewe oko. Mężczyzna poderwał dłonie do

twarży, upuszczając strzelbę, która podskoczyła raz czy dwa na ziemi. Sherlock rzucił się, żeby ją podnieść, ale tamten kopnięciem odsunął ją dalej. Złapał Sherlocka za włosy i wykręcił rękę. Chłopiec krzyknął z gniewu i bólu, po czym wymierzył mu kopniaka. Jego but trafił Gilfillana w goleń i uchwyt na włosach nagle osłabł. Sherlock odskoczył, rozglądając się za strzelbą. Dostrzegł ją w tej samej chwili co Amerykanin i obaj popędzili w jej stronę. Sherlock dopadł jej pierwszy, zacisnął palce na kolbie i przeturlał się w bok. Mężczyzna zaklął.

Stali obaj przez chwilę, dysząc ciężko. Gilfillan otarł usta wierzchem dłoni.

– Mięczak jesteś – powiedział. – Odbiorę tę strzelbę, przystawię do szyi i wycisnę ostatni dech z tego chuderlawego ciała!

Ruszył ku niemu. Sherlock groźnie uniósł broń.

– Ani kroku – rozkazał.

Ale napastnik zbliżał się, z twarzą rozciągniętą w grymasie, wyciągając ręce ku Sherlockowi.

## ROZDZIAŁ 6



Wiedząc, że nie ma wyboru, Sherlock wycelował strzelbę w pierś mężczyzny i pociągnął za cyngiel, przygotowany na impet odrzutu.

Ale nic się nie stało. Strzelba nie wypaliła.

Gilfillan uśmiechnął się triumfalnie.

– Piasek w zamku – powiedział. – Tę starą broń trzeba dobrze traktować. Wystarczy byle co i przestaje strzelać. – Sięgnął do kieszeni spodni, by wydobyć coś małego i ciemnego. Strzepnął dłonią i nagle pojawiło się w niej ostrze, paskudnie zakrzywione.

– Nie ma to jak nóż. Jak się okazuje, nóż sprawdza się w prawie każdej sytuacji. Wolniejszy niż strzelba, ale o ile więcej zabawy.

Zrobił krok naprzód i machnął nożem z ukosa, celując w oczy Sherlocka. Chłopiec zatoczył się w tył, czując chłodny podmuch wionący za ostrzem, które musnęło mu rzęsy. Promienie zachodzącego słońca, odbite od czubka klingi, zostawiły mu w polu widzenia cienką, czerwoną kreskę, która utrzymała się, nawet kiedy nóż zniknął.

Gilfillan znów ruszył do przodu, gwałtownie uniósł nóż, chcąc wbić go w brzuch Sherlocka, lecz ten zablokował go kolbą strzelby. Impet uderzenia odrzucił chłopca do tyłu, ale Gilfillan złapał się za nadgarstek i zaklął.

– Dość tego! – warknął. – Już nie będę traktował cię jak równego sobie. Zarznię cię jak bydlę.

Wysunął rękę, złapał Sherlocka za ucho, zanim chłopiec zdążył uciec, i przyciągnął go do siebie, unosząc nóż w stronę jego gardła. Sherlock odruchowo podniósł strzelbę, by zablokować ostrze, ale gdy przesunął lufą przed twarzą, nagle doznał olśnienia i wbił ją prosto w prawe oko Gilfillana.

Amerykanin wrzasnął i zatoczył się do tyłu, łapiąc się za twarz. Spomiędzy jego palców popłynęła krew. Sherlock spodziewał się, że mężczyzna padnie bezsilnie na ziemię, ale on utkwiał spojrzenie ocalałego oka w Sherlocku i znów wrzasnął wściekle, aż echo poszło po lesie, a gołębie poderwały się z drzew. Rzucił się naprzód z wyciągniętym nożem, próbując dosięgnąć Sherlocka. Wciąż ze strzelbą w ręku chłopiec zamachnął się, celując w głowę Gilfillana. Trafił w bandaż, a impet uderzenia przeniósł się przez rękojeść na ramiona Sherlocka aż do barków. Amerykanin padł jak ciśnięty niedbale wór kukurydzy, niezgrabna, bezkształtna bryła.

Sherlock przyglądał mu się przez kilka chwil z obawą, że jego przeciwnik wstanie na nogi i znów spróbuje zaatakować, ale on leżał nieruchomo, tylko pierś unosiła mu się i opadała z wysiłkiem. Jego prawe oko, na ile Sherlock mógł to dostrzec, zmieniło się w krater czerwonego mięsa, a krew przesiąkała przez bandaż na głowie, który podnosił się na oczach Sherlocka w miarę, jak wzbierała pod nim opuchlizna.

Ten mężczyzna przypominał jakieś monstrum, niewrażliwy na ból i rany, które powaliłyby zwykłego człowieka. Sherlock, czując, jak oddech pali go w piersiach, czekał, aż Gilfillan znów zacznie się z trudem dźwigać na nogi. Zastanawiał się, czy wszyscy Amerykanie są tacy. Czy ma to jakiś związek z pionierskim duchem, o którym słyszał? Miał ochotę podejść i jeszcze kilka razy walnąć tamtego kolbą w łeb, tak by już nigdy się nie podniósł, ale sam nie wiedział, czy obawia się, że Gilfillan oprzytomnieje, czy po prostu chce się zemścić za krzywdę, jaką ten człowiek wyrządził Amyusowi Crowe'owi, i za to, co próbował zrobić jemu samemu. Po chwili opuścił strzelbę. Nie był mordercą. W każdym razie – nie zamierzał mordować z premedytacją.

Pewien, że Gilfillan jakiś czas się nie ruszy, cofnął się, nie spuszczając go z oka, aż usłyszał, jak gdzieś z tyłu rży koń Amyusa Crowe'a. Odwrócił się.

Crowe leżał na zakurzonej ziemi. W czerwonym świetle wieczoru krew na jego czole wydawała się lśnić demonicznym blaskiem.

– Czy on?... – zaczął Sherlock, ale nie zdołał dokończyć pytania.

– Wciąż oddycha – wykrztusiła Virginia. Teraz bardziej było słyhać jej obcy akcent.

Wyjęła z kieszeni jakąś szmatkę – chyba chusteczkę. Miała zamiar otrzeć nią głowę ojca, ale Sherlock wyciągnął rękę.

– Zamoczę ją w rzece – powiedział.

Z wdzięcznością skinęła głową.

Pobiegł do miejsca, gdzie uzbrojony Amerykanin zostawił pas wygniecionego sitowia, zanim wyłonił się stamtąd i strzelił do Amyusa Crowe'a. Sherlock zszedł tak blisko, jak się dało, nie wpadając do wody, zamoczył chusteczkę, po czym wrócił do swojego nauczyciela. Virginia wyprostowała mu nogi i ręce, by leżał w bardziej naturalnej pozycji, nieskręcony po upadku. Gdy Sherlock pochylił się nad nim, zauważył, że pierś Crowe'a unosi się i opada i że drgają mu powieki. Wydawało się, iż od momentu kiedy spadł z konia, upłynęło mnóstwo czasu, ale Sherlock zdał sobie sprawę, że tak naprawdę minęły sekundy, co najwyżej minuta. Walka z Gilfillanem trwała krótko, ale była zjadła i dlatego sprawiała wrażenie długiej.

Virginia obmacała ręce i nogi swojego ojca.

– Zdaje mi się, że kości ma całe – oznajmiła. – Nie wiem, co z żebrami, ale nie zdziwiłabym się, gdyby kilka okazało się złamanych. Strasznie jest pokaleczony i podrapany.

– Miał szczęście – zauważył Sherlock. – Tutaj, przy rzece, grunt jest miękkie i błotniste. Gdyby spadł z konia wcześniej, tam gdzie ziemia była spieczona od słońca, mógłby już nie żyć.

Virginia wzięła od niego chusteczkę i przetarła czoło Crowe'a. Materiał zabarwił się na czerwono i zobaczyli długie skaleczenie, które natychmiast zaczęło znów krwawić.

– Chyba tutaj drasnęła go kula – stwierdziła.

– I znów miał szczęście. Kilka cali w bok i przeszłaby przez jego skroń. – Sherlock wziął głęboki oddech i próbował opanować drżenie rąk. – Musimy znaleźć lekarza.

Virginia zaprzeczyła ruchem głowy.

– Zawieźmy go z powrotem do domu. Tam będę mogła się nim zająć. Skoro nie ma złamanych kości, potrzebuje tylko odpoczynku. – Westchnęła. – Myślę, że już nieraz był w gorszym stanie i wychodził z tego cało. – Zerknęła na Sherlocka, odwróciła wzrok, a potem spojrzała znowu, zauważając guzy, zadrapania, skaleczenia i siniaki. – Wszystko w porządku? – zapytała.

– Na meczach rugby bywało gorzej – odparł.

Zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

– To taka gra, której nie lubię i w którą nie gram zbyt dobrze. Chciałem powiedzieć, że nic mi się nie stało.

– Dopadłeś go? – zapytała wzburzona.

– Zatrzymałem – odparł Sherlock. – Ale sądzę, że twój ojciec i mój brat będą chcieli z nim pogadać, więc nie uszkodziłem go zbyt mocno. Chociaż mogłem.

– Może powinieneś był – powiedziała ponuro.

Myśląc o urazach czaszki, Sherlock zapytał:

– A jeśli twój ojciec ma wstrząśnienie mózgu? Kula zraniła go w głowę, mógł się też uderzyć...

Virginia patrzyła na niego. Minę miała skupioną i gniewną, ale w oczach rozpacz.

– Trzeba go obserwować – stwierdziła. – Przyglądać się, czy nie ma oznak oszołomienia, mdłości albo dezorientacji.

– Już kiedyś to wszystko miałem – powiedział Crowe, słabo, ale wyraźnie. – Raczej nie było to przyjemne, ale sam zawiniłem. Tym razem to nie moja wina.

– Ojczy!

Nie otwierając oczu, wyciągnął rękę i poklepał ją niezdarnie po ramieniu.

– Kiedy spadłem na ziemię, poturlałem się. Nauczył mnie tego spec od rodeo w Albuquerque. Jeśli rozluźni się wszystkie mięśnie i człowiek potoczy się jak jeżozwierz, może wyjść cało z dużo gorszej opresji. – Zerknął na Sherlocka. – Widzę, że sam wpadłeś na podobny pomysł. – Urwał, przymknął oczy i oddychał powoli. – Co z powozem?

– Uciekli – odrzekł z irytacją Sherlock. – Z Mattym.

– A ten, który został w tyle i do mnie strzelił?

– Żywy, ale nieprzytomny. Myślę, że możemy go zabrać i przesłuchać.

– Tak – potwierdził ponuro Crowe. – Powinniśmy to zrobić.

Sherlock zastanowił się przez moment.

– Trzeba go związać – zaproponował. – I przerzucić przez grzbiet mojego konia. Jeśli da pan radę jechać, Virginia wsiądzie na Sandię, a ja pójdę pieszo.

– Nie mamy czasu – powiedziała Virginia. Nie wiadomo dlaczego zarumieniała się i nie patrzyła na Sherlocka. – Możesz jechać za mną.

– Na pewno? – zapytał Sherlock.

– Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby – zachichotał Crowe. – Pomysł masz dobry, ale czym zwiążesz tego osobnika?

Sherlock zastanowił się przez chwilę. Nie wzięli ze sobą żadnych sznurów. Mógł wykorzystać wodze swojego konia, ale wtedy skąd mieliby pewność, że wierzchowiec nie odłączy się od nich i pójdzie własną drogą, kiedy ruszą z powrotem? Czy dałoby się upleść jakiś sznur z sitowia? Zbyt mokre i za długo by to trwało.

– Mój pasek – powiedział wreszcie. – Mogę związać mu ręce za plecami paskiem.

Crowe skinął głową.

– Dobry pomysł – ocenił. – Możesz użyć też sznurka, noszę go w kieszeni. – Zerknął na Sherlocka. – Są takie rzeczy, które człowiek zawsze powinien mieć przy sobie – nóż, zapalki sztormowe i kłębek sznurka. Niewiele jest problemów, których nie dałoby się rozwiązać za pomocą tego zestawu.

Sherlock wziął sznurek od Crowe'a i niepewnie ruszył drogą do miejsca, gdzie wciąż leżał Gilfillan. Zapadał zmrok i przez przerażającą chwilę Sherlock nie mógł dostrzec mężczyzny w ciemnościach, ale w końcu go znalazł. Związał mu ręce, krzyżując nadgarstki, a potem wrócił po swojego konia, który skubał trawę na poboczu, jakby takie przygody przytrafiały mu się codziennie. Chłopiec przyprowadził wierzchowca i nachylił się nad Gilfillanem, próbując wymyślić, jak wsadzić go na koński grzbiet. Wreszcie zdołał podnieść wciąż nieprzytomnego Amerykanina na kolana, a gdy ten zaczął osuwać się do przodu, wsunął się pod niego i dźwignął ciało na plecach. Wyprostował się, opierając się mocno na kolanach i czując, jak protestują jego mięśnie, po czym pochylił się do przodu, ryzykownie balansując ciałem Gilfillana na ramionach. Na moment ogarnęła go panika, bo nie wiedział, jak ma wsadzić go na konia, ale wtedy już Amyusowi udało się wstać i Virginia mogła przyjść mu z pomocą. Razem umieścili bezwładnego Gilfillana na grzbiecie konia, który przyjął to ze spokojem. Żeby mężczyzna nie ześlizgnął się z siodła, Sherlock przywiązał go za nadgarstki do strzemienia po jednej stronie, a za kostki do strzemienia po drugiej. Kiedy skończył, cofnął się, żeby podziwiać swoje dzieło.

– Chciałam zapytać – odezwała się za jego plecami Virginia – jak właściwie nazywa się twój koń?

– Nie nadałem mu imienia – odparł Sherlock.

Zdziwiła się.

– Dlaczego?



- Uznałem, że nie ma sensu. Konie nie wiedzą, że mają jakieś imię.
- Sandia rozpoznaje swoje imię.
- Nie, on zna dźwięk twojego głosu. Wątpię, żeby rozumiał słowa.
- Jak na chłopaka, który tyle wie – stwierdziła z dezaprobatą – o wielu rzeczach nie masz pojęcia.

Wszyscy czworo stanowili dość żalospną gromadkę, gdy wracali cwałem do domku Crowe'a. Amyus jechał zgarbiony na swoim koniu, Virginia na Sandii z przyciśniętym do jej pleców Sherlockiem, a na końcu wierzchowiec Sherlocka z przewieszonym przez siodło Gilfillanem. Powrotna jazda wydawała się trwać w nieskończoność. Zmęczenie ciążyło na ramionach Sherlocka niczym ołowiany pled. Szczypały go skaleczenia, a jedyne, czego pragnął, to paść do łóżka i spać jak długo się da.

Panowała już ciemna noc, kiedy dotarli do domku. W drzwiach stał Mycroft.

– Sherlock! – zawołał. – Już myślałem... – urwał. Sherlock odniósł wrażenie, że głos ma wyższy niż zwykle. Wyraźnie starał się zapanować nad wzburzonymi emocjami.

– Wszystko w porządku – oznajmił Sherlock ze znużeniem. – Nic nam się nie stało. To znaczy, pan Crowe został postrzelony, mamy jeńca i nie odbiliśmy Matty'ego, ale żyjemy.

– Nie miałem jak się dowiedzieć, co się dzieje – wyjaśnił Mycroft, gdy Sherlock zsunął się z grzbietu Sandii. – Mogłem działać na wiele sposobów, ale nie wiedziałem, który jest najlepszy.

– Czy nie powinieneś siedzieć teraz w pociągu? – zapytał Sherlock.

Mycroft wzruszył ramionami.

– W razie potrzeby mogę przenocować w hotelu.

– Ale czy twoi przełożeni nie będą źli, jeżeli jutro nie pojawisz się w pracy?

Mycroft zmarszczył brwi, jakby w samym pojęciu „przełożonego” było coś osobliwego.

– Tak – powiedział przeciągle. – Myślę, że tak. – Rozpromienił się. – Chociaż to, co się tu wydarzyło, może mieć bezpośredni wpływ na stosunki międzynarodowe, więc leży w zakresie moich obowiązków. Ale jeśli to konieczne, zawsze mogę wynająć specjalny pociąg, który przez noc dowiezie mnie do Londynu.

Sherlock zdumiony wytrzeszczył oczy.

– Możesz to zrobić?

– Dotychczas nigdy nie miałem takiej potrzeby, ale myślę, że moje uprawnienia zezwalają mi na taki kaprys od czasu do czasu. A teraz opowiedzcie o wszystkim.

Podczas gdy Mycroft i Virginia pomagali Amyusowi Crowe'owi zsiąść z konia, a potem weszli do środka, zostawiając nieprzytomnego Amerykanina przywiązanego do siodła, Sherlock zrelacjonował bratu wydarzenia dzisiejszego wieczoru. Virginia uzupełniła kilka szczegółów, a kiedy mówił o walce z Amerykaninem, z niepokojem położyła mu rękę na ramieniu. Mycroft także się wzdrygał, słuchając, jak Sherlock kilkakrotnie był o włos od śmierci.

– Nie jest jasne, jakie działania należałoby teraz podjąć – powiedział wreszcie Mycroft, gdy wszyscy usiedli w fotelach ze szklankami i filiżankami. – Nie mamy informacji, którymi moglibyśmy się kierować, chyba że obudzi się nasz więzień. Brakuje nam czasu i środków.

– Mogę go obudzić – powiedział cicho Crowe. – A potem spokojnie z nim porozmawiać. Bardzo kulturalnie.

– Przesłuchanie z użyciem siły nie wchodzi w grę – ostrzegł go Mycroft. – Może tego człowieka uznano za przestępcę w co najmniej dwóch krajach, ale ma prawo do cywilizowanego traktowania, dopóki nie zostanie oficjalnie oskarżony, a nawet wtedy nie można postępować z nim brutalnie, także w imieniu władz. Jako jeden z najstarszych i jeden z najmłodszych cywilizowanych krajów Brytania i Ameryka mają obowiązek dawać przykład reszcie świata. Jeśli zaczniemy zachowywać się jak barbarzyńcy, nie będziemy mieli prawa powstrzymywać nikogo innego od barbarzyństwa, a świat pogrąży się w anarchii.

– Nawet jeśli skutkiem uprzejmości są rany albo śmierć kogoś, kogo powinniśmy chronić? – zapytał Crowe.

– Nawet wtedy – oznajmił Mycroft. – Cokolwiek skłaniałoby nas ku nikkczemności, musimy utrzymywać wysokie standardy moralne.

– Mam pomysł – powiedział Sherlock, zaskakując sam siebie. To była prawda, pewna myśl krążyła mu w głowie niczym szklana kulka po cynowej tacy, ale jeszcze nie było dla niego jasne, jakie wywoła skutki.

– Mów – zachęcił go Mycroft. – Jeśli to coś, co powstrzyma pana Crowe'a od wyrywania naszemu więźniowi paznokci obcęgami, to już jestem po twojej stronie.

– Ten człowiek – Amerykanin – wyskoczył z powozu, żeby nas zatrzymać, kiedy wydawało się, że możemy im przeszkodzić w dojechaniu

do portu i ucieczce z Anglii.

– Racja – zadudnił Crowe.

– Z tego, co mi powiedział, zrozumiałem, że miał wysłać kamratom telegram, żeby dać znać, czy mu się udało, czy nie.

– Rozumiem – odparł Mycroft.

– A jeśli nie wyśle telegramu, jeśli nie będzie czekała na nich żadna wiadomość, gdy dojadą do celu, uznają, że go pokonaliśmy – kontynuował Sherlock. – Stwierdzą, że przeszkodziliśmy mu wysłać wiadomość i że nadal ich ścigamy, a wobec tego najlepiej będzie, jeśli zabiją Matty’ego, ponieważ nie jest im już potrzebny jako zakładnik.

– Och, nie – szepnęła Virginia.

– Dokąd więc wysłałby telegram? – zapytał Sherlock. – Chodzi mi o to, że tamci nie zatrzymaliby się w hotelu, czekając na niego. O ile wiemy, zmierzali wprost na statek.

Crowe i Mycroft spojrzeli po sobie.

– Chłopak ma rację – powiedział po chwili Crowe. – Muszą mieć jakiś sposób, żeby przekazywać sobie wiadomości. Może umówiony budynek niedaleko doków – urząd pocztowy albo inne miejsce, gdzie ktoś odbierze wiadomość, którą tamten by przesłał.

– Musieli to uzgodnić w ciągu kilku sekund, zanim ten człowiek wyskoczył z powozu – stwierdził Sherlock. – Czy zdołałby zapamiętać to w takiej chwili?

– Chyba że ktoś mu to zapisał – dokończył Mycroft. – Sherlocku, masz niezły łeb na tym chudym karku. Musimy przeszukać mu kieszenie.

Crowe podniósł się z krzesła.

– Ja pójdę. – Widząc ostrzegawcze spojrzenie Mycrofta, dodał: – Niech pan się nie martwi – jeśli jest nieprzytomny, nie będę próbował go budzić, a jeśli już się ocknął, zadam mu tylko grzeczne pytanie, zanim przetrząsnę jego kieszenie. – Uniósł pytająco brew. – Mam nadzieję, że chociaż przesłuchanie z użyciem siły okazało się nie do przyjęcia, to kradzież jest dopuszczalna?

– W tym przypadku – powiedział spokojnie Mycroft – zrobimy wyjątek.

Amyus wyszedł, by przeszukać Gilfillana. Sherlock zauważył, że Virginia patrzyła na ojca z niepokojem. Chciał ją o to zapytać, ale Mycroft dał mu znak, by tego nie robił.

– Sherlocku... – zaczął cicho, po czym się zawahał. – Sherlocku, myślę, że nie wywiązałem się ze swoich obowiązków jako twój opiekun.

Przepraszam.

Sherlock spojrział mu w twarz, nie wiedząc, czy mówi poważnie, czy nie.

– Co masz na myśli?

– Ojciec powierzył cię mojej opiece. Liczył, że zadbam nie tylko o to, byś nadal się uczył, lecz także żebyś był szczęśliwy i bezpieczny. Tymczasem kiedy wyjechał do Indii ze swoim pułkiem, porzuciłem cię u krewnych, których nigdy wcześniej nie widziałeś, a potem nie interweniowałem, gdy wpłatałeś się najpierw w szalone plany Francuza opętanego manią wielkości, a teraz w jakąś dziwną próbę transportowania do Ameryki zabójcy byłego prezydenta. W ciągu ostatnich miesięcy zagłębiałeś śmierci w oczy częściej niż większość ludzi podczas całego swojego życia. Ogluszano cię, porywano, chłostano, faszerowano narkotykami, ścigano, strzelano do ciebie i niemal zakłuto nożem, nie wspominając o tym, że musiałeś sam poradzić sobie w niebezpiecznym Londynie, w obcym kraju i nocą na falach kanału La Manche. Gdybym wiedział, co może ci się przytrafić... – urwał, najwyraźniej wzburzony. Sherlockowi wydawało się, że w oczach brata zalśniły łzy. Z wahaniem wyciągnął rękę i położył ją na szerokich ramionach Mycrofta.

– Mycroftcie... zawsze byłeś dla mnie oparciem. Przychodziłem do ciebie po radę, a ty nie żałowałeś mi czasu. Nigdy nie dawałeś mi odczuć, że ci przeszkadzam, nawet kiedy miałeś ważniejsze sprawy.

Mycroft próbował coś powiedzieć, ale Sherlock kontynuował:

– Nigdy nie byliśmy takimi braćmi, co to wspinają się razem po drzewach w ogrodzie. Ty nie miałeś do tego zapachu, a ja nie widziałem w tym sensu. Ale to nie ma znaczenia. To do ciebie przychodziłem, gdy nie wiedziałem, jak postąpić, a ty nigdy mnie nie zawiodłeś. I wątpię, by miało się to zmienić. Chciałbym być podobny do ciebie, gdy dorosnę – odnosić sukcesy, być kimś ważnym, liczyć tylko na siebie. Nigdy mnie nie zawiodłeś i nigdy tego nie zrobisz.

Mycroft spojrział na niego i się uśmiechnął.

– Kiedy dorośniesz – odparł – myślę, że utworzysz sobie w życiu taką drogę, jaką nie szedł nikt przed tobą. Sądzę, że kiedyś to ja będę przychodził do ciebie po pomoc i radę, nie na odwrót. Ale mimo tego wszystkiego, o czym powiedziałaś, stałem z boku, kiedy ty byłeś w niebezpieczeństwie.

Sherlock potrząsnął głową.

– Myślę, że gdziekolwiek człowiek się obróci, wszędzie czyha jakieś niebezpieczeństwo. Można je albo zignorować, albo owinąć się w koce, żeby nic nam się nie stało, albo stawić mu czoła i rzucić wyzwanie. Jeśli zrobisz to pierwsze, niebezpieczeństwo cię zaskoczy. Jeśli zrobisz to drugie, spędzisz życie okutany i skulony w ciemności, a życie cię ominie. Jedynym logicznym rozwiązaniem jest więc wyjść niebezpieczeństwu naprzeciw. Im bardziej się do niego przywyknie, tym łatwiej sobie z nim poradzić.

Mycroft uśmiechnął się i przez chwilę, przez fałdy tłuszczu otulające jego sylwetkę, Sherlock ujrzał chłopca, którym jego brat był niegdyś.

– Ja gromadzę informacje i wiedzę – stwierdził łagodnie. – Ale ty – ty zyskałeś mądrość. Pewnego dnia cały świat pozna twoje imię.

– A poza tym – rzekł Sherlock, próbując nieco rozładować atmosferę – ostatnie tygodnie to był najlepszy czas w moim życiu. Gdyby ktoś mi powiedział, że w ciągu wakacji nauczę się jeździć konno, będę walczył na pięści, przepłynę przez kanał La Manche i wezmę udział w pojedynku, tylko bym się zaśmiał. Większość chłopców z mojej szkoły co najwyżej puszczała latawce i była na pikniku. Nadal czasem wydaje mi się, że zaraz się obudzę i okaże się, że to wszystko to tylko sen.

Mycroft zerknął przez pokój w stronę Virginii, która wciąż wpatrywała się w drzwi, czekając na powrót ojca.

– Podejrzewam, że są też inne rzeczy, które wynagrodziły ci trudy.

– Co masz na myśli? – zapytał Sherlock, który nagle poczuł się nieswojo.

– Mam na myśli uroki towarzystwa. – Mycroft zasepił się niespodziewanie. – Ja jestem... raczej samotnikiem – powiedział. – Nie znoszę głupców i wolę spędzać czas z książką i szklaneczką whisky. Tylko nie bierz ze mnie przykładu. Jeśli przyjaźń albo – że ośmielę się tak to nazwać – uczucie pojawiło się w twoim życiu, poddaj się mu z radością.

Sherlock posmutniał nagle, ponieważ słowa Mycrofta przypomniały mu o Matthew Arnacie, który był nie wiadomo gdzie, wciąż w rękach porywaczy.

– Jestem gotów stawić czoła niebezpieczeństwom – oświadczył – ale nie chcę, by ucierpieli moi przyjaciele.

– Oni sami decydują o swoim życiu, tak jak ty – zauważył Mycroft. – Odnoszą się do nich te same argumenty. Nie są marionetkami i nie można uchronić ich przed zagrożeniem, tak samo jak ciebie. Jeśli chcą być z tobą, to będą. Godzą się z ryzykiem. – Uniósł brew. – Mały Matthew z pewnością

już doszedł do wniosku, że towarzysząc ci, nie będzie bezpieczny, ale też nie będzie się nudził.

– Odbijemy go, prawda, Mycroftcie?

– Nie pozwolę swemu sercu wypisać czeku, który życie zostawi bez pokrycia – powiedział łagodnie Mycroft. – Nie wiem, co przyniesie przyszłość, ale mogę użyć swojej wiedzy i doświadczenia, żeby ją przewidzieć. Myślę, że jest bardzo prawdopodobne, że Matty wróci do nas bez szwanku, chociaż to, co może się wydarzyć po drodze, to zupełnie inna kwestia.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Amyus Crowe. W ręku trzymał kawałek pogniecionego papieru.

– Znalazłem to w kieszeni naszego jeńca – oznajmił. – Wygląda jak jakiś szyfr. Nie jestem pewien, co oznacza.

– Czy więzień odzyskał przytomność? – zapytał Mycroft.

– Albo był kompletnie zamroczony, albo dobrze udawał. Przyjrzałem się jednak jego rzeczom. Fason ubrań i metki są głównie amerykańskie.

– Obejrzyjmy tę kartkę. Może znajdziemy wskazówkę, dokąd mamy wysłać wiadomość.

Crowe rozłożył papier na biurku. Mycroft i Sherlock stoczyli się przy nim. Virginia stała z boku, teraz już się uśmiechała, bo wrócił jej ojciec.

Na papierze widniały ciągi cyfr i liter najwyraźniej nabazgrane w pośpiechu w pędzącym powozie. Sherlock odczytał dziesięć grup po pięć znaków każda:

UOPRN RWTEW ZYOAT 4SNT0 DODER  
PUOAE OTKSK CHST9 ZASE4 TMGR5

– Co to znaczy? – zapytał.

– To chyba prosty szyfr podstawieniowy – odparł Crowe. – Używano ich często podczas wojny domowej, żeby wiadomości nie dostały się w niepowołane ręce. Idea jest prosta – zamiast „a” piszesz coś innego, na przykład „z”, a zamiast „b” piszesz „y”. Jeśli ty i adresat wiecie, które litery zastępują które, jaki jest klucz – wiadomość można bezpiecznie szyfrować i odszyfrowywać.

– Ale my nie znamy tego klucza, prawda? – powiedział Sherlock.

– Właśnie. Gdybyśmy mieli dłuższą wiadomość, można by ją odkodować przez analizę frekwencyjną, ale nie mamy.

– Analizę frekwencyjną?

– Nie pora na wykład – westchnął Mycroft, ale Crowe i tak wyjaśnił:

– Pewien mądry człowiek wiele lat temu zauważył, że w wiadomościach pisanych po angielsku pewne litery powtarzają się częściej niż inne. „E” pojawia się najczęściej, następnie „t”, potem „a”, „o” i „n”. „Q” i „z”, jak można się domyślić, występują najrzadziej. Jeśli masz duży fragment tekstu, w którym jedne litery zastąpiono innymi, sprawdź, jaka występuje najczęściej. To będzie prawdopodobnie „e”. Druga w kolejności to zapewne „t”. To proces eliminacji. Przy odrobinie szczęścia można odczytać wystarczająco dużo, żeby zrozumieć całość. – Spojrzał na wiadomość na leżącym przed nim kawałku papieru. – Jednak tu nie jestem taki pewien. Mamy za mało liter, żeby móc zrobić analizę frekwencyjną, ale oni chyba nie mieli dość czasu, żeby wymyślić prawdziwy szyfr. Przypuszczam, że to coś dużo prostszego.

– Jak to prostszego?

– Dziesięć grup po pięć znaków każda. To może być siatka albo tabela.

Crowe szybko przepisał litery pod spodem, ale w bardziej uporządkowanym układzie:

UOPRN  
RWTEW  
ZYOAT  
ĄSNTO  
DODER  
PUOAE  
OTKSK  
CHST9  
ZASE4  
TMGR5

– Siatkę pięć na dziesięć znaków można zapisać na dwa sposoby – zastanawiał się – tak albo odwrotnie.

Szybko napisał drugą siatkę, tym razem w poziomie:

URZĄDPOCZT  
OWYSOUTHAM  
PTONDOKSSG  
REATEASTER  
NWTOREK945

– Urząd pocztowy Southampton – przeczytał z przejęciem Sherlock. – Dok SS<sup>6</sup> „Great Eastern”, wtorek 9.45. To musi być miejsce, dokąd należy wysłać wiadomość, miejsce, z którego odpływa statek, i godzina wypłynięcia.

– Nieszczególnie sprytny szyfr – powiedział Crowe – ale może nie zdołali wymyślić lepszego w pędzącym powozie. – Zerknął na Mycrofta. – Chyba obaj wiemy, co teraz będzie, prawda?

Mycroft skinął głową.

– Zacznę działać.

Sherlock spoglądał to na jednego, to na drugiego.

– To znaczy?

Obaj panowie popatrzyli na siebie. W końcu odezwał się Mycroft:

– Mają bilety na statek, który odpływa z Southampton jutro za kwadrans dziesiąta. Podczas gdy my byliśmy zajęci tutaj, oni zdążyli już tam dotrzeć. Zanim zdołamy zaalarmować tamtejszą policję, statek odpłynie.

– A więc zdołali uciec – powiedział Sherlock.

– Niekoniecznie – odparł Mycroft. – Statki do Ameryki odpływają codziennie. Większość zabiera pasażerów, ale głównie przewożą listy i paczki. Na tym można zarobić. Jeśli uda nam się kupić bilety na statek, który odpływa jutro albo pojutrze i płynie do tego samego portu, możemy być tam niedługo po nich. Albo nawet przed nimi. Możemy znaleźć mniejszy statek albo szybszy. Oni nie wybrali okrętu ze względu na to, że obawiali się pościgu, tylko dlatego, że chcieli wydostać się z kraju tak szybko, jak to możliwe.

– My? – zapytał Sherlock.

– Pan Crowe będzie musiał popłynąć – stwierdził Mycroft – ponieważ ma uprawnienia do działania w swojej ojczyźnie. Może wezwać na pomoc lokalną policję. Z pewnością zabierze córkę, gdyż nie zostawi jej tu bez opieki. Ja z kolei zostanę, bo muszę zadbać o powiadomienie rządu brytyjskiego o tym, co się dzieje, i zapewnić panu Crowe’owi wszelkie wsparcie dyplomatyczne, jakiego będzie potrzebował.



– Czy nie możemy po prostu wysłać telegramu do Pinkertonów, żeby przechwycili „Great Eastern”, kiedy tylko przybije do brzegu?

Mycroft pokręcił głową, aż zatrzęśły mu się obfite policzki.

– Zapominasz – powiedział – że nie mamy precyzyjnych opisów tych mężczyzn, a to, czym dysponujemy, z pewnością nie wystarczy, by ich aresztować. Poza Johnem Wilkesem Boothem resztę dasz radę rozpoznać jedynie ty.

– A co ze mną? – wykrztusił Sherlock.

– Jako jedyny spośród nas widziałeś tych ludzi – rzekł łagodnie Mycroft.

– Nie mogę kazać ci tego zrobić, Sherlocku. Nie mam sumienia nawet cię prosić. Mogę tylko stwierdzić, że pan Crowe ich nie schwyta, jeśli nie będzie mógł ich znaleźć.

– Chcesz, żebym pojechał do Ameryki? – wyszeptał Sherlock.

– Mogę powiedzieć stryjowi Sherrinfordowi i stryjence Annie, że wysłałem cię w podróż edukacyjną – zaproponował Mycroft. – Na mniej więcej miesiąc. Oczywiście będą temu przeciwni, ale wierzę, że zdołam ich przekonać.

– Właściwie – odparł Sherlock, myśląc o pani Eglantine i dziwnej władzy, jaką miała w domu stryjostwa – sądzę, że uda ci się ich przekonać dużo łatwiej, niż ci się wydaje.

## ROZDZIAŁ 7



W dokach w Southampton kłębił się hałaśliwy tłum odświętnie odzianych mężczyzn, kobiet i dzieci. Niektórzy wspinali się jedni za drugimi, niczym mrówki, po trapach wiodących z nabrzeża na pokłady statków, inni z nich schodzili, rozglądając się szeroko otwartymi oczami po nowym kraju, podczas gdy reszta albo żegnała się z przyjaciółmi lub krewnymi, albo otwierała ramiona na powitanie nowo przybyłych. Wśród nich przemykali się tragarze w uniformach wiozący na wózkach chwiejne stopy bagażu oraz dokerzy w roboczych ubraniach i bandanach na głowach, którzy ładowali towary z drewnianych palet. Nad tym wszystkim górowały drewniane dźwigi przenoszące palety osłonięte siatką z nabrzeża na pokład i odwrotnie oraz podobne do stromych urwisk drewniane lub żelazne burty statków, a także maszty i kominy, które wznosiły się wokół niczym geometryczny las.

Wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć, na oczach Sherlocka dokonywano setek przestępstw: tu działali kieszonkowcy, ówdzie oszuści karciani, w jednym miejscu rozcięto belę towaru owiniętą w siatkę, by wydostać z niej drobne przedmioty, w innym nie wiadomo dlaczego oddzielano dzieci od rodziców, a przybysze płacili z góry za transport do pensjonatów lub hoteli, które albo nie istniały, albo wyglądały zupełnie inaczej, niż to wynikało z kwiecistych opisów.

Tak prezentowała się ludzkość w swoich najlepszych i najgorszych przejawach.

Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były chyba najbardziej nerwowe w całym życiu Sherlocka. Po naradzie w domku Amyusa Crowe'a i nieoczekiwanej decyzji, że pojedą do Ameryki – w co Sherlock wciąż nie mógł na dobre uwierzyć – wrócili z Mycroftem do dworu Holmesów, zbaczając po drodze do Farnham, by wysłać starannie ułożony

telegram do urzędu pocztowego w dokach Southampton, który miał przekonać Ivesa i Berlego, że Gilfillanowi udało się ich powstrzymać. Kiedy dotarli do dworu Holmesów, Mycroft udał się do biblioteki, żeby porozmawiać z Sherrinfordem Holmesem, podczas gdy Sherlock poszedł do sypialni, aby spakować swój skromny dobytek do zniszczonego kufra należącego niegdyś do jego ojca. Źle spał, częściowo z powodu wspomnień walki z Gilfillanem i dokuczliwych skaleczeń, ale też z przejęcia, że czeka go wyjazd z kraju – do Ameryki! Śniadanie upłynęło w napiętej atmosferze, ani stryj Sherrinford, ani stryjenka Anna nie wiedzieli, co mu powiedzieć, a pani Eglantine uśmiechała się zimno za ich plecami. A potem Sherlock wsiadł z Mycroftem do powozu. Jego kufer przypięto z tyłu i wyruszyli w długą podróż do Southampton.

Po drodze Sherlock myślał głównie o zaszyfrowanej wiadomości, którą Amyus Crowe znalazł przy nieprzytomnym Gilfillanie. Nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad szyframi, ale w ich zdyscyplinowaniu i zastosowaniu logiki, by je odkodować, tkwiło coś pociągającego dla uporządkowanego umysłu Sherlocka. Zaczął wyobrażać sobie różnego rodzaju szyfry, od prostego przestawienia liter, z jakim mieli do czynienia wczoraj, przez bardziej skomplikowane podstawienia, w których liczby zastępują litery, do jeszcze bardziej wyrafinowanych układów, gdzie podstawienie zmieniało się w zależności od szyfru, tak że za pierwszym razem „a” zastępowałby jeden znak, a następnym razem inny, i tak dalej, zgodnie z ukrytym algorytmem. W tym przypadku prosta analiza frekwencyjna, o jakiej mówił Amyus Crowe, byłaby bezużyteczna. Jak można złamać taki szyfr? – zastanawiał się Sherlock. Będzie musiał przyjrzeć się bliżej szyfrom i kodom.

W końcu dojechali do Southampton. Amyus i Virginia Crowe’owie już na nich czekali – Crowe z dyskretnym bandażem na czole, niemal niewidocznym spod runda kapelusza. Sherlock przypuszczał, że przyjechali konno, a na czas swojej nieobecności zostawili wierzchowce na przechowanie w jakiejś stajni.

– To są wasze bilety i dokumenty podróżne – powiedział Mycroft, wręczając Crowe’owi plik papierów. – Macie rezerwację na SS „Scotia”. To ten statek. Należy do Cunard Line – piękna brytyjska jednostka. Bilety na pierwszą klasę, oczywiście. Chyba nie zniósłby pan niewygód dolnego pokładu – tym bardziej że ma pan pod opieką swoją córkę i mojego brata.

Sherlock spojrział tam, gdzie wskazywał Mycroft, i zobaczył wielki okręt, który wydawał się długi jak boisko do rugby. Potężne koło łopatkowe umieszczono w połowie burty – zapewne drugie identyczne znajdowało się po przeciwnej stronie. Oprócz kół statek miał też dwa maszty z żaglami, teraz zwiniętymi. Sherlock przypuszczał, że wielkie koła są napędzane przez maszyny parowe wewnątrz ogromnego kadłuba – dwa kominy wystające z pokładu służyły najprawdopodobniej do odprowadzania pary – i że żagle używa się wtedy, gdy wieje odpowiedni wiatr, a podczas ciszy uruchamia się koła.

Jego logiczny umysł podążył za tą myślą. Jeśli koła łopatkowe są napędzane przez maszyny parowe, do maszyn potrzebny jest węgiel, a to znaczy, że na pokładzie muszą znajdować się jego zapasy, ponieważ nie da się uzupełnić braków pośrodku Atlantyku. To oznacza dodatkowy ładunek, czyli więcej węgla, który należy zabrać, żeby przewieźć sam węgiel. Ale skąd wiadomo, ile paliwa potrzeba na cały rejs, skoro na każdą kolejną tonę węgla trzeba dodać go jeszcze trochę do przewiezienia tej tony, i skoro wiadomo, że kiedy ta tona zostaje zużyta, ilość węgla niezbędna, by go przewieźć, też się zmniejsza? Wymagałoby to skomplikowanego rachunku matematycznego, tuż poza zasięgiem możliwości Sherlocka, a problem ten przypominał mu dziwnie przykład, o jakim kilka tygodni temu mówił mu Amyus Crowe, ten o zmieniającej się w czasie liczbie królików i lisów. Czy wszystkim na świecie kierują równania?

– Jestem panu ogromnie wdzięczny za pomoc, panie Holmes – powiedział Amyus Crowe, dziwnie zmieszany. – Ale nie należę do ludzi zamożnych. Nie mówiliśmy o kwestiach finansowych.

– Nie ma potrzeby. – Mycroft machnął ręką, najwyraźniej zakłopotany rozmową o pieniądzu. – Za te bilety płaci rząd brytyjski. W przyszłym tygodniu będę rozmawiać z amerykańskim ambasadorem i zasugeruję, żeby częściowo pokrył ten koszt, ponieważ pomagamy pańskiemu krajowi w sprawie należącej do jego polityki wewnętrznej, ale tymczasem proszę być pewnym, że nie będzie pan musiał obawiać się ubóstwa, gdy przybędzie pan do Nowego Jorku. Sądzę, że tam już ma pan dostęp do funduszy?

Amyus Crowe przytaknął.

– Niemniej, jestem wdzięczny, panie Holmes.

Sherlock zerknął na Virginie, stojącą obok Amyusa Crowe'a. Wyglądała na zdenerwowaną, twarz miała bladą, bezkrwistą. Podeszedł do niej.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, podczas gdy jego brat i jej ojciec nadal rozmawiali.

Skinęła głową.

– Nie chcę o tym mówić.

– Myślałem, że się ucieszysz z powrotu do domu?

Spojrzała na niego takim wzrokiem, że mogłaby przeciąć szkło na wylot.

– Której części zdania: „nie chcę o tym mówić” nie rozumiesz?

Sherlock uniósł dłoń w pojednawczym geście i cofnął się, trochę jak przed dzikim zwierzęciem. Virginia, co stwierdził nie po raz pierwszy, była chyba najbardziej skomplikowaną osobą, jaką kiedykolwiek spotkał.

– Jakie wieści o „Great Eastern”? – zapytał Crowe Mycrofta.

– Tak jak wynikało z zaszyfrowanej wiadomości, odplynął tego ranka z nabrzeża niedaleko stąd, kierując się do Nowego Jorku. Sprawdziłem listę pasażerów, ale nie znalazłem na niej nazwisk, które mówiłyby nam cokolwiek. Jeden podróżny się nie zjawił – możemy sądzić, że to był nieszczęsny pan Gilfillan, który teraz przebywa pod pieczęcią policji w Farnham. Jeszcze dziś przekażę go w ręce policji londyńskiej. Łatwiej będzie wówczas prowadzić śledztwo.

– Niech pan nie będzie wobec niego zbyt surowy – rzekł cicho Crowe. – Proszę pamiętać, że nie postawiono mu dotychczas żadnych zarzutów.

Mycroft uniósł brew, ale nie odpowiedział. Zamiast tego odwrócił się do Sherlocka. Położył mu dłoń na ramieniu, a drugą ręką wskazał SS „Scotia”.

– Został zbudowany przez Cunard Line, a zwodowano go sześć lat temu, tu w Anglii – wyjaśnił. – Jego długość wynosi trzysta siedemdziesiąt dziewięć stóp, a waży trzy tysiące dziewięćset ton. Kapitan nazywa się Judkins, to jeden z najbardziej zaufanych ludzi Cunarda. Okręt zabiera na pokład trzystu pasażerów oraz ładunek, a spala sto sześćdziesiąt cztery tony węgla dziennie. Rejs z Southampton do Nowego Jorku zajmuje mu osiem dni i kilka godzin. Wyobraź sobie – już po tygodniu będziesz w Ameryce. W czasach pionierów, którzy jako pierwsi zasiedlali ten wielki kraj, podróż trwałaby kilka miesięcy.

– Byłeś kiedyś w Ameryce, Mycroftie? – zapytał Sherlock.

Potężną sylwetką jego brata wstrząsnął dreszcz.

– Już Southampton to dla mnie egzotyczny rejon. Ameryka mogłaby równie dobrze być Arktyką. – Odwrócił się znów do Crowe’a. – Wasz bagaż zostanie zaniesiony do kajut – powiedział. – Po namyśle zarezerwowałem trzy koje w dwóch kajutach. Jedna jest dla pana i Sherlocka. Druga jest dla

Virginii, ale zapewne będzie ją dzielić z inną pasażerką. Nie udało mi się ustalić, jak się nazywa, ponieważ decyzja najwyraźniej należy do głównego stewarda statku, ale zapewniam pana, że jakakolwiek dama podróżująca pierwszą klasą będzie miała doskonałe maniery.

– Jestem przekonany, że Virginia da sobie radę – oznajmił Crowe. Wydawał się nieswój.

– Jeszcze jedno – ciągnął Mycroft. – Na wszelki wypadek zarezerwowałem dla was miejsca przy stole podczas pierwszej kolacji. Od osób lepiej zorientowanych w tej materii dowiedziałem się, że od tego, gdzie się siedzi pierwszego wieczoru, zależy pozycja pasażera przez resztę podróży. Najlepsze są miejsca w pobliżu kapitana, najbliższe drzwi na wypadek choroby morskiej i możliwie oddalone od maszyn. Wiem, że rejs trwa tylko osiem dni, ale dlaczego nie mielibyście w tym czasie cieszyć się wygodami. – Znów się wzdrygnął. – Nie mogę powiedzieć, że wam zazdroszczę. Ostatnio nawet jazda z mojego mieszkania do biura i z biura do klubu wystarczy, żebym się zmęczył. Nie mogę sobie wyobrazić żadnej siły, która mogłaby mnie wytrącić z tego porządku dnia.

Crowe uśmiechnął się.

– Zdziwiłby się pan, panie Holmes, co może wytrącić nas z naszych kolein. Czasem wystarczy byle drobiazg. Sądzę, że pan również mógłby odkryć przyjemności podróży zagranicznych.

– Niech mnie Bóg strzeże – rzekł Mycroft.

A potem trzeba już było wsiadać na pokład. Sherlock wyciągnął rękę. Jego brat zrobił to samo. Z powagą uścisnęli sobie dłonie, jak dwaj dżentelmeni, którzy spotkali się na ulicy.

– Uważaj na siebie – poprosił Mycroft – i słuchaj pana Crowe’a. Twoja obecność na tym statku jest ważna – przez pewien czas nie wiadomo, jak bardzo, ale przypominam ci, że tylko ty możesz rozpoznać tych nikczemników. W najlepszym razie są przestępcami i zbiegami politycznymi, których należy aresztować i osądzić za ich zbrodnie. A w najgorszym – szykuje się jakiś spisek, który trzeba udaremnić, inaczej niepewna sytuacja polityczna w Ameryce jeszcze się pogorszy. I na miłość boską, baw się dobrze. Niewiele dzieci w twoim wieku ma szansę pojechać za granicę.

Sięgnął do kieszeni i wyjął niedużą książkę. Wręczając ją Sherlockowi, powiedział:

– Przyda ci się coś, co pomoże ci zabić czas. To egzemplarz Państwa greckiego filozofa Platona. Ma formę dialogów między nauczycielem Platona Sokratesem a różnymi Ateńczykami i cudzoziemcami, którzy dyskutują, czym jest sprawiedliwość, i rozważają, czy człowiek uczciwy jest szczęśliwszy od nieuczciwego. Platon posługuje się też formą dialogu, by przedstawić społeczeństwo rządzone przez filozofów i zastanowić się nad rolą filozofa i poety w społeczeństwie. Państwo to jedno z najważniejszych dzieł z dziedziny filozofii i teorii polityki. Zalecam ci jego uważną lekturę.

– Czy jest przetłumaczone? – zapytał podejrzliwie Sherlock.

– Oczywiście, że nie – odparł zaskoczony Mycroft. – Wiem, jak szybko czytasz. Gdyby to był przekład, skończyłbyś go czytać jeszcze tego popołudnia. Jeśli będziesz musiał na bieżąco tłumaczyć sobie tę książkę, mogę mieć pewność, że zanim ją skończysz, minie ci większość podróży. Poza tym przekład zawsze zależy od zręczności tłumacza. Jeśli chcesz przeczytać i właściwie zrozumieć tekst w obcym języku, musisz nauczyć się tego języka. – Zawahał się. – Pamiętając o twoim zamiłowaniu do groteski i zbrodni, chciałbym zwrócić ci uwagę na fakt, że chociaż Platon zmarł ze starości, jego mentor Sokrates zakończył życie, ponieważ władze greckie nakazały mu wypić truciznę. Nie wiem, czy ci to pomoże w lekturze tej książki, ale znam twoją skłonność do melodramatyzmu. Niech ta wiedza będzie podarunkiem, z którym zrobisz, co zechcesz.

– Zobaczymy się znowu – powiedział Sherlock, czując dziwny ucisk w gardle. Nie wiedział, czy miało to być stwierdzenie, czy pytanie, ale Mycroft na chwilę spojrział w bok, oczy mu błyszczały.

– Sherlocku – rzekł – nigdy nie będę miał dzieci, zanadto przywykłem do swego trybu życia i za mało jestem tolerancyjny, żeby mieszkać w cudzym domu. Ale gdybym kiedykolwiek miał syna, nie mógłbym kochać go bardziej niż ciebie. Uważaj na siebie. Bardzo uważaj.

A potem, w pośpiechu, weszli na pokład po długim trapie łączącym nabrzeże ze statkiem. Na górze sprawdzono ich bilety i po drewnianych schodkach, korytarzami pozbawionymi okien, biegnącymi wewnątrz statku, odprowadzono ich do kajut – najpierw do kajuty Virginii, gdzie nie dotarła jeszcze druga pasażerka, ale czekał już jej bagaż – a potem do kajuty, w której mieli mieszkać razem Sherlock i Amyus Crowe. Kabiny były małe, wyłożone drewnem, szerokie na jakieś dziewięć stóp, z dwiema kojami po jednej stronie i wygodną sofą po drugiej. Na obu krańcach kajuty znajdowały się umywalka i lustro. Okrągły bulaj nad sofą wpuszczał

światło i powietrze, ale Sherlock zauważył z pewnym niepokojem, że można go zamknąć i zaśrubować. Czy to na wypadek sztormu? A jeśli tak, to jak często zdarzają się sztormy? I jak zapewnić odpowiednią wentylację, jeśli sztorm potrwa dłużej niż kilka godzin?

Amyus Crowe przyjrzał się kojom.

– Najlepiej, jeśli ja wezmę tę na dole, a ty tę na górze – mruknął. – Jeśli spadnę z powodu kołysania, wolę mieć bliżej do ziemi. Poza tym nie zapominajmy, że jestem od ciebie dużo cięższy.

Myśląc wciąż o możliwych sztormach, Sherlock spostrzegł, że obie koje mają drewniany rant wystający nad materac, po to, żeby śpiący nie sturlali się z nich na podłogę, ale mógł sobie wyobrazić, jak przy bardzo wzburzonym morzu fale miotają ludźmi na kojach niczym kulkami w grzechotce.

– Podejrzane te materace – powiedział Crowe pogardliwie, sprawdzając ich grubość. Zdaniem Sherlocka wyglądały na grubsze niż w dworze Holmesów, ale dyskretnie przemilczał ten fakt.

Wiedząc, że ich bagaż dotarł bezpiecznie na statek, wrócili na główny pokład, żeby przyglądać się przygotowaniom do wypłynięcia. Gdy tam dotarli, akurat wciągano główny trap, a tłum na nabrzeżu machał pasażerom na okręcie. Sherlock miał ochotę poszukać w ciżbie twarzy Mycrofta, okrągłej niczym księżyc w pełni, ale właściwie był pewien, że jego brat już poszedł. Mycroft nie należał do ludzi uczuciowych i nienawidził pożegnań.

Ukradkiem wsunął rękę do kieszeni marynarki, gdzie włożył książkę, którą dał mu Mycroft. Nie spodziewał się żadnego prezentu. Sherlock miał zamiar przeczytać ją w całości – nawet jeśli była po grecku.

Maszyny statku, gdzieś w jego trzewiach, rozpędzwały się teraz, i Sherlock nie tylko słyszał ich dudnienie, lecz także czuł je przez deski pokładu. Nagle z przerażeniem zdał sobie sprawę, że hałas silników parowych będzie im stale towarzyszył przez następne osiem dni. Jak można przy tym spać? Czy da się usłyszeć, co mówi ktoś stojący tuż obok? Mógł się jedynie pocieszać, że zapewne się do tego przyzwyczai, ale w tej chwili nie bardzo to sobie wyobrażał.

Zwolnione cumy SS „Scotia” pomknęły z trzepotem ku burtom, choć były to liny grubości pięści Sherlocka. Potężne koła łopatkowe zaczęły się obracać, burząc wodę pod sobą, i stopniowo statek ruszył z miejsca. Rozległ się gwizd. Na ten sygnał tłum na nabrzeżu wydał okrzyk radości,



tak jakby nigdy dotąd nie widziano, jak odpływa okręt. Kapelusze, czapki i czepki pofrunęły w powietrze, a pasażerowie zgromadzeni na pokładzie odpowiedzieli podobnymi okrzykami.

Sherlocka ogarnął nagły smutek i poczucie winy. Chciał, żeby Matty był z nimi, żeby był bezpieczny. Wciąż musiał odsuwać od siebie nękające go wizje tego, co mogło się stać z jego przyjacielem. Ives i Berle nie mieli powodu, żeby zrobić Matty'emu coś złego. Był ich polisą ubezpieczeniową.

Pytanie tylko, czy Ives i Berle myślą tak logicznie jak Sherlock?

Rozglądając się, żeby odwrócić uwagę od swoich zmartwień, dostrzegł w pobliżu jakiegoś mężczyznę. Stał sam, trzymając coś, co przypominało futerał od skrzypiec, ale zamiast patrzeć na tłum, spoglądał w drugą stronę, na morze. Był chudy, czarne włosy miał dłuższe niż zazwyczaj nosili dżentelmeni, a jego marynarkę i spodnie uszyto ze sztruksu. Sherlock sądził, że może mieć nieco ponad trzydzieści lat. Mężczyzna podniósł rękę, żeby osłonić oczy przed słońcem, i Sherlock zauważył, że ma długie, cienkie palce. Nagle zerknął ukradkiem oka na Sherlocka i uśmiechnął się, dotykając czoła w swobodnym salucie. Oczy, jak spostrzegł Sherlock, miał zielone, a szeroki uśmiech odsłonił kilka złotych zębów w głębi ust.

– Początek przygody! – zawołał. Miał lekki irlandzki akcent.

– Osiem dni na morzu, kiedy nie ma nic do roboty, prócz przechadzki i czytania książek! – odkrzyknął Sherlock, którego niezwykłość chwili ośmieliła do rozmowy z zupełnie obcym człowiekiem. – Niezbyt ekscytująca przygoda.

– Ale pomyśl o całych milach wody, które będą rozciągać się pod nami podczas rejsu. Pomyśl o wrakach statków, porzrzucanych na morskim dnie, i dziwnych stworzeniach, które wpływają przez bulaje i przepływają obok szkieletów utopionych marynarzy. Przygoda jest wszędzie, kiedy tylko wie się, gdzie patrzeć. – Podniósł futerał. – A jeśli wszystko inne zawiedzie, mogę wykorzystać ten czas, żeby poćwiczyć grę na pokładzie, pod gwiazdami, i uwieść syreny moją muzyką.

– Syreny? – zapytał sceptycznie Sherlock. – Już prędzej delfiny albo jakieś inne morskie stworzenia.

– Każdemu wolno marzyć – odrzekł nieznajomy. Sympatycznie skinął Sherlockowi głową, dotknął czapki i zniknął w tłumie. Sherlock jeszcze przez chwilę widział jego długie czarne włosy, ale w końcu stracił go z oczu w ciżbie.

– Jeśli chcesz pójść się rozejrzeć – odezwał się za jego plecami Amyus Crowe – to śmiało. Spędzimy na tym statku tydzień albo więcej i nie mam zamiaru przez cały ten czas trzymać cię za rączkę. Dopóki nie wypadniesz za burtę, to nic ci nie grozi. Ja zamierzam udać się teraz do kajuty Ginny i przedstawić się jej współpasażerce, aby upewnić się, że nie jest pijaczką lub wariatką, lub też jednym i drugim. Spotkamy się za jakiś czas w naszej kabinie, a potem zobaczymy, co dziś na obiad.

Sherlock ruszył na przód statku – dziób, jak nazywali go marynarze. Po drodze przeszedł przez mostek – położoną nieco wyżej część, gdzie stali kapitan, w nieskazitelnym mundurze i czapce z daszkiem, oraz sternik, który kierował okrętem za pomocą ogromnego koła, rozmiarem i kształtem przypominającego koło u wozu. Za nimi znajdowała się niewielka kabina, dająca osłonę przed wiatrem i deszczem, ale większość mostku kapitańskiego stanowił otwarty pokład. Po jednej stronie ustawiono słup z umieszczonym na nim dziwnym metalowym przedmiotem, jakby budzikiem o bardzo długich wskazówkach, które można było przesuwając dookoła tarczy, ale zamiast godzin i minut widniały na niej słowa „naprzód” „cała naprzód” „stop” i „zwolnij”. Po chwili Sherlock domyślił się, że to musi być urządzenie służące kapitanowi do przekazywania rozkazów do maszynowni, głęboko pod pokładem. Gdy wskazówki przesuwano na odpowiednie komendy, zapewne na dole uruchamiały się różne dzwonki, na które reagowali maszyniści.

Nieco dalej, tuż przed dziobem, znajdowała się zadaszona zagroda, jakby obora. Nawet zapach dochodził z niej jak z obory. Sherlock zajrzał do środka przez jeden z otworów w jej ścianach i z zaskoczeniem zobaczył w środku zwierzęta, zamknięte na małej powierzchni. Zagroda miała trzy poziomy. Krowy, świnie i owce stłoczono na dole, kaczki i gęsi na środkowym poziomie, a kury na samej górze. Wszystkie zwierzęta wyrażały swój protest przeciwko wibracjom i zimnemu wiatrowi, który chłostał statek. Pewnie były tu po to, żeby dostarczać mleka i jajek, a także mięsa, i z czasem będzie ich coraz mniej. Pod koniec podróży obora, tak samo jak magazyny węgla, opustoszeje. Sherlock nie spodziewał się, że na pokładzie zostaną żywe zwierzęta, ale uznał, że to ma sens. Świeża żywność nie wytrzymałaby całej podróży, zwłaszcza gdyby sztorm lub awaria opóźniły ich rejs. Być może gdzie indziej na statku były magazyny albo nawet uprawy owoców i warzyw, a gdzieś jeszcze beczki słodkiej

wody. I prawdopodobnie setki butelek wina, szampana, porto, brandy i whisky dla pasażerów pierwszej klasy.

Coś mignęło mu na krawędzi pola widzenia. Szybko odwrócił głowę. Jakaś ciemna postać skryła się w cieniu szalupy ratunkowej. Sherlock zrobił kilka kroków naprzód, ale postać zniknęła. Potrząsnął głową. To pewnie jeden z pasażerów.

Poszedł nieco dalej i patrzył przez chwilę, jak łódź przesuwa się po prawej stronie statku. Okręt bez wątpienia popłynie blisko brzegu, ponieważ zmierza na zachód, wokół Kornwalii, a potem ruszy prosto w stronę irlandzkiego wybrzeża. Kiedy je minie, wypłynie na otwarte wody, a przed nim będą trzy tysiące mil otwartego oceanu, rozciągającego się między brzegami Anglii a portem w Nowym Jorku.

Zaskoczyło go to, jak stabilny wydaje się statek. Ledwo kołysał się z boku na bok. Może na Atlantyku to się zmieni, ale rozmiary i ciężar zdawały się chronić go przed stosunkowo niewielkimi falami przy angielskim wybrzeżu. Sherlockowi od razu przypomniała się łódka, w której razem z Mattym przepłynęli z przybrzeżnego fortu na brzeg niedaleko Portsmouth. Okropny był to rejs i nie miał najmniejszej ochoty przeżyć czegoś takiego po raz drugi.

Nagle poczuł się bardzo samotny. Anglia i wszystko, co dla niego znaczyła – jego dom, rodzina, nawet szkoła – nikły w oddali, a przed nim majaczyło tylko nieznanne – nowy świat, nowi ludzie i obyczaje. I niebezpieczeństwo. Nie wiedział, czego chcą Amerykanie, którzy więzili Johna Wilkesa Bootha, ale najwyraźniej mieli jakiś plan, który zamierzali utrzymać w tajemnicy. A on był tylko chłopcem wplątany w spisek przekraczający granice jego rozumienia świata.

I jeszcze Matty. Co z nim? Sherlock wątpił, by cieszył się takimi wygodami, jakich zapewne zakosztują wszyscy troje tutaj, na SS „Scotia”. Matty jest pewnie związany albo zamknięty w kajucie. Może jego porywacze zawarli z nim jakiś układ: ponieważ wszyscy są na statku i nie może uciec, to jeśli obieca, że nie sprawi kłopotów, puszczą go wolno. Ale Matty bywał uparty i pewnie by odmówił.

Wszystko to pod warunkiem że wciąż żyje. Amyus Crowe i Mycroft doszli do wniosku, że tak, ale Sherlock był boleśnie świadomy, że takie przewidywania to tylko rodzaj fantazji opartej na niewystarczających faktach. Jeśli fakty były błędne albo jeśli przewidywania poszły w złym kierunku, to konkluzja okaże się kompletnie nietrafna. A Matty będzie

martwy. Amerykanie mogli uznać, że nie ma sensu brać sobie na kark żywego jeńca na czas podróży, i po prostu poderżnęli mu gardło, a potem porzucili ciało w przydrożnym rowie jeszcze w Anglii. Zaszyfrowana wiadomość mogła być fortelem, szaloną próbą powstrzymania Amyusa Crowe'a od wtrącania się w całą sprawę, i nic się za nią nie kryło.

Sherlock ponuro ruszył wzdłuż barierok okalających pokład. W pewnym momencie musiał spytać o drogę stewarda: chudego mężczyznę w nieskazitelnej mundurze, z blond językiem pod czapką. Kiedy się dowiedział, którędy powinien iść, minął gromadki podnieconych pasażerów, dwa kominy i dwa wielkie, podobne do pni maszty, przeszedł obok długiej, niskiej bryły wspólnego salonu pierwszej klasy, z oknami wychodzącymi na pokład, i wreszcie dostał się z powrotem na rufę statku. Białe spieniony ślad ciągnął się za nimi niczym warkocz komety. Za statkiem leciały morskie ptaki, które nurkowały w kilwaterze, łowiąc oszołomione ryby.

W tylnej części wąskie schodki wiodły w głąb statku. U ich szczytu stali biednie ubrani mężczyźni, paląc papierosy i popatrując na bardziej eleganckich podróżnych. Sherlock przypuszczał, że to pasażerowie z dolnego pokładu, stłoczeni w brudzie i ścisku, którzy spali w hamakach albo na ławkach, ale płacili dużo mniej za bilety. Ludzie, którzy płynęli do Ameryki, by zacząć tam nowe życie, a nie podróżujący w interesach lub dla przyjemności, jak prawdopodobnie większość pasażerów pierwszej klasy.

Poczuł, że ktoś za nim stoi. Zanim się odwrócił, wiedział, że to Virginia.

– Jak twoja kajuta?

– Wygodniejsza niż wtedy, kiedy płynęliśmy do Anglii – odparła. – Ojciec powie ci, że jedzenie i warunki były tam lepsze, ale nie daj się nabrać. Nie mieliśmy miejsc na dolnym pokładzie, ale też nie w pierwszej klasie, a to, że statek był amerykański, a nie brytyjski, nie oznaczało od razu, że był bardziej luksusowy.

– A twoja towarzyszka?

– To starsza pani, wdowa. Wybiera się do syna, który pięć lat temu przeprowadził się do Nowego Jorku. Ma ze sobą pokojówkę, podróżującą w pomieszczeniach dla służby, i zamierza teraz zacząć czytać Biblię, tak by skończyć, gdy dopłyniemy do Nowego Jorku. Cóż, życzę jej powodzenia.

– Chcesz się przejść po pokładzie? – zapytał nerwowo.

– Czemu nie? Rozejrzyjmy się. Ostatecznie spędzimy tu osiem dni.

Ruszyli wolnym krokiem wzdłuż drugiej burty statku, nie tą stroną, którą wrócił Sherlock. Kiedy doszli do salonu pierwszej klasy, chłopiec dał znać Virginii, żeby się zatrzymała.

– Chcę tylko zajrzeć to środka – powiedział.

Drzwi otwierały się na zewnątrz, przytrzymywane przez sztywną sprężynę, pewnie dlatego, żeby nie szarpał nimi wiatr. Sherlock uchylił je z trudem i zajrzał do wnętrza. Pomieszczenie było puste, tylko dwóch ubranych na białe stewardów układało srebrne sztuce na długim białym stole zajmującym większość przestrzeni. Wokół niego stało około pięćdziesięciu krzeseł – tylu zapewne było pasażerów pierwszej klasy. Stewardzi spojrzeli na Sherlocka, skinęli głowami i wrócili do pracy.

Salon był wyłożony ciemnym drewnem, z lustrami dookoła, które miały zwiększać wrażenie głębi. Między lustrami umieszczono w boazerii artystyczne malowidła. Na ścianach wisiały też lampy naftowe na solidnych wspornikach.

– Więc będziemy tu jeść wszyscy razem? – zapytał.

Virginia skinęła głową.

– Wszyscy razem – potwierdziła. – Tak samo jak na statku, którym przyплыliśmy.

– Damy i dżentelmeni pospołu z przemysłowcami i właścicielami teatrów – ciągnął. – Bardzo demokratyczne. Hoi oligoi nie mają dokąd uciec przed hoi pdloi<sup>7</sup>.

– Nie przynoszą posiłków do kajut – przyznała Virginia. – Ludzie albo jedzą tutaj, albo wcale.

Jeden ze stewardów zaczął układać na stole tabliczki z nazwiskami. Sherlock zastanawiał się, jakie miejsca zapewniła im łapówka Mycrofta. Teraz, gdy wypłynęli już na morze, i tak nie można było nic zrobić. Mimo zapłaty stewardzi mogli ich posadzić w najdalszym krańcu stołu, z dala od kapitana i od drzwi, nad maszynami, i będą mogli jedynie narzekać. Sherlock sądził, że są na łasce głównego stewarda – człowieka, który już dał dowód, że można go przekupić.

Chłopiec cofnął się i pozwolił, by drzwi same się zamknęły. Znów dostrzegł jakiś ruch kątem oka. Zerknął w bok, tam gdzie salon pierwszej klasy się kończył, ku przejściu biegnącemu między nim a najbliższym kominem. Właśnie chowała się tam jakaś postać. Nie rozpoznał, czy to marynarz, czy pasażer, nie miał pewności. Jedyne, co dojrzał, to odbłask

słońca na opalizującym pasku błękitu wokół nadgarstka tego człowieka, gdy wycofywał się w cień. Błękitny mankiet koszuli? Nie miał pewności.

Pobiegł szybko na koniec salonu i wyrzwał za róg, ale w alejce było pusto. W jej połowie znajdował się właz, wiodący w głąbiny statku. Ktokolwiek im się przyglądał, zniknął, Sherlock wiedział jednak, że na tym się nie skończy. Już po raz drugi zauważył kogoś, kto obserwuje go z ukrycia. Ktoś na tym statku interesował się nimi, a to mogło oznaczać tylko jedno.

Amerykanie, którzy porwali Matty'ego, mieli tu swojego człowieka.

## ROZDZIAŁ 8



Jak Sherlock się przekonał, codzienny rytm podróży do Nowego Jorku ustalił się w ciągu pierwszych osiemnastu godzin rejsu. Mimo z pozoru ogromnych rozmiarów statku nie bardzo było tu dokąd pójść. Kiedy już człowiek przeszedł się po pokładzie, zjadł kolejny posiłek, zajrzał do palarni czy biblioteki i odbył kilka pogawędek z innymi pasażerami na temat nadzwyczaj bezwietrznej pogody, nie miał dużo więcej do roboty. Między posiłkami podróżni siedzieli w fotelach na pokładzie, czytając książki, bądź zbierali się niewielkimi grupkami przy stolikach w palarni lub w barze, by grać w brydża albo wista. Kiedy zachodziło słońce, stewardzi obchodzili statek, zapalając lampy naftowe, ale ustawiali jak najśłabszy płomień, więc wszyscy szli do kajut spać.

Sherlock przez pierwsze kilka godzin patrzył, jak jego ojczysty kraj stopniowo niknie w oddali, aż w końcu zmienia się tylko w ciemną kreskę na horyzoncie. Przegapił moment, kiedy i ta kreska zniknęła. Musiał akurat mrugnąć albo spojrzeć na coś innego, ale w jednym momencie Anglia jeszcze tam była, a zaraz potem statek znajdował się sam na niezmiernym oceanie, sunąc w stronę zachodzącego słońca, a jedyny znak, że się porusza, stanowił ciągnący się za nim biały kilwater.

Razem z Amyusem Crowe'em i Virginią poszli za resztą pasażerów na kolację, ale podczas gdy Crowe gawędził swobodnie ze wszystkimi dookoła, Sherlock stwierdził, że nie ma nic do powiedzenia. Jadł więc i przyglądał się innym, zastanawiając się, kim są, skąd pochodzą i dokąd jadą. Amyus Crowe nauczył go już kilku sposobów na to, jak rozpoznać, czym ktoś się zajmuje – plamy na rękawach, ślady zużycia na marynarce, odciski na dłoniach – i był niemal pewien, że udało mu się rozpoznać jednego księgowego oraz dwóch masztalerzy.

Kapitan Charles Henry Evans Judkins był wysokim mężczyzną, którego policzki okalały imponujące białe bokobrody. Jego mundur, nieskazitelnie czarny i doskonale odprasowany, zdobił jasnozłoty galon; kapitan trzymał się prosto, po wojskowemu. Robił furorę wśród dam, wystrojonych na tę okazję w najlepsze suknie, i opowiadał wiele niesamowitych historii o swojej pracy dla Cunard Line. Największe wrażenie na publiczności robiły opowieści o stworzeniach takich jak wieloryby i wielkie kałamarnice, które niekiedy widywano w oddali, i o potężnych sztormach, które czasem pojawiały się na horyzoncie podobne czarnym ścianom i rzucały statkiem na falach tak mocno, że pokład robił się stromy jak urwisko. Judkins opowiadał te historie z aktorskim zacięciem, roztaczając przed zafascynowanymi słuchaczami wizję podróży morskiej jako wyprawy pełnej niebezpieczeństw, którą przetrwają tylko szczęściarze, ale Sherlock był pewien, że kapitan odgrywa tylko rodzaj komedii, by zapewnić pasażerom rozrywkę, która wpłynie na to, jak zapamiętają resztę podróży. Ostatecznie, gdyby powiedział im, że rejs jest nudny jak spacer po parku, o czym opowiadaliby znajomym po zejściu na ląd?

Jedna z jego historii szczególnie przykuła uwagę Sherlocka. Judkins mówił o różnych próbach położenia na dnie Atlantyku, od Irlandii do Nowej Fundlandii, kabla, który umożliwiłby komunikację telegraficzną. Gdyby to się udało, przesłanie wiadomości z kraju do kraju nie trwałoby tydzień, tak jak teraz, gdy listy płyną w workach pocztowych w ładowniach statków, ale można by ją przekazać niemal natychmiast za pomocą impulsów elektrycznych. Idea komunikacji telegraficznej zafascynowała Sherlocka – rozumiał już, po wydarzeniach w domu Amyusa Crowe'a, że litery da się łatwo zastąpić znakami, a te z kolei nietrudno jest przekazać impulsami elektrycznymi – za pomocą sygnałów krótkich i długich, albo tylko układów „sygnał/brak sygnału”, ale wizja kabla długości jakichś trzech tysięcy mil, który ciągnie się nieprzerwanie od jednego wybrzeża do drugiego, nie mieściła mu się w głowie. Czy było coś takiego, czemu nie podołałby ludzki umysł, wyznaczwszy sobie cel? Z tego, co mówił Judkins, początkowo metoda polegała na tym, że dwa statki zaczynały pośrodku Atlantyku i każdy kładł swój kabel w przeciwnym kierunku, aż oba dotrą do lądu, ale to natychmiast natrafiło na problemy, kiedy załogi usiłowały połączyć kable w czasie sztormu. Podczas następnych prób okręty wyruszały z Irlandii i zmierzały ku Nowej Fundlandii, rozwijając po drodze



kable, ale te często się zrywały i trzeba je było zwijać z powrotem, żeby załoga mogła je naprawić.

– Pamiętam, jak pewnego razu – rzekł Judkins cichym, niskim głosem – gdy wyciągnięto zerwany kabel z otchłani oceanu, okazało się, że na jego końcu jest jakieś stworzenie! – Spojrzał po zebranych oczami błyszczącymi spod krzaczastych brwi, a słuchający go pasażerowie aż westchnęli. – Diabelska kreatura, coś jak morski skorek, jeśli dadzą państwo wiarę, biały, ale o długości dwóch stóp i czternastu opatrzonych pazurami odnóżach, którymi trzymał się mocno kabla i nie chciał puścić. Kiedy kabel wciągnięto na pokład, stworzenie wciąż żyło, ale szybko umarło, pozbawione swego naturalnego środowiska, czyli mrocznego dna oceanu.

Jedna z kobiet nie mogła powstrzymać pisku.

– Wiem od świadków tego wydarzenia – ciągnął Judkins – że po ugotowaniu smakowało trochę jak homar.

Jego słuchacze roześmieli się z ulgą. Sherlock zerknął na Crowe'a, który także się uśmiechał.

– Znam podobne historie – mruknął Crowe, tak by usłyszał go tylko Sherlock. – Te stworzenia nazywają się równonogi. Przypominają krewetki, ale warunki na dnie oceanu pozwalają im osiągać niebывałe rozmiary.

Steward obsługujący część stołu, gdzie siedział Sherlock – niedaleko kapitana, jak obiecał Mycroft – okazał się tym samym krótko ostrzyżonym chudym blondynem, który wcześniej wskazał Sherlockowi drogę. Skinął chłopcu głową, stawiając wazę z zupą przed mężczyzną siedzącym naprzeciwko.

Na kolację na szczęście nie podano homara.

Po posiłku Sherlock poszedł do kajuty, zostawiając Amyusa Crowe'a w barze, a jeśli Crowe w ogóle wrócił, żeby się położyć, zrobił to, gdy chłopiec spał już głęboko. Kiedy Sherlock się obudził i ubierał, żeby pójść na śniadanie, Crowe'a już nie było. Najwyraźniej wystarczało mu niewiele snu.

Mimo że znajdowali się na statku, a gotowano w ciasnym kambuzie, jedzenie okazało się znakomite. Na każdy posiłek podawano co innego, a czekanie na to, co pojawi się na talerzu na śniadanie, lunch albo kolację, stanowiło jeden z najprzyjemniejszych momentów dnia. Wszystko przygotowywano ze świeżych produktów – trudno byłoby długo je przechowywać – ale chociaż zwierząt w zagrodzie ubywało z dnia na dzień,

to nie było żadnych widocznych śladów tego, że je zabijano – żadnych plam krwi na pokładzie ani żalostnego beczenia tych, które zabierano na rzeź. Załoga najpewniej miała swoje sposoby, praktykowane przez lata.

Niebo tego pierwszego dnia było pogodne i błękitne, a fale tak małe w porównaniu z rozmiarem statku, że tylko chlupotały o burty, wcale nim nie kołysząc. Sherlock czytał kiedyś historie o sztormach na morzu i podsłuchał, jak kilku pasażerów straszy innych opowiadaniem o swoich poprzednich straszliwych rejsach przez Atlantyk, kiedy potężne fale zawisały nad okrętem, a potem zwały się na pokład, zmiatając zwierzęta za burtę, ale jak dotychczas ocean był tak spokojny, że niektórzy grali nawet w bule na kawałku wolnej przestrzeni.

Pasażerowie z niższych klas mieli własny odgradzony fragment pokładu, gdzie mogli spacerować i prać ubrania. Znajdował się u wylotu schodów wiodących w mroczne czeluście statku, gdzie wisały ich hamaki. Woń, dolatująca stamtąd niekiedy, stanowiła mieszaninę cielesnych wyziewów, od której łzy stawały w oczach. Tam na dole zapewne brakowało przewiewu, nie dało się zobaczyć nieba ani horyzontu, więc choroba morską stale nękała pasażerów. Kiedy wychodzili na górę, albo z tajoną niechęcią w oczach przyglądali się podróżnym z pierwszej klasy, albo z wyrazem znużonego przygnębienia wpatrywali się w pokład. Sherlock za każdym razem, gdy ich mijał, dziękował Bogu, że Mycroft kupił dla nich bilety w pierwszej klasie. Nie był pewien, czy przetrwałby na dolnym pokładzie. Nie wyobrażał sobie, jak ktokolwiek może tam wytrzymać.

Potężne koła łopatkowe po obu stronach statku znajdowały się w nieustannym ruchu, napędzane przez maszyny parowe, których dudnienie można było poczuć, kiedy tylko dotknęło się jakiegokolwiek drewnianej powierzchni. Łopatki umieszczone na ich obwodzie obracały się, popychając statek naprzód. Kapitan kazał rozwinąć żagle niedługo po tym, gdy Southampton zniknęło z horyzontu, ale zwisały bezwładnie, więc najwyraźniej nie było dość silnego wiatru, by statek mógł płynąć bardzo szybko.

Co dziwne, przez większość tego pierwszego dnia po śniadaniu Sherlock prawie nie widział Amyusa i Virginii Crowe'ów. Ona wydawała się przygaszona i niemal nie wychodziła ze swojej kabiny, on zaś albo sprawdzał, czy jego córka dobrze się czuje, albo siedział, dumając, w kajucie, którą dzielił z Sherlockiem. Virginie coś gnębiło. Sherlock

próbował przypomnieć sobie, co mówiła o ich podróży z Ameryki do Anglii, oprócz tego, że nie płynęli pierwszą klasą, ale też nie na dolnym pokładzie. Miał poczucie, że kiedy się poznali, powiedziała coś ważnego, nie pamiętał jednak co.

Sherlock stał, przyglądając się falom, gdy gdzieś od strony rufy usłyszał muzykę. Odwrócił się więc, by sprawdzić, skąd dochodzi dźwięk. Muzyka płynęła w górze, lekka jak mewy, które leciały za kilwaterem i zawisały w powietrzu, ledwo poruszając skrzydłami. Melodia grana na skrzypcach wznosiła się, po czym zatrzymywała na najwyższej nucie i opadała znowu.

Sherlock odsunął się od relingu i ruszył w kierunku rufy w poszukiwaniu źródła muzyki. Każda odrobina rozrywki na statku była cenna: wszystko, co mogłoby przełamać monotonię dnia, należało zbadać i docenić.

Za długim budynkiem salonu, na kawałku otwartego pokładu jakiś człowiek grał na skrzypcach. To był mężczyzna, którego Sherlock widział poprzedniego dnia, kiedy odpływali z Southampton – ten o długich czarnych włosach i zielonych oczach. Miał na sobie tę samą sztruksową marynarkę i spodnie, choć chyba zmienił koszulę. Przyciskał skrzypce do szyi i pochylając głowę, podbródkiem przytrzymywał instrument, podczas gdy palcami lewej dłoni obejmował gryf, a prawą ręką przesuwiał smyczkiem z końskiego włosia po strunach. Oczy miał przymknięte, a na twarzy wyraz ogromnego skupienia. Sherlock nigdy wcześniej nie słyszał takiej muzyki: była dzika, romantyczna i niespokojna, nie uporządkowana i matematyczna, jak utwory Bacha czy Mozarta, które grano podczas koncertów w szkole dla chłopców w Deepdene.

Wielu innych pasażerów zebrało się wokół skrzypka, podziwiając go z pytającymi uśmiechami. Sherlock patrzył i słuchał, jak muzyka wznosi się do punktu kulminacyjnego, zatrzymuje na jednej nucie, po czym cichnie. Mężczyzna przez chwilę trzymał skrzypce na ramieniu, z przymkniętymi oczami i uśmiechem na twarzy, a później opuścił instrument i otworzył oczy. Zebrani zaczęli klaskać. Skrzypek ukłonił się. Sherlock spostrzegł, że otwarty futerał od skrzypiec leży przed nim na pokładzie i niektórzy pasażerowie rzucili mu kilka monet, zanim odeszli.

Po chwili w pobliżu zostali tylko Sherlock i skrzypek. Mężczyzna schylił się, żeby zebrać monety z futerału, a następnie spojrzał na Sherlocka.

– Podobało ci się, przyjacielu?

– Tak. Gdybym miał jakieś pieniądze, tobym panu dał.

– Nie trzeba. – Muzyk odłożył skrzypce i smyczek do futerału, po czym się wyprostował. – Te pieniądze pomagają mi się wyżywić, opędzić wydatki i kupić sobie czasem kufelek piwa, ale nie próbuję żyć z grania. W każdym razie nie tutaj, na statku. Muszę jednak ćwiczyć, a mój współpasażer docenia najwyraźniej tylko niemieckie polki.

– A co to był za utwór? – zapytał Sherlock.

– To niedawno napisany koncert skrzypcowy g-moll niemieckiego kompozytora Maksa Brucha. Poznałem go zeszłego roku w Koblencji. Dał mi egzemplarz nut. Od tamtej pory próbuję zagrać to tak jak trzeba. Myślę, że pewnego dnia ten utwór znajdzie w repertuarze każdego skrzypka.

– Brzmiał niezwykle pięknie.

– Niektóre pomysły Bruch zaczerpnął z dzieł Feliksa Mendelssohna, ale nadał im własny szlif.

– Czy pan jest zawodowym muzykiem?

Skrzypek uśmiechnął się – był to swobodny, niewymuszony uśmiech odsłaniający mocne, białe zęby.

– Od czasu do czasu – odparł. – Imałem się już wielu zajęć, ale zawsze wracam do skrzypiec. Grywałem w orkiestrach w salach koncertowych i w kwartetach smyczkowych w salonach arystokracji, grałem też na ulicach i akompaniowałem śpiewakom w music-hallach, podczas gdy kufle piwa latały nam nad głowami i roztrzaskiwały się o scenę. A przy okazji, nazywam się Stone. Rufus Stone.

– Ja jestem Sherlock Holmes. – Chłopiec podszedł i wyciągnął rękę. Rufus ścisnął ją przez chwilę, dłoń miał twardą i mocną. – Czy to dlatego jedzie pan do Ameryki? Żeby grać na skrzypcach?

– W Anglii jest coraz mniej możliwości – odparł Stone. – Mam nadzieję, że w Nowym Świecie znajdzie się dla mnie miejsce, zwłaszcza że kwiat jego mieszkańców został ścięty podczas wojny secesyjnej. – Obrzucił Sherlocka spojrzeniem. – Nadawałbyś się na skrzypka. Trzymasz się prosto i masz długie palce. Grasz?

Sherlock potrząsnął głową.

– Nie gram na żadnym instrumencie – wyznał.

– Powinieneś. Dziewczęta kochają muzyków. – Stone przechylił głowę na bok, tak jakby nadal miał na ramieniu skrzypce. – Umiesz czytać nuty?

Sherlock skinął głową.

– Uczyłem się w szkole. Mieliśmy chór i musieliśmy śpiewać co rano.

– Chciałbyś się nauczyć grać na skrzypcach?

– Ja? Grać na skrzypcach? Mówi pan poważnie?

Stone przytaknął.

– Mamy tydzień, zanim dobijemy do portu, a czas wlecze się okropnie, jeśli nie znajdziemy sobie jakiejś rozrywki. Kiedy dotrę do Nowego Jorku, poszukam zajęcia jako nauczyciel gry na skrzypcach. Może pójdzie mi łatwiej, jeśli będę mógł powiedzieć, że uczyłem już kogoś grać. Mam kilka dobrych pomysłów, jak to robić, ale nigdy nie wypróbowałem ich w praktyce. Więc – co ty na to? Masz ochotę mi pomóc?

Sherlock namyślił się. Nie grał w brydża ani wista, a jedyny wybór stanowiło zmuszone tłumaczenie Państwa Platona, które dał mu Mycroft. Propozycja skrzypka brzmiała dużo bardziej interesująco.

– Nie mogę panu zapłacić – ostrzegł. – Nie mam pieniędzy.

– Nie poniesiesz żadnych kosztów. Wyświadczysz mi przysługę.

– Czego zdoła mnie pan nauczyć w ciągu tygodnia?

Stone zastanowił się przez chwilę.

– Możemy zacząć od postawy – zaproponował. – Od tego, jak należy stać i jak trzymać skrzypce. Kiedy już to złapiesz, możemy przejść do różnych technik operowania prawą ręką – détaché, legato, collé, martelé, staccato, spiccato i sautillé. Kiedy uznam, że je opanowałeś, zajmiemy się techniką lewej ręki – opuszczania, unoszenia i przesuwania palców oraz vibrato. A potem, obawiam się, nie pozostaje już nic innego jak tylko ćwiczyć, ćwiczyć, ćwiczyć – gamy i arpeggia, aż do bólu palców.

– Powiedziałem, że umiem czytać nuty, ale nie potrafię utrzymać dźwięku – przyznał Sherlock. – Nasz dyrygent stwierdził, że słoń nadepnął mi na ucho.

– Bzdury – odparł pogardliwie Stone. – Może nie umiesz śpiewać, ale zapewniam cię, że do końca tygodnia nauczysz się wydobyć dźwięk, za który ludzie będą gotowi rzucać ci monety – nawet jeśli to będzie tylko niemiecka polka. Co ty na to?

Sherlock uśmiechnął się. Nagle rejs wydał mu się dużo bardziej interesujący, niż się spodziewał.

– Brzmi dobrze – uznał. – Kiedy zaczynamy?

– Od razu – oświadczył stanowczo Stone. – I będziemy pracować aż do lunchu. Weź skrzypce. Zobaczmy, czy masz dobrą postawę.

W ciągu następnych trzech godzin, od końca pory śniadaniowej do połowy lunchu, Sherlock nauczył się, jak stać prawidłowo oraz jak trzymać skrzypce i smyczek. Zagrał nawet kilka dźwięków, które brzmiały, jakby

ktoś dusił kota, ale Rufus („Mów mi Rufus” – oznajmił muzyk, kiedy Sherlock zwrócił się do niego „panie Stone”. – „Kiedy mówisz «panie Stone», brzmi to moim zdaniem tak, jakbyś był kierownikiem banku”) powiedział mu, że to nieważne. Stwierdził, że podczas porannej lekcji Sherlock miał nie tyle nauczyć się, jak wydobyć ze skrzypiec dźwięk, ile nabrać wyczucia.

– Chcę, żebyś był rozluźniony, ale czujny. Chcę, żeby twoje ramiona, palce i barki poznały dokładnie kształt instrumentu. Chcę, żeby na koniec nauki skrzypce były niczym przedłużenie twojego ciała.

Pod koniec lekcji Sherlock czuł ból w takich miejscach, co do których nawet nie sądził, że ma tam mięśnie, złapał go skurcz szyi, a opuszki palców mrowiły go tam, gdzie dociskał struny z katgutem.

– Przecież wcale się nie ruszałem! – zdziwił się. – Dlaczego czuję się, jakbym biegł w wyścigu?

– Niekoniecznie trzeba się ruszać, żeby się zmęczyć – wyjaśnił Rufus. – Chodzi o to, że mięśnie napinają się i rozluźniają. Rzadko widzi się otyłych muzyków. To dlatego, że chociaż siedzą albo stoją w jednym miejscu, ich mięśnie bez przerwy pracują. – Urwał, marszcząc brwi. – Oprócz perkusistów – powiedział w końcu. – Oni po prostu tyją.

– A co teraz?

– Teraz – oznajmił Rufus – idziemy na lunch.

Podczas gdy nauczyciel poszedł odnieść skrzypce do kajuty, Sherlock udał się na poszukiwania Amyusa Crowe’a. Wielki Amerykanin wyłonił się ze swojej kryjówki, ale nigdzie nie było widać Virginii. Kiedy wszyscy usiedli przy wspólnym stole, Sherlock przedstawił Crowe’a Rufusowi Stone’owi.

– Miło mi pana poznać – przywitał się Crowe, ściskając mu dłoń. – Widzę, że jest pan muzykiem. Skrzypkiem.

– Słyszał pan, jak gram? – zapytał z uśmiechem Rufus.

– Nie, ale ma pan kurz na ramieniu. Wedle mojego doświadczenia kurz na męskiej marynarce oznacza trzy rzeczy: jej właściciel jest albo nauczycielem, albo gra w bilard, albo gra na skrzypcach. Na tym statku brakuje, z tego co wiem, stołu bilardowego, i raczej nie ma na pokładzie tylu dzieci, żeby warto było urządzać dla nich klasę.

Sherlock zerknął na własne ramię. Rzeczywiście, dostrzegł na nim delikatną warstewkę kurzu. Roztarł go w palcach. Miał barwę ciemnego bursztynu i wydawał się lepki.

– To nie kreda – powiedział. – Co to jest?

– Kalafonia – wyjaśnił Rufus.

– Rodzaj żywicy – wtrącił się Crowe. – Zbiera się ją z sosen, następnie gotuje i filtruje, po czym formuje w kawałki, jak mydło. Skrzypkowie nacierają nią smyczki. Dzięki temu smyczek staje się przyczepny, co sprawia, że struny wibrują. Oczywiście żywica wysycha i zmienia się w pył, który osiada na ramieniu, ponieważ ta część ciała jest najbliższej skrzypiec. – Przyjrzał się marynarce Sherlocka i zmarszczył brwi. – Ty też grałeś na skrzypcach. Nie, ty się uczyłeś grać na skrzypcach.

– Rufus – pan Stone – mnie uczył.

– Nie ma pan nic przeciwko temu, panie Crowe? – zapytał Rufus. – Chciałem tylko, żeby czas nam szybciej zleciał.

– Nigdy nie przywiązywałem wagi do muzyki – zadudnił Crowe. – Jedyna melodia, jaką rozpoznaję, to wasz hymn narodowy, i to tylko dlatego, że ludzie wstają, kiedy jest grany. – Spojrzał na Sherlocka spod krzaczastych brwi. – Miałem zamiar kontynuować nasze lekcje podczas rejsu, ale Virginia niezbyt dobrze znosi tę podróż. – Potrząsnął głową. – Nie pamiętam, czy o tym wspominałem, ale jej matka – moja żona – zmarła podczas naszego ostatniego rejsu przez Atlantyckie. Płynęliśmy z Nowego Jorku do Liverpoolu. To wspomnienie bardzo jej ciąży. – Westchnął. – Dziwna sprawa z tą pamięcią. Można odsunąć dowolne wspomnienia na bok i nie zwracać na nie uwagi, ale czasem byle drobiazg budzi je na nowo. Zwykle najbardziej przywołują je zapachy i dźwięki. Ginnie przez jakiś czas nie wspominała o matce, ale zapachy oceanu i statku sprawiły, że wszystko znów wróciło.

– Przykro mi – odezwał się Sherlock. Te słowa wydały mu się nie do końca odpowiednie, ale nie wiedział, co innego mógłby powiedzieć.

– Wypadki chodzą po ludziach – stwierdził Crowe. – To znana prawda o ludzkiej kondycji. – Znów westchnął. – Ufam, że poświęcisz trochę czasu na tłumaczenie książki, którą dał ci brat – rzekł. – A ja postaram się spędzić z tobą godzinę czy dwie dziennie, żeby porozmawiać o tym, co udało ci się zaobserwować na statku, ale nie będziemy mieli możliwości zastanowić się nad tym głębiej. Pozostały czas jest do twojej dyspozycji. Wykorzystaj go tak, jak masz ochotę.

Reszta posiłku upłynęła im w niezręcznym milczeniu. Sherlock, gdy tylko skończył jeść, podziękował i odszedł od stołu. Miał poczucie, że w jakiś sposób rozczarował Amyusa Crowe'a, i nie chciał pogłębiać tego

rozczarowania, idąc prosto na lekcję gry na skrzypcach. Rufus Stone najwyraźniej to rozumiał, jeśli sędzić po lekkim skinieniu głową, którym pożegnał chłopca.

Przez godzinę, siedząc w fotelu na pokładzie, Sherlock zagłębiał się w trudną grekę Państwa Platona. Proces tłumaczenia w głowie starożytnego języka na angielski był tak żmudny, że ledwo rozumiał to, co czyta – znał sens pojedynczych słów, ale pod koniec zdania gubił jego początek i już nie wiedział, gdzie się zaczynało i o co w nim chodziło.

W pewnym momencie, zmagając się ze szczególnie trudnym czasownikiem przechodnym, podniósł głowę i zobaczył ubranego na biało stewarda, stojącego obok niego z tacą. Był to ten sam mężczyzna, który wcześniej wskazywał mu drogę i który podawał kolację wczoraj wieczorem.

– Czy mógłbym coś panu przynieść? – zapytał steward.

– Słownik grecki?

Pomarszczona, opalona twarz stewarda nie zmieniła wyrazu.

– Obawiam się – odparł – że nie pomogę panu w tej sprawie. Mamy na pokładzie bibliotekę, ale nie sądzę, by znajdował się w niej słownik greki – a zwłaszcza starożytnej greki, bo jak podejrzewam, taki jest panu potrzebny.

– Czy pamięta pan wszystkie książki, jakie są w bibliotece? – zapytał Sherlock.

– Pracuję na tym statku, od kiedy został zwodowany – wytłumaczył steward. – Znam nie tylko każdą książkę w bibliotece, ale też każdy koktajl w menu, każdą deskę na pokładzie i każdy nit w kadłubie. – Skinął głową. – Nazywam się Grivens, proszę pana. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę pytać.

Wzrok Sherlocka przyciągnęła ręka trzymająca tacę. Od nadgarstka w górę pokrywał ją tatuaż, znikający w ciemności rękawa. Wyglądał jak maleńkie łuski, zabarwione delikatnym, nakrapianym złotem błękitem, świecącym w słońcu.

Ten sam kolor Sherlock widział na nadgarstku kogoś, kto obserwował go wczoraj, ukryty w cieniu. Czyżby to tylko zbieg okoliczności?

Grivens dostrzegł jego spojrzenie.

– Czy coś nie w porządku, proszę pana?

– Przepraszam. – Sherlock zastanawiał się gorączkowo. Pokazał po sobie, że najwyraźniej zauważył coś dziwnego i musiał teraz jakoś zamaskować swoją gafę. – Zobaczyłem pański... pański tatuaż. Mój... brat



ma zupełnie podobny. – W myślach szybko poprosił Mycrofta o wybaczenie – z tego, co wiedział, był on ostatnim człowiekiem na ziemi, który zrobiłby sobie tatuaż. Może prócz stryjenki Anny.

– Zrobili mi go w Hongkongu – wyjaśnił Grivens. – Zanim jeszcze zostałem zatrudniony na „Scotii”.

– Jest piękny.

– Człowiek, który go wykonał, to mały pomarszczony Chińczyk pracujący w zaułku na tyłach targu w Koulun – ciągnął steward. – Ale jest sławny wśród marynarzy na całym świecie. Przysięgam, że nikt mu nie dorówna, ani tam, ani nigdzie indziej. Nikt inny nie potrafiłby nawet uzyskać kolorów, jakich on używa. Za każdym razem kiedy widzę u jakiegoś marynarza jego tatuaż albo jakiś marynarz zobaczy mój, kiwamy sobie głową, bo wiemy, że obaj byliśmy u tego samego małego Chińczyka. To coś jak klub, prawda?

– Dlaczego marynarze się tatuują? – zapytał Sherlock. – Z tego co widziałem, każdy z członków załogi ma jakiś tatuaż, każdy inny.

Grivens spojrzał w morze.

– Zwykle się o tym nie mówi, proszę pana – powiedział. – Zwłaszcza pasażerom. Chodzi o to – wybaczy pan, jeżeli będę niedelikatny – że jeśli statek się rozbije, może minąć trochę czasu, zanim morze wyrzuci ciała marynarzy na brzeg – zakładając, że w ogóle wyrzuci. Zdarzało się, że zwłoki nie zostały rozpoznane nawet przez najbliższych krewnych. Słona woda, sztormy i ryby zrobiły swoje. Ale tatuaże wytrzymują dłużej. Tatuaż można rozpoznać, nawet kiedy nie ma już twarzy. Więc tak to się zaczęło – to był znak rozpoznawczy. Jak człowiek wie, że po jego śmierci rodzina będzie miała spore szanse pochować go odpowiednio, to trochę lepiej się czuje.

– Och – Sherlock skinął głową. – To chyba ma sens. Dziękuję.

Grivens skłonił się lekko.

– Do usług, proszę pana. Czy będzie pan tu przez jakiś czas?

– A dokąd miałbym pójść?

– W takim razie zajrzę do pana później. Zobaczę, czy czegoś panu nie trzeba.

Odszedł, rozglądając się, czy któryś z pasażerów czegoś sobie życzy, i zostawił Sherlocka pogrążonego w myślach. Jeśli to ten człowiek obserwował go z ukrycia – jeśli w ogóle ktoś go obserwował, co było założeniem opartym tylko na tym, że dostrzegł czyjś ruch – dlaczego chciał

wiedzieć, czy Sherlock zostanie na pokładzie? Czy chciał przeszukać jego kajutę, żeby się zorientować, co Sherlock wie? Czy też miał zamiar śledzić Amyusa Crowe'a i Virginie? Niezależnie od tego, jak brzmiała odpowiedź, Sherlock nie mógł tu zostać. Szybko wstał i ruszył pokładem do schodów wiodących do korytarza, gdzie znajdowała się jego kajuta.

Zauważył nieznacznie uchylone drzwi. Czy w środku był steward, który zakradł się na przeszpiegi, czy Amyus Crowe?

Sherlock podszedł bliżej, próbując zajrzeć przez szparę. Jeśli to Grivens, pójdzie po Amyusa Crowe'a i powie mu, co się dzieje.

Poczuł mocne uderzenie w plecy. Poleciał do przodu i wpadł do kajuty. Kolejne pchnięcie i leżał na podłodze. Gdyby nie to, że przekreślił głowę i się skulił, uderzyłby o brzeg koi. Dywan boleśnie otarł mu twarz. Chłopiec wykręcił szyję i spojrzał w stronę wejścia.

Grivens zamknął za nim drzwi. Jego bladoniebieskie oczy zrobiły się nagle zimne i twarde jak szklane kulki.

– Myślisz, że takiś sprytny, co? – warknął. Sherlocka aż zatkało na to nagłe przejście od służalczości we wściekłość. – Lepszych od ciebie załatwiałem jednym palcem. Sądzisz, że nie wiedziałem, że pójdziesz za mną, aby sprawdzić, czy nie grzebię w twojej kajucie? Spostrzegłem, że patrzysz na mój tatuaż, i domyśliłem się, że go rozpoznałeś, bo widziałeś go już wczoraj, kiedy obserwowałem was troje. Więc udało mi się zwabić cię do kajuty.

– I co pan chce ze mną zrobić? – zapytał Sherlock. Ciężko mu było oddychać, gdy tak leżał skręcony na podłodze.

– Pozbyć się ciebie ze statku. Ciebie i tamtych dwojga.

– Ze statku? – Sherlock potrzebował chwili, żeby pojąć sens tych słów. – To znaczy: wyrzucić nas za burtę? Do Atlantyku? Ale zauważą, że nas nie ma!

– Choćby kapitan zawrócił, dał całą wstecz i kazał was szukać, nic wam to nie pomoże. W tej wodzie nie przeżyjecie dłużej niż pół godziny.

Sherlock myślał gorączkowo, zastanawiając się, jak to wszystko mogło się wydarzyć.

– Pan nie jest jednym z nich. To niemożliwe. Ludzie, których ścigaliśmy, nie wiedzieli, na jaki statek wsiądziemy – i że w ogóle na któryś wsiądziemy.

– Wiem tylko, że zapłacili mi, żebym miał oko na troje podróżników: wielkiego gościa w białym kapeluszu i dwoje dzieciaków. Może z jeszcze

jednym tytkiem – tłusciochem – a może nie. Jedna trzecia forsy teraz, a dwie trzecie, kiedy zobaczą w dokumentach raport, że troje albo czworo pasażerów wypadło za burtę.

– Ale skąd wiedzieli, że popłyniemy tym statkiem? – zapytał Sherlock. Potem go olśniło. – Zapłacili komuś na każdym statku?

Grivens przytaknął.

– Na każdym statku, który miał wypłynąć w ciągu kilku następnych dni. Tak mi się wydaje. Większość z nas znaleźli w jednym miejscu – w barze, gdzie stewardzi przesiadują między rejsami.

– Ale ile to ich musiało kosztować?

Grivens wzruszył ramionami.

– To nie mój problem. Jeśli tylko zostanie im dość, żeby mi zapłacić, kiedy będziemy w Nowym Jorku. Chyba nie narzekają na brak forsy. – Wyciągnął rękę i chwycił Sherlocka za włosy. – Powiedzieli, że zapłacą więcej, jeżeli wydobędę od ciebie, jak dużo wiesz o ich planach. Jeśli wyjawisz mi po dobroci, obędzie się bez bólu, a ja zrobię ci przysługę i zadbam, żebyś był nieprzytomny, kiedy wyrzucę cię za burtę, okej? Albo pogadamy inaczej, będę ci obcinał paluszki jeden po drugim, obcinaczem do cygar, aż mi powiesz, a wtedy wyrzucę cię za burtę jeszcze przytomnego.

– Będę krzyczał! – wrzasnął Sherlock. – Ktoś mnie usłyszy.

– Nie mówiłem ci? – zapytał Grivens. – Zanim zostałem stewardem, zaczynałem jako dostawca okrętowy, szylłem żagle. Palce nigdy nie zapominają dotyku stalowej igły przechodzącej przez płótno. Zaszyję ci usta grubym sznurkiem, tylko dla przyjemności spoglądania w twoje przerażone oczy, kiedy wyrzucę cię za burtę. – Urwał. – A teraz odpowiedz mi na pytanie. Ile wiesz o planach tych Amerykanów?

Pochylił się, by mocniej szarpnąć Sherlocka za włosy. Opalizujący błękitny tatuaż na nadgarstku wydawał się świecić w półmroku kajuty.

Sherlock kopnął stopą obutą w mocny trzewik i trafił Grivensa w lędźwie. Steward zgiął się wpół, stękając z bólu.

Sherlock podniósł się z trudem. Chwycił Grivensa za ramiona i pociągnął do przodu. Mężczyzna upadł, a Sherlock próbował przeleźć nad nim, żeby dostać się do drzwi.

Ręka stewarda złapała go za kostkę i szarpnęła mocno, żeby wciągnąć go z powrotem do kajuty. Sherlock skręcił się, kopnął wolną nogą, tym razem uderzył Grivensa nad okiem. Ten zaklął i runął w tył.

Sherlock wiedział, że musi uciekać i znaleźć Amyusa Crowe'a. Rzucił się do drzwi i je otworzył. Do kajuty wlało się światło lamp naftowych wiszących w korytarzu. Wydostał się na zewnątrz, zamknął za sobą drzwi i pobiegł korytarzem. Za plecami usłyszał łomot drzwi kajuty, które stuknęły w ścianę, gdy Grivens je otworzył, i dudnienie jego ciężkich kroków – steward ruszył za nim w pogoń. Korytarz się rozwidlał. Sherlock pobiegł w lewo, sądząc, że dostanie się w ten sposób do schodków prowadzących na pokład, gdzie będzie bezpieczny, ale musiał się pomylić, bo schodków nigdzie nie było widać. Zamiast tego korytarz wiódł go coraz głębiej do wnętrza statku.

Miał wybór – iść w dół po schodach albo wracać. Zdecydował się zejść na dół. To już nie były rejonny dla pasażerów: ściany zrobiono z prostego drewna, bez ozdobnych boazerii, a lampy naftowe migotały żółtym światłem. Skończyły się miękkie dywany, pod stopami czuł gołe deski.

Gdzieś za sobą usłyszał kroki. Grivens wciąż deptał mu po piętach. Ruszył więc dalej.

Odgłos maszyn statku docierał teraz z bliska, jak uderzenia potężnego mechanicznego serca, zrobiło się wyraźnie cieplej. Sherlock ociekał potem, trochę dlatego, że biegł, a trochę dlatego, że w powietrzu wisiało dużo pary.

Skręcił za róg, przed nim znajdowały się potężne drzwi. Zamknięte. Zerknął szybko przez ramię, ale nie było sensu wracać. Mógł tylko iść dalej.

Otworzył je więc i wszedł.

Prosto do piekła.

## ROZDZIAŁ 9



Żar uderzył go w twarz, że aż się zachwiał. To było jak przejść obok otwartego pieca chlebowego. Czuł, jak zwijają mu się włoski na karku, a twarz i szyja spływają potem. Powietrze było tak gęste i gorące, że z trudem łapał oddech.

Za drzwiami znajdowała się galeryjka z kutego żelaza, z której zauważył piekielną otchłań pełną maszynierii: tłoków, kół, osi, przy czym każdy element ruszał się w innym kierunku z inną szybkością: w lewo i w prawo, w górę i w dół, albo się obracał. Znajdował się w maszynowni „Scotii”, której silniki napędzały wielkie koła łopatkowe po obu stronach statku. Sherlock wiedział, że niedaleko jest osobna kotłownia, gdzie marynarze szuflują węgiel do potężnego pieca, dzięki któremu woda w kotle zmienia się w parę. Para siecią rur płynie do tego pomieszczenia, gdzie tłoki, złącza i tryby przekształcają jej ciśnienie w ruch obrotowy i za pomocą ogromnych wałów napędzają koła łopatkowe. Jeśli już tutaj panuje piekielne gorąco, to temperatura w kotłowni przypominała wnętrze wulkanu. Jak ludzie to wytrzymują?

Hałas był ogłuszający: połączenie szczęku, syku i dudnienia, od którego Sherlocka aż bolało w piersi. Czuł wibracje we framudze, której się trzymał, wibrowało też samo powietrze. Miał wrażenie, jakby ktoś rytmicznie uderzał go w pierś. W takich warunkach nie da się rozmawiać. Ludzie, którzy tu pracują, muszą chyba porozumiewać się na migi, a głuchota to ryzyko zawodowe.

Oświetlenie zapewniały brudne lampy naftowe, wiszące na ścianach w różnych miejscach, oraz kraty w suficie, wpuszczające wątle strużki światła ze świata powyżej, ale blask nikł szybko w pełnym dymu, pyłu i pary powietrza, i wszędzie, gdzie spojrzał, Sherlock widział wielkie czarne kałuże cienia. Przez kraty wpadało też powietrze, niosąc jakże

pożądany chłodny powiew wszystkim, którzy stali pod nimi. Węglowy pył i para wirowały wokół niczym niespokojne duchy, niepewne, dokąd mają ulecieć.

Sherlock rozejrzył się pospiesznie, próbując zdecydować, w którą stronę pójść. Maszynownia najwyraźniej zajmowała kilka poziomów we wnętrzu statku. Kładki przytwierdzone do ścian wiodły z jednej strony na drugą na różnych wysokościach. Prowadziły do nich drabiny z kutego żelaza. W poprzek pomieszczenia biegly zapewniające stabilność potężne stalowe belki, do których przytwierdzono rozmaite rury i koła. Całość wydawała się pomyślana tak, żeby w razie awarii do każdej rury, tłoka, trybu i wału można było dosięgnąć z kluczem francuskim.

Niektóre z mniejszych rur kończyły się wskaźnikami ciśnienia – sporymi urządzeniami wielkości dwóch zaciśniętych pięści Sherlocka, ich wskazówki pokazywały napór pary w rurach. Może mechanicy mogli dzięki temu określić, czy trzeba dorzucić węgla do pieca albo czy ciśnienie rośnie zbyt szybko i należy upuścić parę. Do innych rur przytwierdzono ogromne metalowe koła, służące zapewne do otwierania i zamykania zaworów, wpuszczających właściwą ilość pary do odpowiednich rur.

W górze, pod sufitem, Sherlock zobaczył dwa olbrzymie zbiorniki na parę. Prowadziło do nich wiele rur. Wydawało się, że zbiorniki wychodzą na poziom pokładu. Dopiero po chwili Sherlock domyślił się, że zapewne są połączone z dwoma kominami „Scotii” i że wypuszcza się nimi parę, która wykonała już swoje zadanie.

Wszystko było zrobione z grubego, czarnego metalu, gorącego w dotyku, i połączone nitami wielkości kciuka Sherlocka. Cała maszyna jakby drgała w żarze pieca; powietrze falowało, więc z trudem dawało się ocenić odległości.

Od zapachu maszynowni Sherlocka nieprzyjemnie drapało w nosie. Woń była głównie siarkowa, trochę jak zgniłych jaj, ale czuł też smołę i coś jeszcze, co przypominało smak krwi w ustach, a co zapewne było rozgrzanym żelazem.

Z cienia wynurzyła się jakaś postać. Sherlock wzdrygnął się, spodziewając się Grivensa, ale okazało się, że to inny członek załogi, mechanik. Obnażony do pasa i potężnie umięśniony, skórę miał czarną od węglowego pyłu i poznaczoną strużkami potu, tak że cały był w jaśniejsze i ciemniejsze paski, jak zebry na rycinach w książkach o Afryce, które Sherlock widział w bibliotece ojca. Moleskinowe spodnie miał

przesiąknięte potem, a na ramieniu niósł szuflę. Cała jego postać – to, jak szedł, jego mina, wszystko – wyrażała straszliwe zmęczenie. Sherlock przyglądał się, gdy mijał dudniący silnik i ze spuszczoną głową zniknął w innych drzwiach, być może szedł, żeby położyć się w hamaku wiszącym gdzieś w ciemnych głębinach statku.

Zdając sobie sprawę, że Grivens jest tuż za nim, Sherlock pobiegł galeryjką, aż dotarł do drabinki, którą mógł pójść w górę albo w dół. Dokąd teraz? Jeśli zacznie się wspinać, znajdzie się bliżej pokładu, ale nie był pewien, czy znajdzie tam wyjście na zewnątrz. Na pewno nigdy nie widział na pokładzie żadnych mechaników ani palaczy. Może nie wolno im było tam wychodzić i musieli przez całą podróż żyć w mroku maszynowni. Zatem na dół, mógł jedynie mieć nadzieję, że z maszynowni są inne wyjścia.

Chłopiec zszedł po drabince tak szybko, jak tylko mógł, parząc sobie palce o żelazne szczeble. Wibracje maszyn przenosiły się przez jego ręce tak mocno, że aż drgały mu zęby. Z gorąca i braku powietrza kręciło mu się w głowie, mokre od potu dłonie dwa razy omsknęły mu się ze szczebli i o mało nie spadł. W końcu stanął na dole i na chwilę z ulgą oparł czoło o drabinę, po czym odepchnął się od niej i ruszył dalej.

Drzwi na galeryjce znów się otworzyły. Sherlock słyszał, jak wałą o ścianę. Na moment zapadła cisza, a następnie czyjeś kroki zabrzęczały na metalowej kracie.

Sherlock wsunął się w przejście biegnące między dwiema dużymi częściami silnika: nieregularnymi bryłami czarnego żelaza obwieszonymi rurami. Otarł się ramieniem o jedną z nich i aż odskoczył, tak była gorąca.

Przejście kończyło się metalową platformą pokrytą nitami, była to część jakiegoś zbiornika na parę. Sherlock znalazł się w ślepym zaułku.

Ale mógł się skryć w cieniu między częściami maszyny. Skulił się i starał się zachowywać tak cicho, jak to możliwe.

Usłyszał kroki na drabinie, które ucichły, kiedy przybysz dotarł na dół.

– Ty, mały! – dobiegło go wołanie Grivensa. – Pogadajmy. Źle zaczęliśmy. Przesadziłem. Wyjdź no, to porozmawiamy jak starzy kumple. Pewnego dnia będziemy się z tego śmiać, obiecuję.

Sherlock nie ufał ani jego słowom, ani tonowi głosu. Wiedział, że jeśli wyjdzie, Grivens go zabije.

– No dobrze – ciągnął Grivens. – Dobrze. – Sherlock ledwo go słyszał w łomocie i brzęku maszyn. – Boisz się, rozumiem. Myślisz, że zrobię ci coś

złego. Cóż, pogadajmy więc o pieniądzach. Jak wiesz, zapłacili mi, żebym cię sprzątnął, ale jeśli dasz wiarę, ja jestem praktycznym człowiekiem interesu. Jestem pewien, że ten wielki Amerykanin może zapłacić mi co najmniej tyle samo, ile ci goście, którzy mnie wynajęli. Pójdźmy do niego razem i pogadajmy jak mężczyzna z mężczyzną. Może mi wypisać czek, a ja zapomnę o całej waszej trójce. Co ty na to?

Wyglądało to na podstęp, ale Sherlock nie był na tyle głupi, żeby o tym mówić. Po prostu się nie odzywał.

Gdzieś niedaleko nagle otworzył się zawór, z ogłuszającym sykiem wypuszczając strumień pary.

– Mały? Jesteś tu? – Głos się zbliżał, tak jakby Grivens szedł w jego stronę. Szukał Sherlocka, najwyraźniej nie wystarczała mu nadzieja, że jego uspokajające słowa przekonają chłopca, by wyszedł z kryjówki. – Wiem, że źle zaczęliśmy, ale chcę ci to wynagrodzić. Wyjdź, to pogadamy.

Sherlock zdał sobie sprawę, że plecami dotyka do rury albo jakiejś części silnika, w której jest para. Czuł, jak przez marynarkę i koszulę parzy mu grzbiet. Próbował przesunąć się odrobinę naprzód, ale musiał uważać, żeby nie wystawić jakiejś części ciała w płamę światła. Przesunął się powoli, ale gorąco było zbyt duże i odsunął się gwałtownie, żeby się nie oparzyć. Uderzył stopą w rurę, która zadźwięczała niczym dzwon.

– Tuś mi, bratku. – Głos Grivensa brzmiał tak, jakby stał tylko kilka stóp od Sherlocka. – Cóż, przynajmniej mamy od czego zacząć.

Wylot przejścia, w którym ukrywał się Sherlock, przesłonił jakiś cień. W szarawym świetle padającym z krat powyżej chłopiec dostrzegł zarys głowy i ramion Grivensa. Mężczyzna trzymał coś w ręku, przymierzając się do ciosu. Wyglądało to jak klucz francuski, bardzo duży i ciężki.

Sherlock uświadomił sobie, że tutaj, we wnętrzu statku, Grivens nie musiał się nawet martwić o to, żeby wynieść jego zwłoki na górę i wyrzucić za burtę. Mógł je po prostu cisnąć do pieca. Należałoby jedynie przekupić palaczy kilkoma szylingami, żeby patrzyli w inną stronę, a z Sherlocka zostałyby tylko żwir i popiół.

– Wyjdź ino, dziecino – zanucił Grivens. Teraz przesłaniał sobą całe światło wpadające w przejście między maszynami. Wydawało się, że wyczuwa, gdzie jest Sherlock. Zamiast pójść dalej, skręcił w przejście.

Sherlock skulił się, starając się pozostać w cieniu. Za kilka sekund Grivens i tak go zauważy i będzie po wszystkim.



Jego dłoń dotknęła ciepłej podłogi i dopiero po kilku sekundach zdał sobie sprawę, że przesunęła się obok miejsca, gdzie rura, o którą się opierał, powinna wchodzić w posadzkę. Pomacał ręką. Rura najwyraźniej nie dochodziła do podłogi, tylko zakręcała pod spód. Umocowano ją na rozpórkach przyśrubowanych do posadzki, ale było tam dość miejsca, żeby Sherlock mógł się pod nią wślizgnąć. Może po drugiej stronie znajdzie wyjście. Jeśli nie, znajdzie się w takiej samej pułapce jak teraz, tylko mniej wygodnej.

Opadł na czworaki, a potem położył się na brzuchu. Podłoga była nieprzyjemnie gorąca. Mokra od potu koszula przylepiała się do niej, kiedy próbował wsunąć się pod maszynę. Wyciągnął rękę i chwycił za jeden ze wsporników, ale oparzył się tak, że aż krzyknął z bólu.

– Aha! – Grivens wbiegł do alejki, waląc kluczem o rury. – Gdzie jesteś, ty gnojku?

Sherlock zebrał siły i znów sięgnął do wspornika. Metal parzył mu dłoń, ale on nie puścił i ciągnął mocno, odpychając się kolanami i stopami, wsuwając się pod maszynę, jak najdalej od Grivensa. Nagle poczuł, że nad nim jest wolna przestrzeń, i chwiejnie stanął na nogi. Dłoń mu pulsowała, ale teraz znajdował się w innej części maszynowni. Wiodło tu inne przejście, którego ściany tworzyły splątane rury. Pobiegł tamtędy w poszukiwaniu drabiny albo drzwi.

Coś za nim zadźwięczało głośno. Odwrócił się i zobaczył, że Grivens stoi na drugim końcu przejścia. Właśnie uderzył kluczem o metalowy filar.

– No dobrze, mały. To już koniec. Nieźle ci szło, ale skończmy już z tym. Pozwól staremu Grivensowi skrócić swoje cierpienia.

– Czy już za późno na układ, który pan proponował? – Sherlock próbował wybiegów.

Grivens uśmiechnął się.

– O wiele za późno – oświadczył. – Niestety jestem człowiekiem honoru. Zawarłem umowę i muszę doprowadzić sprawę do końca. Nie mógłbym teraz złamać danego słowa, prawda? Na kogo bym wtedy wyszedł?

– Więc tak tylko pan mówił?

Steward przytaknął.

– Owszem. Była jakaś szansa, choć wiedziałem, że niewielka, że mi uwierzysz i wyjdiesz po dobroci.

Ruszył w kierunku Sherlocka, wymachując kluczem.

Chłopiec rozglądał się gorączkowo za czymś, czego mógłby użyć do walki. Wyglądało na to, że nie pozostaje mu nic innego niż bezpośrednie starcie.

Brzdęk! Klucz francuski uderzył w żelazną rurę, aż wibracje rozeszły się po całej maszynowni.

– Spójrz na mnie – powiedział Grivens cichym, spokojnym głosem. – Popatrz na mnie, mały. Spójrz mi w oczy. Nie próbuj uciekać. Pogódź się z tym, co nieuchronne.

Sherlock czuł, jak spokój w głosie tamtego, rozsądne słowa i skwar w maszynowni wprawiają go w rodzaj sennego transu. Gwałtownie potrząsnął głową. Nie da się zahipnotyzować temu stewardowi.

Rozejrzył się desperacko. Jego uwagę zwróciło coś opartego o drabinę – szufla! Musiał zostawić ją tutaj jeden z palaczy pod koniec szychty. Uchwyt zrobił się czarny od węglowego pyłu, a łopata była nadtopiona, jakby ktoś przez przypadek wsunął ją za daleko w płomień, ładując węgiel do pieca. Sherlock chwycił szufłę i trzymał przed sobą, łopatą do góry.

– A więc ten gnojek jeszcze dycha? – Twarz Grivensa zastygła w ponurą maskę. – To znaczy, że będę musiał zapracować na swoją forszę.

Rzucił się naprzód i zamachnął kluczem francuskim, usiłując trafić Sherlocka w skroń. Chłopiec uchylił się i klucz uderzył w bok żelaznej rury. Poleciały iskry, które oparzyły mu twarz. Przesunął ręką po włosach, żeby przypadkiem się od nich nie zajęły.

Grivens warknął, po czym uniósł klucz i znów zamierzył się do ciosu w głowę Sherlocka.

Ten niezgrabnie odparł cios szufłą. Klucz uderzył w połowie drewnianego trzonka, zostawiając na nim wgniecenie. Sherlock o mało nie padł na kolana. Czuł, jakby impet uderzenia przeniesiony przez szufłę miał mu zaraz wyrwać ramiona ze stawów. Udało mu się przekreślić szufłę i trafić Grivensa w rzepkę. Mężczyzna wrzasnął i zatoczył się w tył, otwierając usta w zdumionym „o”.

– Ty gówniarzu! – zaklął. Wymachując kluczem jak pałką, znów rzucił się na Sherlocka.

Chłopiec podniósł szufłę, żeby zasłonić się przed ciosem. Rozległ się straszliwy łoskot. Grivens odskoczył, a klucz wyfrunął mu z ręki i wirując, zniknął w ciemności maszynowni. Szufla wysunęła się z nagle bezwładnych palców Sherlocka.

Grivens stał zgięty, trzymając się lewą ręką za prawy łokieć. Jego twarz wykrzywił zwierzęcy grymas wściekłości.

Chłopiec odwrócił się i pobiegł.

Alejka kończyła się kolejnym rozwidleniem. Sherlock pognał w prawo i zatrzymał się dopiero przed drabiną wiodącą w górę. Zerknął przez ramię. Ani śladu stewarda. Czując słabość w ramionach po ciosie Grivensa, który odbił szuflą, niezdarnie wspiał się po drabinie na kładkę.

Kładka biegła równolegle do głównego wału przecinającego pomieszczenie, który wychodził przez otwór w ścianie maszynowni i napędzał jedno z kół łopatkowych. Sherlock nie wiedział już, z której strony jest rufa, a w którą dziób. Nie wiedział, które koło napędza wał. Może oba. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Wał poruszał się powoli obok niego, gruby jak jego ciało, lśniący od smaru. Bliżej środka maszynowni znajdował się skomplikowany układ kół zębatych, tłoków i wałów korbowych, który go napędzał.

Wychylił się przez barierkę kładki, próbując zobaczyć, gdzie jest Grivens. Na próżno. Steward zniknął.

Ich walka najwyraźniej nie zwróciła niczyjej uwagi. Czy w maszynowni zawsze było tak pusto, czy też Grivens przekupił obsługę, żeby trzymała się z dala, kiedy będzie rozprawiał się z Sherlockiem?

Coś pociągnęło go za kostkę. Sherlock padł na kładkę, czując, jak ktoś usiłuje go z niej ściągnąć. Złapał za barierkę. Grivens przyciskał twarz do metalowej kratownicy kładki. To on chwycił Sherlocka za nogę.

– A jednak zarobię swoją forszę! – syknął. – Ale za to postaram się, żeby Amerykaniec i jego córka dostali za swoje. Pomyśl o tym, gdy będziesz wykrwawiał się na śmierć.

Sherlock w odpowiedzi przesunął podeszwą buta wzdłuż nogi, aż trafił w palec Grivensa, i wtedy kopnął mocno. Steward stęknął z bólu i rozluźnił uchwyt. Chłopiec przeturlał się na bok i wstał.

U szczytu drabiny pojawiła się twarz Grivensa, a potem reszta jego ciała. Szczerzył zęby w grymasie nienawiści.

– Już nie chodzi o forszę! – wydyszał. – To sprawa osobista.

Sherlock cofał się powoli. Steward wszedł na kładkę i ruszył ku niemu przygarbiony, z palcami rozcapierzonymi jak szpony. Jego wcześniej nieskazitelnie biały uniform był teraz szary i usmarowany.

Chłopiec poczuł, że opiera się o coś plecami. Szybko zerknął w dół. Doszedł do końca kładki. Za plecami miał jeden z zaworów, które

kontrowały ciśnienie pary w rurach. Obok niego potężny cylindryczny wał obracał się w nieskończoność w swoim łożysku. Dotarł do miejsca, gdzie korbowody zamieniały posuwisty ruch tłoków na ruch obrotowy wału. Przeciwiężary wyglądały jak lśniące od smaru końskie głowy, unoszące się i opadające w skomplikowanym rytmie. Przez chwilę Sherlock ogarnął podziw na widok tej wspaniałej maszynerii. Jak można było, wiedząc, że to działa, nie zapragnąć dowiedzieć się czegoś więcej?

Tylko że on pewnie już nie dostanie na to szansy. Grivens wciąż skradał się ku niemu, był coraz bliżej. Wyciągnął ręce i chwycił Sherlocka za gardło.

– Za coś takiego należy mi się premia – wydyszał steward. Zacisnął palce na gardle chłopca. Sherlock poczuł, jak oczy wychodzą mu na wierzch. Jego płuca chciały wciągnąć powietrze, ale na próżno. Rozpaczliwie złapał stewarda za nadgarstki, by je odciągnąć, ale mięśnie napastnika były napięte i twarde jak stal. Sherlock przesunął uchwyt na jego palce. Może zdoła je podważyć i oderwać od gardła. Przed oczami zaczęły mu latać czarne plamy, przesłaniające twarz Grivensa. W piersiach czuł palący ból.

Ostatkiem sił wykręcił całe ciało. Grivens stracił równowagę i oparł się o barierkę kładki, ale nie zwolnił uchwytu na gardle Sherlocka. Teraz przeciwiężary poruszały się w górę i w dół tuż obok nich: bryły metalu ubijały powietrze kilka cali od ich twarzy. Dzikie spojrzenie Grivensa aż kłuło od czarnej nienawiści.

Sherlock udał, że osuwa się na ziemię, tak jakby stracił siły. Zaskoczony Grivens pozwolił mu upaść. Ale zamiast opaść na kolana, Sherlock puścił palce stewarda i złapał za jego skórzany pasek. Trzymając zań, wyprostował się, odepchnął nogami i pociągnął rękami ile sił. Stopy Grivensa oderwały się od ziemi, udało mu się unieść go za pasek. Mężczyzna już stał skręcony, a teraz pod własnym ciężarem przechylił się bokiem przez barierkę. Sherlock spodziewał się, że wreszcie puści i chwyci się poręczy, ale on nadal trzymał go za gardło, wlokąc za sobą.

Dopóki nie zaczepił rękawem o jeden z przeciwiężarów, który pociągnął za materiał. Grivens wrzasnął – krótki, rozpaczliwy wrzask strachu i wściekłości – gdy jego ciało szarpnięciem ściągnięte z kładki zostało wciągnięte przez maszynę. Sherlock puścił pasek i uniósł ręce, strącając dłonie stewarda ze swego gardła. Wreszcie mógł nabrać powietrza. Tymczasem ciało Grivensa zostało nawinięte na wał i dostało się między unoszące się i opadające przeciwiężary.

Rytm maszyny pozostał niezakłócony, ale Sherlock musiał się odwrócić, żeby nie patrzeć na to, co się stało ze stewardem wciągniętym między obracające się stalowe części.

Pochylił się, opierając dłonie na kolanach i próbując nabrać w płuca jak najwięcej gorącego powietrza. Przez chwilę myślał, że się udusi, gdy jego ciało domagało się więcej tlenu, niż mógł mu dostarczyć, lecz stopniowo oddech mu się uspokoił. Kiedy już zniknęły czerwone mroczki przed oczami i zaczął oddychać bez bólu w piersiach, wyprostował się i rozejrzał.

Po Grivensie nie zostało ani śladu. Czarny smar na osi i wałach stał się nieco bardziej czerwony i błyszczący niż przedtem, ale nic poza tym.

W końcu Sherlock zszedł po drabinie i przeszedł przez maszynownię, szukając wyjścia. Nie był pewien, czy znalazł drzwi, przez które wszedł, to jednakże nie miało znaczenia. Na zewnątrz panował chłód, powietrze pachniało świeżością. Czuł się, jakby wyszedł z piekła i wkroczył do nieba.

Gdy w końcu wydostał się na pokład, ludzie gapili się na niego, ale nie dbał o to. Chciał tylko wrócić do kajuty, zmyć z siebie brud i smar i zmienić ubranie. To, które ma na sobie, odda do prania. Może uda się je oczyścić, może nie. Właściwie nie obchodziło go to.

Kiedy Sherlock otworzył drzwi, okazało się, że w kajucie jest Amyus Crowe.

– Myślę, że ktoś tu był i grzebał w naszych rzeczach – powiedział, po czym odwrócił się i zobaczył, jak wyglądają twarz i ubranie Sherlocka. – Na miły Bóg, co się stało?

– Ci, za którymi podążamy do Nowego Jorku, przekupili różnych ludzi w porcie – odparł ze znużeniem Sherlock. – Prawdopodobnie na każdym statku odpływającym w tym tygodniu jest człowiek, któremu obiecano pieniądze za to, że zabije nas troje.

– Co najmniej jeden – powiedział Crowe. – Ale tym będziemy martwić się później. Kto to był?

– Jeden ze stewardów.

– I co się z nim stało?

– Powiedzmy, że przy kolacji będzie o jednego członka personelu mniej – odparł Sherlock.

Myjąc się i zmieniając ubranie, opowiedział Crowe'owi całą historię. Wysoki Amerykanin słuchał w milczeniu. Kiedy Sherlock zaczął się powtarzać, Crowe uniósł dłoń.

– Myślę, że już rozumiem, co się wydarzyło – uznał. – Jak się czujesz?

– Zmęczony, obolały i strasznie chce mi się pić.

– To oczywiste, ale chodzi mi o twoje uczucia.

Sherlock spojrział na niego zdziwiony.

– Co ma pan na myśli?

– To, że zginął człowiek, i to z twojego powodu. Widziałem, jak ludzie grzęzną w smutku i poczuciu winy po czymś takim.

Sherlock zastanawiał się przez chwilę. Tak, zginął człowiek, a on był za to odpowiedzialny, lecz to nie był pierwszy trup w jego życiu. Clem, zbir barona Maupertuisa, niemal na pewno utonął, kiedy spadł z łodzi Matty’ego, ale to się stało, ponieważ Matty uderzył go w tył głowy stalowym bosakiem. Pan Surd, prawa ręka barona Maupertuisa, zginął od użądleń pszczoł, można to jednak było uznać za wypadek – upadł do tyłu na ule. I jeszcze ludzie w forcie napoleońskim, w którym nastąpił wybuch – może spłonęli albo utonęli, kiedy wpadli do morza, lecz ich los nie wynikał bezpośrednio z tego, co robił tam Sherlock. Czy Crowe miał rację? Czy to pierwsza śmierć, której stał się bezpośrednim sprawcą?

– Nie jestem, jak by pan powiedział, religijny – rzekł w końcu. – Nie wierzę w dany od Boga nakaz „nie zabijaj”, ale wierzę, że społeczeństwo działa lepiej, kiedy przestrzegane są prawa i kiedy ludzie nie mogą po prostu mordować kogo popadnie. Częściowo tego dowodzi Platon w Państwie, które mój brat dał mi do czytania. Ten steward próbował mnie jednak zabić i gdybym nie zrobił tego, co zrobiłem, toby mu się udało. Nie miałem zamiaru pozbawić go życia. To on zaczął walkę, nie ja.

Crowe skinął głową.

– Zgoda.

– A jaka jest dobra odpowiedź?

– Nie ma dobrej odpowiedzi, chłopcze; w każdym razie ja jej nie znam. To dylemat: społeczeństwo funkcjonuje, ponieważ ludzie przestrzegają zasad i nie mordują się nawzajem, ale jeśli ktoś postanawia zlekceważyć te zasady, co powinieneś zrobić? Pozwolić, by uszło im to płazem, czy walczyć z nimi tą samą bronią? Jeśli wybierzesz pierwszą drogę, przejmą władzę nad społeczeństwem, ponieważ zawsze są gotowi walczyć bardziej zajadle i mniej uczciwie niż ty. Ale jeśli wybierzesz drugą drogę, jak zapobiegiesz temu, żeby nie stać się takim jak oni? – Potrząsnął głową. – Ostatecznie, jedyna rada, jaką mogę ci dać, brzmi: jeśli dojdiesz do takiego etapu, że ludzkie życie przestanie się dla ciebie liczyć, zaszedłeś za daleko. Dopóki

śmierć cię obchodzi, dopóki rozumiesz, że to wyjście ostateczne, a nie najlepsze, to znaczy, że może wciąż jeszcze jesteś po właściwej stronie.

– Czy sądzi pan, że Mycroft wiedział, że wydarzy się coś takiego? – zapytał Sherlock. – Czy to dlatego dał mi tę książkę?

– Nie – odparł Crowe. – Ale twój brat jest mądrym człowiekiem. Myślę, że przewidział, że w którymś momencie zaczniesz zadawać sobie te pytania, i wolał zadbać o to, byś miał narzędzia, które pozwolą ci na nie odpowiedzieć.

## ROZDZIAŁ 10



Przespał się trochę, chociaż było dopiero popołudnie: snem niespokojnym, pełnym obrazów związanego i bezradnego Matty'ego, płaczącego w ciemności i zastanawiającego się, gdzie podziewają się jego przyjaciele. Kiedy Sherlock się obudził, policzki miał mokre od łez i potrzebował dłuższej chwili, żeby przypomnieć sobie, gdzie jest i co się stało.

Bolały go mięśnie, w płucach go paliło, czuł też siniaki na szyi, tam gdzie dusił go Grivens. Próbował znaleźć w sobie choćby odrobinę przerażenia w związku z tym, co zrobił, ale nie było w nim tak silnych uczuć. Żal, owszem. Żałował, że zginął człowiek, ale nic więcej.

Leżąc i myśląc o Grivensie, żeby na razie nie martwić się o Matty'ego, Sherlock zaczął się zastanawiać nad opalizującym błękitnym tatuażem na nadgarstku mężczyzny, bo to dzięki niemu zorientował się, że jest obserwowany. Jeśli w ogóle kiedykolwiek myślał o tatuażach, to tylko jako o rodzaju ozdoby, ale najwyraźniej chodziło w nich o coś więcej. Były znakiem rozpoznawczym, sposobem identyfikacji. W tym przypadku dzięki tatuażowi rozpoznał człowieka, który obserwował go z polecenia uciekających przed nimi Amerykanów. A sądząc z tego, co powiedział steward, można rozpoznać tatuażystę po stylu, tak jak można rozpoznać obraz Vermeera czy Rubensa. Albo Vernetta, pomyślał Sherlock, przypominając sobie obrazy w hallu dworu Holmesów. W głowie pojawił mu się pomysł encyklopedii tatuaży, która podawałaby również miejsca, gdzie zostały wykonane, i nazwiska ich autorów. Czy coś takiego byłoby w ogóle możliwe?

Po chwili uznał, że leżąc w łóżku, nic nie działa. Wstał i wyszedł z kajuty.

Słońce świeciło mocno na pokład SS „Scotia”. Wszędzie dookoła rozciągała się równa linia horyzontu. Wyglądało to tak, jakby znajdowali



się pod odwróconą miską z błękitnej porcelany. Nie dało się dostrzec, że posuwają się naprzód, nawet morskie ptaki zawisały bez ruchu w powietrzu.

Po kilku minutach Sherlock zdał sobie sprawę, że od jakiegoś czasu słyszy, jak ktoś gra na skrzypcach. Rufus Stone? Prawdopodobnie – szanse, że na pokładzie jest dwóch skrzypków, były niewielkie. Pomyślał też, że chyba już potrafi rozpoznać pewne elementy stylu Stone'a – ozdobniki, które dodawał na końcu wybranych fraz, i sposób, w jaki palce jego lewej dłoni zmagają się niekiedy ze skomplikowanymi arpeggio.

Poszedł poszukać Rufusa i znalazł muzyka na jego zwykłym miejscu niedaleko dziobu statku. Tym razem wokół niego było pusto. Może wszyscy się znudzili.

– Już się bałem, że postanowiłeś porzucić nasze lekcje, tak jak człowiek porzuca starą chusteczkę! – zawołał Stone, wciąż grając.

– Byłem... bardzo zajęty – odparł Sherlock. – Ale jestem.

– W takim razie zacznijmy. – Rufus przestał grać i opuścił skrzypce. – Może chcesz o coś zapytać, zanim sprawdzimy, czy pamiętasz jeszcze, co mówiłem ci wcześniej na temat postawy?

Sherlock zastanowił się.

– Jaki jest pana ulubiony utwór? – zapytał. – Czy ten Brucha, który grał pan dziś rano?

Rufus zamyślił się na chwilę.

– Nie – przyznał w końcu. – Mam, można powiedzieć, słabość do dzieł Henryka Wieniawskiego. Napisał kilka koncertów skrzypcowych, z których najbardziej lubię drugi, w d-moll. A poza tym jest jeszcze niesławna sonata g-moll Giuseppe Tartiniego. To prawdziwy sprawdzian umiejętności skrzypka.

– Niesławna? – zapytał Sherlock.

– Jest znana jako sonata Z diabelskim trylem. Tartini twierdził, że przyśnił mu się diabeł grający na skrzypcach. Kiedy się obudził, spróbował zapisać to, co grał czart. Melodia jest tak szatańsko trudna, że zdaniem pewnych krytyków Tartini musiał zaprzedać duszę diabłu w zamian za zręczność, która pozwoliłaby mu ją wykonać.

– Co za bzdury.

– Oczywiście. Ale to niezła historia, a ludzie chętniej będą cię słuchać, jeśli sądzą, że w utworze, który masz zamiar zaprezentować, jest coś

niesamowitego albo dziwnego. – Wręczył skrzypce Sherlockowi. – Przekonajmy się, ile zapamiętałeś z poprzedniej lekcji.

Przez resztę popołudnia Sherlock pod krytycznym okiem Rufusa Stone'a trzymał skrzypce i próbował po kolei różnych sposobów wydobywania z instrumentu dźwięków za pomocą smyczka, nie przejmując się tym, czy będą właściwe, czy nie. Chodziło tylko o technikę, którą miał opanować. Zaczął od przeciągania po strunach łagodnym, płynnym ruchem – *détaché*, jak określił to Rufus – tylko podtrzymując gryf lewą ręką, bez przyciskania strun. Już to ćwiczenie zajęło całe godziny, zanim udało mu się zadowolić Rufusa. Najpierw Sherlock grał na jednej strunie, potem na innych, przy czym musiał się starać utrzymać równy ton, niezależnie od tego, jak długo trwał.

I tak minęła dalsza podróż. Po śniadaniu Sherlock przez dwie godziny ćwiczył z Rufusem na pokładzie, a następnie szli na lunch. Kolejne dwie godziny ćwiczeń, po których Sherlock wracał do swojej kajuty na przerwę, żeby przeczytać następny kawałek Państwa Platona. Jeszcze dwie godziny z Rufusem Stone'em i kolacja. Po kolacji, przed pójściem spać, Sherlock spędzał zwykle jakiś czas z Amyusem Crowe'em w bibliotece, ale Crowe większość dnia poświęcał Virginii i nie znajdował zbyt wiele czasu na lekcje z Sherlockiem. Brakowało mu też rekwizytów albo przykładów. Sherlock zauważył już wcześniej, że ulubioną metodą Amyusa Crowe'a było wykorzystywanie czegoś, co zobaczył lub znalazł, jako pretekstu do lekcji. Pośrodku oceanu, bez lądu w zasięgu wzroku, miał na to niewielkie szanse.

Sherlock prawie nie widywał Virginii podczas rejsu. Siedziała w kajucie, nie chciała wychodzić na pokład ani z nikim rozmawiać. Gdy zobaczył ją raz czy dwa, jej skóra była tak blada i przezroczysta, że zaczął się obawiać, czy przetrwa tę podróż, ale Amyus Crowe powiedział mu, że nic jej nie będzie. Po prostu przeżywała na nowo podróż z Nowego Jorku do Liverpoolu, podczas której umarła jej matka.

– To źle wpływa na jej psychikę – wyjaśnił Crowe pewnego wieczoru w bibliotece – a jej stan pogarszają jeszcze monotonia podróży oraz fakt, że bardzo tęskni za Sandią. Ginnie, jak już pewnie wiesz, nie znosi zamkniętej przestrzeni. Kiedy tylko zejdziemy na ląd, odzyska równowagę.

Przez cały rejs było zaskakująco pogodnie. Oprócz jednego dnia, kiedy niebo się zachmurzyło i spadł ulewny deszcz, z powodu którego Rufus i Sherlock musieli ćwiczyć w kajucie, niebo było błękitne, a morze

spokojne. A w każdym razie fale okazały się na tyle małe w porównaniu z rozmiarem kadłuba „Scotii”, że statek sunął przez nie jak nóż przez masło.

Raz, czwartego dnia rejsu, wśród pasażerów zapanowało pewne poruszenie, kiedy kapitan oznajmił, że zauważyli inny statek. Podróżni po kolei oglądali przez lunetę odległą plamkę na horyzoncie. Amyus Crowe wykorzystał ten fakt do lekcji – kazał Sherlockowi obliczyć prawdopodobieństwo, że dwa okręty dostrzegą się wzajemnie, biorąc pod uwagę ogrom oceanu i stosunkowo małą liczbę statków, ale Sherlock już się zorientował, że chociaż Ocean Atlantycki jest wielki, a odległość między Southampton a Nowym Jorkiem duża, to większość parowców przemierza ją tym samym wąskim korytarzem i że jednocześnie płyną ich dziesiątki, może nawet setki. Jeśli uwzględniono się ten fakt, to szanse były całkiem spore.

Po zapadnięciu zmroku obaj zauważyli wymianę sygnałów świetlnych między statkami. Sherlock patrzył, jak załoga „Scotii” wysyła wiadomość za pomocą latarni z przesłoną z przodu, którą można było zamykać lub otwierać. Zaniepokoił się, że może spiskowcy przekazują sobie tą drogą tajne wiadomości dotyczące jego oraz Amyusa i Virginii Crowe’ów, ale to by znaczyło, że większość załogi jest wplątana w spisek, co wydawało się mało prawdopodobne. A poza tym nikt więcej nie próbował przeszukiwać ich kajut czy nękać ich w jakikolwiek sposób, ani zanim dostrzeżono okręt, ani potem. Wydawało się więc, że Grivens był na „Scotii” jedyną osobą wciągniętą w spisek.

Zniknięcie stewarda niezbyt zaniepokoiło załogę i jeszcze mniej pasażerów. Kapitan nie próbował zawracać statku, żeby sprawdzić, czy Grivens nie wypadł za burtę. Sherlock przypuszczał, że pewnie w maszynowni znaleziono strzępy jego ubrania i że kapitan uznał, że steward wpadł po pijanemu między części silnika.

Stopniowo Sherlock nauczył się głównych stylów posługiwania się smyczkiem – legato, collé, martelé, staccato, spiccato oraz sautillé – i właśnie zaczął używać palców lewej dłoni, żeby na różne sposoby przytrzymywać cztery struny, uzyskując w ten sposób dźwięki i akordy. Wciąż jeszcze nie wydobył ze skrzypiec nic bardziej melodyjnego niż długie, przeciągnięte dźwięki. Rufus Stone przywiązywał ogromną wagę do tego, żeby uczeń, zanim zagra cokolwiek, opanował odpowiednią technikę i zyskał sprawność, a Sherlock doceniał jego podejście. Było logiczne. Miało sens.

– Co będzie, kiedy dopłyniemy? – zapytał Sherlock pewnego dnia, pod koniec podróży, gdy przerwali na chwilę.

– Ja trafię do nowego, zachwycającego świata mnóstwa możliwości i postaram się znaleźć sobie zajęcie jako nauczyciel muzyki, a potem, jeśli dopisze mi szczęście, wyszukam jakąś odpowiednią orkiestrę, która mnie zatrudni. Ty z kolei wraz z szanownym panem Crowe'em i jego tajemniczo nieobecną córką zajmiecie się tym, po co zmierzacie do Nowego Jorku.

Piątego dnia podróży, w przerwie między niemal nieustannym ćwiczeniem gry na skrzypcach, Sherlock spędził jakiś czas na dziobie statku, wychylając się przez barierkę i wpatrując w odległą błękitną linię horyzontu.

Nie on jeden. Kilku innych pasażerów także stało na dziobie, przyglądając się falom i chmurom. A może nawet wypatrując lądu, choć na to było stanowczo za wcześnie. Może opowieści kapitana o wielkich sztormach i morskich potworach rozpały ich wyobraźnię i wyglądali oznak czegoś niezwykłego. Zdaniem Sherlocka mogli zobaczyć co najwyżej dryfującą górę lodową.

Jego uwagę przyciągnął pewien mężczyzna, owinięty w płaszcz chroniący go przed zimnym wiatrem. Miał przystrzyżoną czarną brodę, która kręciła się na końcu, i wypomadowane wąsy, podwinięte ku górze. Zamiast spoglądać na ocean, odwrócił się do niego plecami i pisał coś ołówkiem w notesie.

Przypatrując mu się, Sherlock spostrzegł, że mężczyzna nie notuje, tylko szkicuje. Chłopiec zmienił pozycję, by dostrzec, co to takiego, ale na kartce zauważył jedynie cylindryczny przedmiot o spiczastych czubkach, coś jakby grube cygaro. Wydawało się, że jest podzielone wewnętrznymi ściankami czy przegrodami.

– Ciekawi cię mój rysunek, prawda? – zapytał mężczyzna, podnosząc wzrok znad notesu. Miał dziwny akcent, chyba niemiecki, pomyślał Sherlock.

– Przepraszam – powiedział i zarumienił się. – Zastanawiałem się tylko, dlaczego nie patrzy pan naprzód, tak jak wszyscy.

– Ależ ja spoglądam naprzód – oznajmił tamten. – Daleko naprzód, w czasy, kiedy podróży takich jak nasza nie będzie się odbywać statkami, narażonymi na sztormy i fale, lecz balonem.

– Balonem? – powtórzył Sherlock. Skinął głową ku rysunkowi w książce.  
– Czy to właśnie balon?

Mężczyzna spojrział na niego krytycznie.

– Chyba nie jesteś szpiegiem przemysłowym ani wojskowym – powiedział. – Jesteś na to za młody. Sądząc po twojej twarzy, masz otwartą głowę i bystry umysł, cechy rzadko spotykane u szpiegów. – Roześmiał się, choć było to raczej prychnięcie niż śmiech. – W moim kraju... źle przyjęto moje pomysły. Mam nadzieję, że w Ameryce będzie inaczej.

– Nazywam się Sherlock Holmes. – Sherlock wyciągnął rękę. – Miło mi pana poznać.

– A ja jestem Ferdinand Adolf Heinrich August Graf von Zeppelin – przedstawił się mężczyzna, kłaniając się sztywno, po czym uścisnął dłoń Sherlocka. – W twoim kraju tytułowano by mnie hrabią Zeppelinem. Możesz zatem mówić do mnie „panie hrabio”. – Obrócił notes, tak by pokazać Sherlockowi rysunek. – A teraz powiedz mi: możesz wyobrazić sobie ogromny balon zrobiony z impregnowanego jedwabiu rozpiętego na jakiegoś rodzaju obręczach, inaczej mówiąc, sztywny statek powietrzny, wypełniony gazem lżejszym od powietrza, który leci przez ocean na takiej wysokości, że poniżej widać nie fale, ale chmury?

– Jakiego gazu by pan użył? – zapytał Sherlock.

Hrabia skinął głową.

– Doskonałe pytanie. Francuzi w mniejszych balonach używali gorącego powietrza, chociaż moim zdaniem nie nadaje się do większych konstrukcji. Amerykańska armia uzyskiwała dobre rezultaty z gazem węglowym. Ja wolałbym wodór, gdyby udało się go oczyścić.

– A jak kierowałby pan balonem? – Sherlock był zafascynowany pomysłami tego dziwnego mężczyzny. – Balony przecież się unoszą po prostu.

– Statek, na którym się znajdujemy, nie tylko unosi się na wodzie. On płynie. Ma silniki, ma łopatki. Jeśli łopatki mogą popychać statek przez wodę, mogą też popychać balon przez powietrze.

Sherlock spojrział na barona z powątpiewaniem.

– Jest pan pewien, że to będzie działać?

Von Zeppelin uśmiechnął się chłodno.

– Przeprowadziłem rozległe badania nad statkami lżejszymi od powietrza. Cztery lata temu byłem w Ameryce jako obserwator Północnej Armii Potomaku w jej wojnie przeciwko Konfederacji. Wtedy właśnie po raz pierwszy wzleciałem w balonie zwiadowczym na uwięzi. Poznałem także profesora Thaddeusa Lowe'a, zapewne największego na świecie

specjalistę od statków lżejszych od powietrza. – Raczej sztywna twarz von Zeppelina rozjaśniała się, kiedy rozprawiał o balonach. Dla Sherlocka było oczywiste, że ten temat to jego pasja. – Profesor Lowe już wcześniej zbudował balon przeznaczony do lotu przez Atlantyk, tak jak ten statek, i nazwał go „Great Western”. Liczył sto trzy stopy średnicy i mógł unieść dwanaście ton. Przed wojną wykonał udany lot z Filadelfii do New Jersey, ale jego pierwsza próba przelotu nad Atlantykiem została przerwana, kiedy powłokę rozdarł wiatr. – Wzdrygnął się. – Gdy zaczęła się wojna, profesor musiał odłożyć na bok swoje plany. Na żądanie prezydenta Lincolna niezwłocznie sformował Korpus Balonowy Armii Unii. Wojny to dziwna rzecz. Z jednej strony odciągają uczonych od ich prac nad postępem, ale z drugiej go przyspieszają. Czy gdyby nie wojna domowa, prezydent byłby zainteresowany możliwościami balonów?

– Sherlocku!

Głos należał niewątpliwie do młodej kobiety. To była Virginia. Sherlock odwrócił się i zobaczył, że stoi nieco dalej, osłonięta przez szalupę. Wciąż wyglądało blado, ale się uśmiechała.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział do hrabiego. – Muszę już iść.

Niemiec znów uklonił się sztywno.

– Oczywiście. Płeć piękna ma pierwszeństwo.

– Czy jest pan żonaty? – zapytał Sherlock.

– Jestem zaręczony – odparł von Zeppelin. Jego surową twarz rozjaśnił uśmiech. – Nazywa się Isabella Freiin von Wolff, z rodu Alt-Schwanenburg, i jest najpiękniejszą kobietą na ziemi. – Zerknął na Virginię, a potem na Sherlocka. – Chociaż ty zapewne się z tym nie zgodzisz.

Sherlock uśmiechnął się do niego. Niemiecki hrabia wzbudził jego sympatię.

– Do zobaczenia później – powiedział.

– To nieduży statek – odrzekł von Zeppelin. – Z pewnością znów na siebie wpadniemy.

Sherlock zostawił hrabiego i podszedł do Virginii.

– Już się bałam, że przez cały rejs nie wyjdiesz z kajuty – odezwał się niezręcznie.

– Ja też – odparła. – Nienawidzę być zamknięta na małej przestrzeni, ale chyba nie miałam wyboru. – Jej blade policzki nagle się zaczerwieniły

i spojrzała w bok. – Tato zapewne ci powiedział, że ta podróż zanadto przypomina mi nasz poprzedni rejs, kiedy umarła moja mama.

– Tak – potwierdził Sherlock.

– I, co gorsza, mam chorobę morską. Nie uwierzyłbyś, że ktoś, kto jeździ konno, może chorować na statku, ale jest mi okropnie niedobrze.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Całkowita szczerłość była jedną z rzeczy, które najbardziej lubił w Virginii. Żadnej angielskiej panience nawet nie przyszłoby do głowy mówić w ten sposób o kłopotach żołądkowych.

– Jak się teraz czujesz? – zapytał.

– Pani, z którą jestem w kajucie, przyrządza mi jakiś napar ziołowy. Dziś po raz pierwszy udało mi się go wypić i nie wymiotować, ale myślę, że mi pomaga.

– Przykro mi z powodu twojej mamy – powiedział zakłopotany. – I przykro mi, że ta wyprawa przypomina ci o niej. Pewnie mieszkanie w Anglii też ci o niej przypomina.

– To prawda. – Urwała. – Nie wiem, czy była chora, już kiedy wsiadała na statek, czy zaraziła się czymś na pokładzie, ale bardzo chorowała przez cały tydzień. Była coraz chudsza i bledsza, aż w końcu umarła. – Po policzku Virginii powoli spływała łza. – Pochowali ją na morzu. Kapitan uznał, że nie może trzymać ciała na okręcie przez resztę rejsu, więc owinęli ją w płótno, powiedzieli kilka ładnych słów i po prostu wyrzucili za burtę. To jest najgorsze. Nawet nie mam grobu, który mogłabym odwiedzać. – Machnęła ręką w stronę przestworu oceanu. – Tylko to.

Sherlock umilkł na chwilę, po czym rzekł:

– Moja mama jest chora. – Nie wiedział, że to powie, samo mu się wymknęło.

– A na co choruje? – zapytała Virginia.

– Nikt o tym nie mówi. – Zawiesił głos. – Ale ja myślę, że to suchoty.

– Suchoty?

– Gruźlica. Jest blada, chuda i cały czas zmęczona. I nieraz widzę krew na jej chusteczce, kiedy kaszle, ale wiem, że mój ojciec i brat woleliby, żebym tego nie widział. – Teraz, gdy już zaczął mówić, nie mógł przestać. – Więc poszedłem do biblioteki ojca i przejrzałem wiele książek, aż znalazłem te objawy. Ona ma gruźlicę i umrze. Na to nie ma lekarstwa. Ludzie po prostu powoli gasną.

Virginia przysunęła się bliżej i na chwilę położyła mu głowę na ramieniu.

– Moja mama przynajmniej umarła szybko – powiedziała, spoglądając na niego. – Nigdy tak o tym nie myślałam, ale może to było błogosławieństwo. Gdybym miała patrzeć, jak gaśnie całymi tygodniami, miesiącami, latami... To musi być straszne.

Sherlock odwrócił się, żeby nie zobaczyła łez, które zapiekły go w oczach.

– Czy naprawdę uda nam się go znaleźć? – wyszeptała.

– Kogo?

– Matty'ego.

Sherlock czuł, że trudno mu złapać oddech. Zadawał sobie to samo pytanie, lecz wciąż nie był ani trochę bliżej odpowiedzi.

– Znajdziemy go – oświadczył. – Całego i zdrowego. Ludzie, którzy go porwali, mają wszelkie powody, żeby zachować go przy życiu.

– To nie jest prawdziwa odpowiedź – odparła miękko. – I ty to wiesz.

– Zwiedzałaś już statek? – zapytał, celowo zmieniając temat.

– Nie za dużo. Przez większość czasu spałam.

– W takim razie cię oprowadzę.

Oprowadził ją po pokładzie, pokazując wszystko, od dziobu do rufy, w tym zagrodę ze zwierzętami – teraz, po pięciu dniach podróży, nieco opustoszałą. Na dziobie położyła mu rękę na ramieniu.

– Tato mówił mi, że się biłeś – powiedziała. – Nic ci się nie stało?

– Zawsze wdaję się w bójki – odparł.

– To musisz się nauczyć lepiej bić.

– Przecież dotychczas dawałem sobie radę. Jakoś przeżyłem.

– Co się właściwie stało? Powiedz mi!

Opowiedział jej o wszystkim, w czym miał udział steward Grivens. Inaczej niż wtedy, kiedy relacjonował tę historię Amyusowi Crowe'owi, czuł, że wracają do niego wszystkie emocje, i musiał kilkakrotnie przerywać, żeby nad nimi zapanować. Ta sama historia opowiadana Virginii była jakby bardziej rzeczywista. Nie stanowiła już tylko zbioru faktów.

Kiedy skończył, ścisnęła jego ramię.

– Dobrze się czujesz?

– Myślę, że nic mi nie będzie.

– To straszny wstrząs, prawda?



Spojrzał na nią zdziwiony.

– Co?

– Być odpowiedzialnym za śmierć człowieka. I wiedzieć, że inaczej ty byś zginął.

Wzruszył ramionami.

– Chyba tak. Nie bardzo wiem, co mam z tym zrobić. Nie wiem, jak powinienem się zachować.

– Pamiętam – powiedziała – kiedy mieszkaliśmy w Albuquerque i tata wracał ze swoich wypraw, po prostu zwał się na krzesło i pił whisky. Ja i mama próbowaliśmy z nim rozmawiać, ale on nie odpowiadał. Nie wiedziałam, co zrobił ani gdzie był. Dopiero później dowadywałam się, że ścigał jakiegoś mordercę albo zdrajcę i że czasem nie kończyło się to dobrze. – Urwała na chwilę. – Chyba chodzi mi o to, że kiedy taka śmierć przestaje mieć znaczenie, kiedy się okazuje, że nie ma w tobie żadnych uczuć, powinieneś zacząć się martwić, bo wtedy właśnie przestajesz być człowiekiem.

Pochyliła się i pocałowała go szybko w policzek: ciepłe dotknięcie w chłodnym powietrzu.

– Pójdę się na chwilę położyć. Zobaczymy się pewnie na obiedzie.

Odeszła. Wciąż czuł ciepły ślad jej warg na swojej twarzy.

Ostatnie trzy dni podróży upłynęły w oczekiwaniu i dziwnej gorączce zakładów, która ogarnęła pasażerów. Zakładali się o wszystko, od dokładnego dnia, godziny i minuty, kiedy zobaczą ląd, aż do imienia pilota, który wejdzie na pokład, by doprowadzić statek do wybrzeża Nowego Jorku. Sherlock trzymał się od tego z daleka, z równym zapałem oddając się lekcjom gry na skrzypcach z Rufusem Stone'em. Tak długo ćwiczył dźwięki i akordy lewą ręką, aż zrobiły mu się pęcherze na opuszkach palców. Dopiero ostatniego dnia Stone pozwolił mu połączyć to, czego nauczył się na temat postawy, posługiwania się smyczkiem oraz trzymania gryfu lewą ręką, i naprawdę zagrać.

Z niewielu rzeczy był tak dumny jak z tego.

– Musisz sprawić sobie skrzypce – powiedział mu Rufus. – Porządne skrzypce, nie zrobione z byle czego. – Zmarszczył brwi. – Masz pewien wrodzony talent, przyjacielu, a twoje palce są długie, szczupłe i giętkie niczym wycior do fajki. Możesz zejść daleko. Nie mówię, że zostaniesz wielkim skrzypkiem koncertowym – musiałbyś zacząć się u mnie uczyć

jako pięciolatek – ale jeśli będziesz nadal ćwiczył, na pewno mógłbyś zarabiać na życie w orkiestrze w teatrze.

Przerwało im poruszenie, jakie zapanowało wśród pasażerów na przedzie statku. Ktoś dostrzegł ląd!

Sherlock pobiegł zobaczyć. Rejs trwał tak długo, że już niemal zapomniał, jak to jest stąpać po powierzchni, która nie kołysze się pod stopami.

Ameryka była ciemnym kształtem na horyzoncie. W ciągu kolejnych godzin kształt ten zmienił się w nierówną linię wzgórz i klifów porośniętych drzewami. Co dziwne, wyglądały mniej więcej tak samo, jak wybrzeże południowej Anglii, ale w powietrzu unosiło się coś takiego, jakiś nieokreślony zapach, który stanowił sygnał, że są naprawdę gdzie indziej.

Statek zakreślił, tak że zmierzał teraz do Nowego Jorku, mając wybrzeże po prawej burcie. Choć do wejścia do portu pozostało jeszcze wiele godzin, niektórzy pasażerowie pobiegli pakować walizki.

Ostatni posiłek przed przybiciem do brzegu był właściwie bankietem, ze specjalnymi potrawami i świątecznym ciastem, a także skrzynkami szampana. Sherlock zjadł niewiele i odszedł od stołu tak szybko, jak się dało, żeby zdążyć się przespać, zanim dopłyną. Czuł, że będzie tego potrzebował.

A potem wpłynęli do portu w Nowym Jorku.

Wbrew swoim zamiarom Sherlock stał na pokładzie ze wszystkimi innymi pasażerami, patrząc, jak przesuwają się obok nich niewielkie wyspy. Statek płynął ostrożnie, kierowany przez pilota – miejscowego doświadczonego marynarza. Wszedł on na pokład z małej łódki, która przybiła do ich burty.

– Bardzo skomplikowany teren – powiedział Crowe za plecami Sherlocka. – Jeden z najbardziej zawiłych portów na świecie. Spotykają się tu trzy osobne akweny: Ocean Atlantycki, rzeka Hudson i cieśnina Long Island. Jeśli dodać do tego z pięćdziesiąt wysepek w sąsiedztwie, a także poza rzeką Hudson jakieś trzydzieści rzek i strumieni, które tu wpływają, to mamy bardzo zagmatwany system prądów i pływów.

– Co teraz zrobimy? – zapytał Sherlock.

– Po pierwsze, muszę się skontaktować z władzami. Powinienem je zawiadomić, że wróciłem, gdyż będziemy potrzebować pomocy w tej sprawie. Pewni ludzie w tym mieście są mi winni przysługę, co zamierzam wykorzystać i na początek zapytać, czy ktoś może widział małego

Matty'ego i jego porywaczy. Twój brat już prawdopodobnie zatelegrafował do odpowiednich osób, żeby dać znać o naszym przybyciu, więc zapewne ktoś przyjedzie po nas do portu. A potem dowiemy się, w którym miejscu przybił parowiec „Great Eastern”, jeśli już tu dopłynął. Jeśli nie, poczekamy na niego. A jeżeli już tu jest, musimy się dowiedzieć, dokąd się udali ci trzej, w tym jeden zaburzony umysłowo, oraz chłopiec. Odszukamy ich, jestem pewien. – Głos Crowe'a zabrzmiał twardo, a kiedy Sherlock spojrział na niego, twarz nauczyciela przypominała rzeźbiony głaz. – A kiedy ich znajdziemy, pożałują, że w ogóle się urodzili.

## ROZDZIAŁ 11



Przy schodzeniu na ląd było dużo zamieszania. Wszyscy jednocześnie próbowali zejść z bagażem po trapie, a pasażerów nagle zrobiło się jakby dwa razy więcej, gdy ci z dolnego pokładu pojawili się na górze, mrużąc oczy w słońcu. Wreszcie jednak wszyscy podróżni znaleźli się w wielkim, przypominającym magazyn budynku, gdzie stanęli w kolejce do biur, przy których urzędnicy imigracyjni w uniformach, z poważnymi, surowymi minami sprawdzali dokumenty. Sherlock słyszał setki głosów z najróżniejszymi akcentami podających kolejne miejsca docelowe: Chicago, Pensylwania, Boston, Wirginia i Baltimore.

W kolejce obok dostrzegł Rufusa Stone'a. Skrzypek trzymał futerał zawieszony na ramieniu. Poza tym chyba miał bardzo niewiele bagażu. Odwrócił się i mrugnął do Sherlocka. Chłopiec uśmiechnął się w odpowiedzi.

Niemiecki hrabia Ferdinand von Zeppelin stał w jeszcze innej kolejce. Sztywna postawa i zmarszczone brwi świadczyły o tym, że nie przywykł ani do czekania, ani do przebywania wśród ludzi z innych klas. W ogóle się nie rozglądał. Patrzył prosto przed siebie, najwyraźniej marząc o tym, by znaleźć się gdziekolwiek indziej.

Parowiec przycumował obok wielu innych jednostek należących do różnych linii, znajdujących się w rozległym porcie. Większość z nich miała żelazne albo drewniane kadłuby z wielkimi kołami łopatkowymi po bokach, ale Sherlock zauważył też kilka mniejszych drewnianych statków, które wciąż używały żagli, oraz kilka nowoczesnych stalowych okrętów, najwyraźniej wyposażonych w śrubę.

Było gorąco i duszno. Przypominało to Sherlockowi powietrze w maszynowni SS „Scotia”, ale z dodatkiem smrodu ścieków. Stojąc z Virginią za Amyusem Crowe'em, usiłował nie oddychać zbyt głęboko,

podczas gdy wielki Amerykanin rozmawiał ze szczególnie ponurym urzędnikiem. Potem wyszli na otwartą przestrzeń.

Ameryka! Był w innym kraju! Rozglądał się z przejęciem, starając się zestawić różnice między Anglią a Ameryką. Niebo miało oczywiście identyczny niebieski kolor i ludzie wyglądali tak samo jak w jego kraju, lecz niewątpliwie coś było inaczej. Może krój ubrań albo styl budynków, albo coś, czego nie umiał nazwać, ale Ameryka różniła się od Anglii.

Crowe'owi udało się znaleźć powóz – jeden z setek, które czekały na pasażerów wysiadających na ląd – po czym ruszyli zdumiewająco szerokimi, piaszczystymi ulicami Nowego Jorku. Większość budynków zbudowano albo z drewna, albo z brązowego, najwyraźniej miejscowego kamienia. Drewniane domy miały zazwyczaj tylko jedno albo dwa piętra, ale te kamienne – nawet cztery lub pięć, a na parter wchodziło się najczęściej po schodkach. Wiele budynków w pobliżu portu to były albo hotele, albo pensjonaty, restauracje albo bary, ale gdy powóz wjechał do miasta, Sherlock zauważył coraz więcej sklepów i biur, i wielkie kamienice, w których mieszkały setki ludzi, każdy w swoim mieszkaniu. Czegoś takiego raczej się w Anglii nie widziało, oprócz niebezpiecznych rejonów dzielnicy Rookery w Londynie.

Na każdej ulicy stali chłopcy sprzedający gazety – cztery albo sześć stron wypełnionych drobnym drukiem – którymi machali nad głowami, wykrzykując co bardziej pikantne tytuły: znaleziono zwłoki bez rąk, napad z bronią w ręku, politycy przyłapani na braniu łapówek. Wydawało się, że w gazetach mieści się całe życie – cóż, przynajmniej jego paskudne aspekty – a każdy gazeciarski sprzedawał inny dziennik: „The Sun”, „The Chronicle”, „The Eagle”, „The Star”... Niekończąca się parada tytułów.

Powóz zatrzymał się przed hotelem, który był wyraźnie porządniejszy niż tamte niedaleko portu. Może pasażerowie podlegali pewnego rodzaju filtrowaniu, pomyślał Sherlock: ci z dolnego pokładu trafiali do obskurnych, brudnych, tanich kwater blisko nabrzeża, a ci, którzy mieli więcej pieniędzy, mogli pojechać dalej, w lepsze, czystsze, ale też droższe rejony.

– To jest hotel Jellabee – powiedział Crowe, gdy wy dostał się z powozu i pomógł wysiąść Virginii. – Byłem tu już kiedyś. Przyzwoite miejsce – przynajmniej dawniej było. Agencja Pinkertona często z niego korzysta. Mieszczą się tuż za rogiem. Zajrzymy do środka, żeby zobaczyć, czy są

wolne pokoje, a potem pójdziemy na obiad do Niblo's Garden. Najlepszy lokal w mieście.

Podczas gdy Crowe przy recepcji rezerwował pokoje, Sherlock się rozglądał. W hotelu panował jeszcze większy upał niż na zewnątrz. Było tu jednak schludnie, na podłodze leżały porządne dywany, a ludzie w lobby byli dobrze ubrani. Większość mówiła z akcentem podobnym jak Virginia i Amyus Crowe'owie oraz ci, za którymi tu przyjechali, ale Sherlock słyszał też słowa w różnych językach – po francusku, niemiecku, rosyjsku i w wielu innych, których nie potrafił rozpoznać.

Crowe podszedł do nich uśmiechnięty.

– Zarezerwowałem dla nas apartament – powiedział. – Salon plus trzy sypialnie. Kiedy odnajdziemy Matty'ego, będziecie musieli spać w jednym pokoju.

– Jasne! – To, że Crowe powiedział „kiedy”, a nie „jeśli”, podniosło Sherlocka na duchu.

Poszli po schodach na trzecie piętro. Tylko że, jak zauważył Sherlock, to było drugie piętro.

– Ach – zadudnił Crowe – słuszne spostrzeżenie. To jedna z różnic między Anglią a Ameryką. W Anglii jest parter, pierwsze piętro, drugie i tak dalej. Tutaj, w Ameryce parter nazywa się pierwszym piętrem, więc mamy tylko pierwsze, drugie i tak dalej. Nie ma parteru.

– Co jeszcze powinienem wiedzieć? – zapytał Sherlock.

– To, co wy nazywacie trotuarem, u nas nazywa się chodnik. Poza tym wszystko jest mniej więcej tak samo. Inne są pieniądze. Mamy dolary, dziesięciocentówki i centy, a nie funty, szylingi i pensy. Później dam wam obojgu trochę gotówki. Tylko się z nią nie obnoście.

Pokoje okazały się wygodne – w salonie znajdowały się dwie kanapy i kilka foteli, a także biurko. Okno wychodziło na ulicę. Sypialnia Sherlocka była mniejsza, za to łóżko dużo bardziej miękkie niż to w dworze Holmesów. Hotel nie był w żadnym razie luksusowy, ale przeznaczony dla gości raczej zamożnych i wymagających.

– Czy mogę pójść na spacer? – zapytał Amyusa Crowe'a.

Crowe zastanowił się chwilę.

– Jesteś bystrym chłopcem. Myślisz, że będziesz umiał wrócić?

– No jasne.

– Ulice przecinają się tu pod kątem prostym, dość łatwo się w tym połapać. – Crowe podszedł do biurka i wziął kartkę. – Jeśli się zgubisz, pytaj

o hotel Jellabee. Tutaj jest adres. Nie daj się wciągnąć w żadne gry karciane, nie pokazuj, że masz pieniądze, i z nikim nie zadzieraj. Jeśli trafisz do miejsca zwanego Five Points, od razu stamtąd zmiataj. To, że się tam znalazłeś, rozpoznasz po zapachu – jest tam do licha i trochę destylarni terpentyny, fabryk kleju i rzeźni. Przestrzegaj tych zasad, a nic ci nie grozi. – Zanurzył dłoń w kieszeni, po czym wręczył Sherlockowi garść banknotów i monet. – To powinno ci wystarczyć na coś do jedzenia, gdybyś zgłodniał, albo na powóz, żeby wrócić.

– A co pan będzie robił?

– Dowiem się, kiedy przybił SS „Great Eastern”. A jeśli jeszcze nie dopłynął, dopytam, kiedy to się stanie.

Sherlock odwrócił się, żeby zobaczyć, czy Virginia ma ochotę z nim pójść, ale ona już zamknęła się w swoim pokoju.

Crowe potrząsnął głową.

– Daj jej spokój – powiedział. – Zbyt wiele czeka tu na nią wspomnień. Musi sama dojść z tym do ładu.

Na zewnątrz, w słońcu, woń ścieków i gnijących warzyw była dużo silniejsza. Sherlock szedł trotuarem – chodnikiem, przypomniał sobie – chłonąc widoki i dźwięki tego nieznanego miasta w nieznanym kraju.

Mijał sklepy z sztyldami oferującymi „1001 drobiazgów”, czyli różnego rodzaju przedmioty domowego użytku, oraz bary serwujące wszystko od „alpagi” – która, sądząc po zapachu, była rodzajem wina jabłecznego – aż do czegoś o nazwie „grzaniec”. Od głównej alei odchodziły mniejsze uliczki, wąskie wąwozy między budynkami, w których chłopiec ze zdziwieniem zauważył nie tylko koty i psy, lecz także zdziczałe świny ryjące wśród odpadków w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Na każdym rogu były restauracje z kuchnią z różnych krajów. Sherlocka szczególnie zadziwiły liczba i różnorodność barów z ostrygami, gdzie serwowano piwo i wino oraz tajemniczą „alpage”, a także ostrygi – smażone, gotowane, duszone, pieczone albo po prostu podane na lodzie. Wyglądało na to, że ostrygi są najpopularniejszą potrawą w Nowym Jorku.

Oprócz barów, restauracji i sklepów były tu też kościoły z białego kamienia, o białych schodach wiodących do głównego wejścia i spiczastych iglicach, oraz magazyny, w których przechowywano wszelkiego rodzaju towary przywożone statkami. Na przestrzeni kilku przecznic Sherlock zauważył większą różnorodność niż w kilku miastach i wioskach angielskich razem wziętych.

A poza tym ktoś go śledził.

Uświadomił to sobie po mniej więcej półgodzinie spaceru. Ten sam brązowy melonik wciąż pojawiał się za nim w ciżbie. Rozpoznał go, ponieważ wokół ronda miał rzucającą się w oczy zieloną wstążkę. Szukał w tłumie podobnych kapeluszy, ale tylko jeden stale podążał za nim.

Na próbę wszedł do sklepu i rozglądał się wśród różnych „drobiazgów” – tar do prania, mydła, klamerek i tym podobnych – ale kiedy wyszedł, człowiek w brązowym meloniku czekał na rogu, czytając gazetę kupioną od jednego ze sprzedawców. Sherlock próbował potem uciec mu jedną z zaśmieconych uliczek równoległych do głównej alei, lecz jego prześladowca w jakiś sposób odgadł jego zamiary i pobiegł inną uliczką, więc kiedy Sherlock się obejrzał, znów go dostrzegł za sobą. Nie mógł przyjrzeć się twarzy tego mężczyzny. Był krępy i chodził, kołysząc ramionami, jakby niedawno zszedł ze statku i nie przywykł jeszcze do stałego gruntu.

Sherlock myślał gorączkowo. Nie wiedział, czy mężczyzna śledzi go od wyjścia z hotelu, czy po prostu zobaczył go na ulicy i ruszył za nim. Jeśli zobaczył go na ulicy, ostatnią rzeczą, jaką Sherlock chciałby zrobić, było doprowadzenie go do hotelu, gdzie zameldowali się z Amyusem i Virginią. Musiał w jakiś sposób się go pozbyć. Nie, pomyślał nagle: powinien odwrócić sytuację i pójść za prześladowcą, żeby zobaczyć, gdzie się zatrzymał. Bo być może jest tam również Matty.

To nie będzie łatwe.

Chyłkiem wszedł do innego sklepu z różnymi towarami. Ten oferował spory wybór ubrań – marynarek, czapek i spodni. Uznawszy, że mężczyzna przez chwilę zaczeka na zewnątrz, Sherlock szybko wybrał czapkę z daszkiem i marynarkę i zauważył z ulgą, że sklep ma drugie wyjście – na boczną uliczkę. Zaniósł swoje zakupy do lady, gdzie sprzedawca obrzucił go spojrzeniem i powiedział:

– Wiesz co, chłopak taki jak ty powinien pomyśleć o sprawieniu sobie procy. Akurat mamy nową dostawę. Jesteś zainteresowany?

– Procy? – powtórzył Sherlock, zbity z tropu. Czy to jakaś miejscowa nazwa, którą powinien znać? Potem przypomniał sobie, jak w szkole w Deepdene czytali Biblię. Czy w Księdze Samuela Dawid nie zabił Goliata, używając procy? Była to broń, za pomocą której można mocno i celnie miotać kamieniami.

– Wszyscy tutejsi chłopcy je mają.



– A ile kosztuje? – zapytał Sherlock.

Proca nie była droga, więc Sherlock się zgodził. Jeśli pomoże mu wtopić się w tło, tym lepiej. Założył marynarkę i czapkę, po czym wypróbował procę, podczas gdy sprzedawca pakował mu jego starą marynarkę – tę, za którą będzie się rozglądał jego prześladowca – w brązowy papier. Proca składała się z kawałka skóry, w który wkładało się kamień, oraz dwóch rzemyków po obu stronach. Jeden należało owinąć wokół nadgarstka, a drugi przytrzymać, zakręcić procą, po czym puścić, tak żeby kamień wyleciał.

– Będziesz potrzebował amunicji – powiedział sprzedawca, wręczając mu paczkę z marynarką. – Dołożę ci za darmo torebkę stalowych kulek.

Sherlock zapłacił pieniędzmi, które dał mu Amyus Crowe. Wsunął procę oraz kulki do kieszeni i wziął paczkę obwiązaną sznurkiem. Naciągnął czapkę na głowę, a później szybkim krokiem wyszedł ze sklepu bocznym wyjściem, żeby zostawić w tyle człowieka w meloniku. Kiedy zobaczył przed sobą róg ulicy, jeszcze przyspieszył.

Skręcając za winkel, zawołał do najbliższego gazeciarza:

– Ile za wszystkie gazety?

Chłopak wyglądał, jakby nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

– Dziesięć centów za jedną – powiedział. – A zostało mi chyba z pięćdziesiąt. To będzie... – Urwał, by policzyć. – Dokładnie sześć dolarów.

Na oko Sherlocka gazeciarz miał raczej trochę ponad czterdzieści egzemplarzy, a nawet gdyby było ich pięćdziesiąt, to kosztowałyby w sumie pięć dolarów.

– Dam ci za wszystkie pięć dolarów – oświadczył.

– Zgoda! – zawołał chłopak. Wręczył mu stos gazet, a Sherlock zapłacił mu pięć banknotów jednodolarowych. Kiedy tamten odbiegł, ze śmiechem wymachując pieniędzmi przed nosem kumpli, Sherlock zaczął sprzedawać gazety.

– Najnowsze wiadomości!!! – wrzasnął, starając się jak najlepiej naśladować nowojorski akcent. Wiedział, że choć słuchał tak długo Amyusa i Virginii Crowe'ów, jego wymowa nie będzie idealna, ale dopóki nie mówił z wyraźnym angielskim akcentem, może nie miało to większego znaczenia.

– Straszne morderstwo w... – myślał gorączkowo – Five Points! Policja zaskoczona! Spodziewane dalsze zbrodnie!

Inni gazeciarze spojrzeli na nagłówki swoich pism, zastanawiając się, skąd wziął coś takiego, ale już podeszło do niego trzech klientów, żeby kupić gazetę, kiedy zza rogu wyłonił się człowiek w brązowym meloniku.

To był Ives – mężczyzna, którego widział w domu w Godalming. Jasnowłosa, przysadzisty facet z bronią.

Sherlock starał się skulić, opuścił ramiona i zgarbił się, jakby był zmęczony i od dawna nie jadł porządnego posiłku. Udało się. Ives przesunął po nim wzrokiem, ignorując go, tak jakby był lampą gazową albo poidłem dla koni. Mężczyzna zatrzymał się, rozglądając po ulicy przed sobą, zapewne za Sherlockiem. Przekonawszy się, że nigdzie go nie widać, zaklął pod nosem. Przystanął z wahaniem, jakieś sześć stóp od chłopca, którego szukał, po czym nagle odwrócił się i odszedł.

Sherlock rzucił pisma u stóp najbliższego gazeciarza.

– Proszę, możesz to sprzedać – powiedział.

– Ale to jest „Sun” – zauważył chłopak. – Ja sprzedaję tylko „Chronicle”.

– No to rozszerz asortyment – odparł Sherlock i ruszył pospiesznie za Ivesem.

Mężczyzna szedł szybkim krokiem, ze spuszczoną głową i rękami w kieszeniach. Wyglądał na przygnębionego. Pewnie jego zleceniodawca będzie zły, że stracił Sherlocka z oczu. Nie skierował się jednak w stronę hotelu Jellabee, więc może nie wiedział, gdzie zatrzymała się ich trójka.

Słońce zniżyło się już na niebie, ledwo wyglądało zza szczytów budynków, oblewając wszystko pomarańczowym światłem. Świeciło Sherlockowi prosto w twarz, aż musiał mrużyć oczy. Nie było łatwo śledzić Ivesa. Minęli chyba z pięć przecznic, zanim mężczyzna skręcił z ulicy i wszedł do jakiegoś pensjonatu.

Sherlock rozejrzał się niepewnie. Nie wiedział, czy to jest Five Points, czy nie, ale było tu dużo mniej przyjemnie niż w okolicy, gdzie mieścił się hotel Jellabee, mimo zrujnowanego, pokrytego szalunkiem drewnianego kościoła o przekrzywionej iglicy, widniejącego na końcu uliczki. Wciąż cuchnęło, ale Sherlock zastanawiał się, czy to zapach destylarni terpentyny i rzeźni, czy ogólny smród rozkładu i ścieków, który wisiał nad Nowym Jorkiem niczym niewidzialna mgła. To miejsce wydawało się niebezpieczne. Ludzie kręcący się przy rogach ulic to już nie byli gazeciarze, tylko draby w podartych koszulach i brudnych spodniach, którzy przyglądali się przechodniom ciężkim wzrokiem. Skądś niósł się

żałosny dźwięk trąbki. Instrument był rozstrojony, ale ponieważ wszystko wokół wyglądało na koślawe, brzmienie pasowało do otoczenia.

Sherlock musiał się wtopić w tło jeszcze bardziej niż do tej pory. Skręcił w zaulek i usmarował sobie czapkę błotem, a potem naderwał rękaw marynarki, tak żeby odsłonić podszewkę.

To powinno wystarczyć. Teraz wyglądał jak miejscowy.

Wrócił na ulicę, utykając lekko, żeby zmienić sposób chodzenia, i podszedł do pensjonatu. Przez otwarte drzwi zajrzał do środka.

Brakowało tam hallu, tak jak w Jellabee. Gdyby wszedł na korytarz, miałby do wyboru albo kilkoro drzwi, albo gołe schody. Nie mógł przecież chodzić od drzwi do drzwi, pukać i pytać o Matty'ego. Musiał wymyślić coś innego.

Rozejrzawszy się, zobaczył, że do ceglanej ściany budynku naprzeciwko doczepiono metalowe schody – może na wypadek pożaru. Schody prowadziły z jednego piętra na drugie, połączone wąskimi metalowymi podestami. Jeśli się po nich wdrapie, może da radę zajrzeć w niektóre okna pensjonatu. Pod warunkiem że nie przeszkodzą mu w tym zasłony. Albo brudne szyby.

Nie komplikuj – powiedział sobie. Przeszedł na drugą stronę, poczekał na moment, kiedy na ulicy nikogo nie było, po czym szybko wbiegł po schodkach przeciwpożarowych na pierwsze piętro. A może drugie? Nie był pewien.

Skulił się za metalową kratą podestu i spojrzał na drugą stronę ulicy. Cztery okna, na szczęście pozbawione zasłon. Po jednym pokoju krążył w tę i z powrotem jakiś człowiek, którego Sherlock nie rozpoznawał. Z drugiego okna wyglądała kobieta, ubrana jakby w koszulę nocną. Spozrzęła, że Sherlock na nią patrzy, i uśmiechnęła się do niego smutno. W dwóch pozostałych pokojach najwyraźniej nikt nie mieszkał.

Wszedł po schodkach piętro wyżej. Stopnie skrzypiały i kołysały się pod nim i Sherlock zastanawiał się, kiedy ktoś ostatnio sprawdzał ich bezpieczeństwo, a potem – czy w ogóle ktoś kiedykolwiek je sprawdzał.

Z następnego podestu mógł zajrzeć do kolejnych czterech pokoi.

W pierwszych dwóch nikogo nie było.

Przez okno trzeciego pokoju zobaczył czterech mężczyzn stojących z brudnymi szklankami w rękach, którzy pili i rozmawiali. W jednym z nich rozpoznał Ivesa, a w drugim – Berla, lekarza. Dwóch innych Sherlock nie znał.

Ale najważniejsze było to, że przy oknie stał Matthew Arnatt, opierając łokcie na parapecie i z ciekawością obserwując na ulicę. Wyglądało na to, że czuje się dobrze; nie miał żadnych siniaków ani zadrapań. Najwyraźniej też nikt go nie głodził. Wydawał się tylko znudzony i smutny.

Aż do chwili gdy zobaczył Sherlocka. Oczy mu zabłyśły, a twarz rozpromieniła się w szerokim uśmiechu.

Sherlock strasznie się ucieszył, widząc, że Matty jest cały i zdrowy. Strach, który tłumił przez całą podróż, nagle ustąpił, aż niemal stracił panowanie nad sobą. Mrugał, by powstrzymać napływające do oczu łzy ulgi.

Sherlock położył palec na ustach, dając Matty'emu znak, żeby nie robił hałasu. Chłopiec skinął głową, ale nadal się uśmiechał. Sherlock wiedział, że jeśli ludzie w pokoju zobaczą ten uśmiech, zorientują się, że coś się dzieje. Położył więc palce w kąciach ust i pociągnął je w dół, robiąc przesadnie smutny grymas. Matty zmarszczył brwi. Sherlock znów spróbował, ściągając ponuro brwi, za to Matty nagle uniósł brwi w wyrazie zrozumienia. Uśmiech zniknął mu z twarzy, a kąciki ust znów opadły, jak przed kilkoma momentami, ale jego oczy wciąż promieniały.

– Wszystko w porządku? – zapytał Sherlock bezgłośnie, poruszając tylko ustami.

Matty nieznacznie skinął głową.

– Dobrze cię traktują? – zapytał znów Sherlock.

Matty zmarszczył brwi.

– Dobrze – cię – traktują? – zapytał ponownie Sherlock bezgłośnie, oddzielając słowa, żeby Matty łatwiej zrozumiał.

Matty znów lekko przytaknął.

– Uratujemy cię – obiecał Sherlock.

Matty otworzył usta i odparł bezgłośnie:

– Wiem!

Mężczyźni w pokoju wyraźnie kończyli rozmowę. Sherlock miał poczucie, że nie zostało dużo czasu.

– Dokąd cię zabierają? – zapytał.

Matty poruszał ustami, ale Sherlock nie mógł zrozumieć, co stara się powiedzieć. Zmarszczył brwi. Matty spróbował znowu, ale Sherlock nie znał słów, które wypowiadał.

Matty włożył rękę do kieszeni i pokazał mu trzymaną w dwóch palcach drobną monetę. O co mu chodziło? Czyżby porywacze chcieli okupu?

Potem wyciągnął drugą rękę i potarł opuszkami palców o siebie, jakby trzymał w palcach szczyptę jakiegoś proszku. A na koniec tej dziwnej pantomimy złapał się za nos i skrzywił okropnie.

Potem dodał jeszcze inne gesty – podniósł dwa palce, wskazał na Sherlocka, na siebie, a potem podniósł trzy palce i wzruszył ramionami, jakby zdezorientowany.

Istne wariactwo. Cokolwiek Matty usiłował przekazać, Sherlock nie był w stanie tego pojąć.

Sherlock miał właśnie znów dać mu znak, że nie rozumie, kiedy jeden z mężczyzn podszedł i chwycił Matty'ego za ramię, po czym wciągnął go w głąb pokoju. Nie wyjrzał przez okno, więc Sherlock uznał, że złapał go dlatego, że chciał, aby chłopiec poszedł z nimi, a nie dlatego, że zobaczył, iż porozumiewa się z kimś na zewnątrz. Sherlock spojrział w bok, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Kiedy znów popatrzył w okno pensjonatu, pokój był pusty. Mężczyźni zniknęli, zabierając Matty'ego ze sobą.

Sherlock zbiegł po metalowych schodkach na dół i popędził w kierunku pensjonatu. Nie wiedział co, ale coś musiał zrobić.

Jednak było za późno. Podczas gdy on i Matty próbowali się porozumieć, jeden z mężczyzn musiał zejść i przywołać powóz, a inny zniósł ich bagaż na dół. Gdy Sherlock przeszedł przez ulicę, oni już wsiadali do dorożki. Sherlock zdążył jeszcze dostrzec przerażoną minę Matty'ego, zanim woźnica popędził konie i powóz odjechał.

Rozejrzał się za inną dorożką, ale akurat żadnej nie było widać.

Czuł, jak ogarnia go czarna rozpacz.

Nie. Nie ma czasu rozpaczać. Ruszył ile sił w nogach z powrotem do hotelu, wracając tą samą drogą, którą tu dotarł i którą bezwiednie zapamiętał, choć wiedział, że ma w kieszeni kartkę z hotelowej papeterii na wypadek, gdyby się zgubił. Jego umysł pracował równie szybko, jak nogi, starając się dociec, co chciał przekazać mu Matty. Najwyraźniej jakąś wskazówkę. Odpowiedź na pytanie, które zadał Sherlock. Ale jaką?

Może to był rebus? Czy Matty próbował podać mu nazwę miejsca, do którego jechał, w postaci sylab? Mijając w pędzie sklepy, hotele i narożniki ulic, czując, jak powietrze gwizdże mu w gardle i pali w płucach, usiłował rozszyfrować zagadkę.

Moneta. Pieniądze? Okup? Gotówka? Pens?

Pocieranie palcami. Szczypta? Przyprawa? Może sól?

I jeszcze zatykanie nosa. Łomocząc stopami po chodniku i wymijając idących wolniej przechodniów, Sherlock starał się pojąć sens tej zagadki.

Nos. Zapach? Odór? Woń?

Nagle wszystkie fragmenty układanki znalazły się na swoim miejscu. Pens-sól-woń. Gdzieś w Ameryce, chyba niedaleko, było miejsce zwane Pensylwania. Czy to właśnie Matty próbował mu przekazać?

Ale co z resztą wiadomości: najpierw podniósł dwa palce, którymi wskazywał na siebie i na Sherlocka, a potem, ze zdeorientowaną miną, trzy palce. Co to znaczyło?

Już widział hotel Jellabee. Jego mięśnie aż krzyczały z bólu, ale nadal biegł.

Matty, Sherlock i ktoś trzeci, kogo brakuje. Virginia! Na pewno chodziło o Virginię. To było nie tylko imię, lecz także nazwa miejsca!

– Pensylwania i Wirginia – to wciąż nie miało dla Sherlocka zbyt wielkiego sensu, ale może Amyus Crowe będzie umiał to wyjaśnić.

Wbiegł do hotelu i popędził po schodach, po czym niemal zderzył się z drzwiami apartamentu. Zabębnił w nie pięściami. Drzwi otworzyły się i wpadł do środka, aż się przewrócił. Virginia stanęła nad nim ze zdumioną miną.

– Gdzie jest twój ojciec? – wykrztusił.

– Jeszcze nie wrócił. Pewnie wciąż jest w Agencji Pinkertona.

– Widziałem Matty’ego. Właśnie go zabrali – z trudem wydobywał z siebie słowa między haustami powietrza. – Matty przekazał mi wiadomość: jadą do Pensylwanii i Wirginii. Myślę, że próbował dać mi zrozumienia, dokąd go zabierają, ale ja nie mam pojęcia. Czy jadą do Pensylwanii, czy do Wirginii? Czy do obu? To są nazwy miejsc, prawda?

Virginia potrząsnęła głową.

– To jest prostsze. Pociągi Kolei Pensylwańskiej odjeżdżają ze stacji w Nowym Jorku. Mają linię prowadzącą do Wirginii. Może tam zabierają Matty’ego. Na pewno.

– Musimy znaleźć twojego ojca i powiedzieć mu o tym.

– Nie ma czasu – uznała. – Jeśli jadą na stację, to powinniśmy tam dotrzeć i im przeszkodzić, postarać się uratować Matty’ego. Nie możemy czekać na tatę. Zostawię mu wiadomość.

Podeszła szybko do stołu, otworzyła szufladę i wyjęła zwitek banknotów.

– Tata je zostawił, żeby ktoś nie świsnął mu ich z kieszeni na ulicy. Nie żeby ktoś odważył się spróbować, ale on zawsze jest ostrożny. W każdym

razie możemy ich potrzebować.

Na arkusiku z papeterii nagryzmoła list do swojego ojca. A potem oboje zbiegli schodami i wyszli przed hotel. Akurat zatrzymał się przed nim powóz, z którego wysiadł pasażer. Virginia wskoczyła do środka i pociągnęła za sobą Sherlocka. Zawołała coś do woźnicy, Sherlock nie usłyszał co, ale koń od razu ruszył szybkim kłusem.

– Obiecałam mu podwójną zapłatę, jeśli dojedzie na stację w dziesięć minut – wyjaśniła, uśmiechając się.

Sherlock i Virginia trzymali się mocno, gdy dorożka z klekotem toczyła się ulicami Nowego Jorku. Dwukrotnie podskoczyła na jakiejś dziurze tak, że wpadli na siebie, ale zaraz się odsunęli.

Zanim powóz zatrzymał się przed wielkim, ozdobionym kolumnami frontem budynku, który najwyraźniej był dworcem kolejowym, Sherlockowi zrobiło się niedobrze od jazdy trzęsącym się pojazdem. Gdy Virginia płaciła woźnicy, chłopiec pobiegł na dworzec.

Panował tam gwar i ruch, ludzie chodzili we wszystkich kierunkach po wielkiej marmurowej hali. Po jej drugiej stronie kilka łukowatych przejść prowadziło na perony. Na hakach wisiały tablice informujące o tym, dokąd jadą pociągi i gdzie się po drodze zatrzymują. Jedne plansze zdejmowano, inne zawieszano.

Sherlock pobiegł wzdłuż łuków, sprawdzając wszystkie tablice. Po chwili zdał sobie sprawę, że Virginia biegnie obok niego.

Chicago, Delaware, Baltimore... Sherlock poczuł skurcz w żołądku, gdy nagle zdał sobie sprawę, że Virginia to stan, a nazwy wypisane na tablicach to nazwy miast. W Anglii wiedziałby na przykład, że Southampton jest w Hampshire, ale tu, w Ameryce, nie miał pojęcia, które miasta leżą w jakim stanie.

– Tutaj! – zawołała Virginia. – Richmond to stolica stanu Virginia. Tor dwadzieścia dziewięć. Linia pensylwańska.

Przeszła przez łukowate przejście, a Sherlock ruszył za nią. Strażnik w imponującym błękitnym mundurze i czapce z daszkiem zmarszczył brwi na widok podartej marynarki i czapki Sherlocka i próbował ich zatrzymać, ale Virginia przebiegła obok niego. Chciał chwycić Sherlocka za ramię, ale ten go odepchnął.

Teraz biegli wzdłuż peronu, obok wagonów wydawałoby się niekończącego się pociągu. Lokomotywa na przodzie była niewidoczna za zakrętem. Inaczej niż na angielskich dworcach, gdzie perony znajdowały

się na tym samym poziomie co drzwi na końcach wagonów, tutaj peron był niżej i do każdego wejścia prowadziły schodki.

Sherlock, biegnąc, zaglądał w okna i wypatrywał twarzy Matty'ego, ale najpierw zobaczył poparzone, pokryte bliznami oblicze Johna Wilkesa Bootha. Zatrzymał Virginie, po czym cofnęli się do końca wagonu.

– Nie mamy wiele czasu – wykrztusił.

Virginia spojrzała w kierunku lokomotywy, a potem końca pociągu. Poza niewielką grupką wsiadających nieco dalej, nie dostrzegła nikogo, kto mógłby im pomóc. Nawet peronowy, który wcześniej usiłował ich złapać, teraz zniknął – może poszedł sprowadzić policję.

– Musimy znaleźć konduktora – powiedziała i zaczęła wchodzić po schodkach. – On może wstrzymać pociąg.

Sherlockowi nie pozostało nic innego, jak tylko pójść za nią. Nie był pewien, czy to przemyślała, ale też sam nie miał lepszego pomysłu.

Weszli do wagonu. Po obu stronach wąskiego przejścia znajdowały się w nim drewniane wyściełane siedzenia.

W połowie wagonu, twarzami do nich, siedzieli Ives, Berle, John Wilkes Booth i sądząc po zarysie głowy, Matty. Mężczyźni rozmawiali z ożywieniem. Sherlock schował się za oparciem, żeby go nie dostrzegli.

Virginia rozglądała się za konduktorem. Sherlockowi aż podskoczyło serce, kiedy usłyszał na zewnątrz ostry, przenikliwy dźwięk gwizdka.

A potem pociąg ruszył.



## ROZDZIAŁ 12



Sherlock w pierwszej chwili chciał pobiec do drzwi i wyskoczyć z wagonu. Chwycił Virginie za ramię i pociągnął za sobą, ale ona się opierała.

– Musimy wysiąść! – syknął. – Nie mamy biletów, poza tym tu został twój ojciec!

– Bilety możemy kupić u konduktora – odparła – albo powiedzieć mu, że ma je nasz ojciec i że jest w innym przedziale. A kiedy pociąg się zatrzyma, możemy zatelegrafować do taty i poinformować go, gdzie jesteśmy. Ważne, żebyśmy nie stracili z oczu ludzi, którzy mają Matty’ego. Bo inaczej przypadną na dobre. Musimy ich śledzić, dopóki nie zatrzymają się w jakimś innym hotelu, domu albo czymś takim.

– Ale... – zaczął.

– Zaufaj mi! To mój kraj, wiem, jak tu wszystko działa. Już wcześniej jeździłam sama pociągiem. Nic nam się nie stanie.

Sherlock ustąpił. Znaleźli się tu przez przypadek, ale teraz musieli jak najlepiej wykorzystać sytuację. Gdyby wysiedli z pociągu i wrócili do hotelu, cały trud podróży do Ameryki poszedłby na marne.

– No dobrze – zgodził się. – Zostańmy.

– Teraz już i tak nie mamy wyboru – zauważyła Virginia, wskazując okno. Peron zniknął, a pociąg nabierał szybkości na torach przecinających szerokie nieutwardzone ulice. Sherlock czuł i słyszał tuk-tuk, tuk-tuk, kiedy koła wagonów co mniej więcej sto jardów natrafiały na spojenia w szynach.

Sherlock popatrzył między siedzeniami w kierunku mężczyzn, którzy porwali Matty’ego.

– Siedzą spokojnie – powiedział. – Powinniśmy znaleźć sobie miejsca i wymyślić, co robić dalej. Czy po prostu ich śledzimy, czy próbujemy pomóc Matty’emu w ucieczce?

– To zależy od tego, co się stanie – odparła Virginia. – Jak myślisz, dlaczego tak szybko pojechali na stację?

– To moja wina – przyznał Sherlock. – Jeden z nich zobaczył mnie na ulicy, ale zdołałem się przed nim schować, więc wrócił do hotelu, w którym się zatrzymali. Pewnie postanowili się wynieść. Wtedy właśnie Matty'emu udało się przekazać mi, dokąd jadą. – Urwał i się rozejrzył. – Tam są dwa wolne miejsca. Usiądźmy w końcu.

Usiedli tyłem do kierunku jazdy, tak że nie widzieli porywaczy. Sherlock wyjrzał przez okno. Pociąg wjeżdżał w zakręt, więc można było dostrzec ciągnącą go lokomotywę. Naiwnie spodziewał się, że będzie wyglądać tak jak te w Anglii, które jeździły z Farnham przez Guildford do Londynu, ale ta wyglądała inaczej. Miała podobny cylindryczny zbiornik, ale na miejscu małego komina, typowego dla brytyjskich lokomotyw, pojawiło się coś jakby ogromna tuba, stercząca z przodu zbiornika. Poza tym na samym przodzie lokomotywy przyczepiono jakiś dziwny przedmiot: spiczastą, wygiętą metalową kratę, najwyraźniej przeznaczoną do tego, żeby spychać coś z torów.

– Bizony – powiedziała zwięźle Virginia, podążając za jego spojrzeniem.

– Co?

– Bizony. I krowy. Przechodzą przez tory i czasem po prostu na nich stają. Pociąg musi zwolnić i to coś z przodu spycha je z drogi.

– Och. – Zamyślił się na moment. – A może powiemy konduktorowi?

– O czym?

– Że Matty jest trzymany jako zakładnik.

– I co niby miałyby zrobić? – Virginia potrząsnęła głową, aż zawirowały jej miedziane włosy. – Konduktor to zwykle starszy gość czekający na emeryturę. Nie będzie w stanie nam pomóc.

Pociąg jechał dalej. Sherlock patrzył, jak budynki i ulice ustępują miejsca otwartej przestrzeni i kępom drzew. Zieleni aż lśniła w jasnym słońcu.

– Jak długo potrwa podróż? – zapytał.

– Do Richmond? – Zastanowiła się przez chwilę. – Może dzień. Zależy od tego, gdzie się zatrzymamy po drodze. I może będziemy musieli się przesiadać.

– Cały dzień? – To był naprawdę duży kraj. – A co z jedzeniem?

– Z tyłu pociągu jest chyba wagon restauracyjny. Jeśli nie, na pewno na stacjach pojawią się jacyś ludzie sprzedający jedzenie. Pociąg zatrzyma się na dość długo, żebyśmy zdążyli wysiąść i coś przekąsić. A może nawet uda

nam się wysłać telegram do taty w hotelu albo przez Pinkertonów, zwłaszcza jeśli napiszemy go wcześniej i tylko podamy. Przy większości stacji jest urząd telegraficzny.

– Będziemy musieli uważać, żeby nas nie spostrzegli – stwierdził Sherlock.

– Damy sobie radę – uspokoiła go.

Sherlock zerknął przez ramię, żeby sprawdzić, czy porywacze nigdzie się nie wynieśli. Jeden z nich szedł przejściem w ich kierunku. Sherlock szybko się odwrócił z nadzieją, że tamten ich nie spostrzegł. To był Berle, łysiejący doktor. Minął ich, Sherlock patrzył na jego plecy, gdy przechodził środkiem wagonu. Trzeba zachować ostrożność, gdy tamten będzie wracał, bo z pewnością rozpozna Sherlocka, jeśli go zobaczy.

Sherlockowi przyszło do głowy, że najprostszy sposób, żeby ukryć twarz, to odwrócić się i pocałować Virginie, kiedy Berle będzie szedł z powrotem. W ten sposób doktor dostrzeże tylko tył jego głowy. Odwrócił się do Virginii i otworzył usta, żeby jej to zaproponować. Spojrzała na niego, jej oczy były w słońcu jasnofioletowe.

– Co? – zapytała.

– Tak tylko myślałem... – zaczął z wahaniem.

– Co myślałeś?

Tak łatwo byłoby powiedzieć: „Może się zdarzyć, że cię pocałuję, żeby nas nie rozpoznano, więc nie zdziw się, jeśli to zrobię” – ale nie wiadomo dlaczego nie zdołał wykrztusić ani słowa. Jej twarz znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy, tak blisko, że mógł policzyć piegi. Tak blisko, że mógł po prostu się pochylić i dotknąć jej ust swoimi wargami.

– Nic. Nie przejmuj się.

Zmarszczyła brwi.

– No nie, powiedz, o co chodzi?

– To naprawdę nic takiego. – Odwrócił się, patrząc, czy Berle nie wraca. Jeśli go zobaczy, uda, że wygląda przez okno albo coś w tym rodzaju. Przypomniał sobie, że wciąż ma na głowie czapkę z daszkiem, którą kupił w sklepie z ubraniami. Po prostu nasunie ją na oczy i będzie udawał, że śpi. Może to wystarczy.

Znów wyjrzał przez okno, za którym migają słupy telegraficzne stojące wzdłuż torów. Bezmyślnie liczył sekundy upływające między jednym słupem a drugim – jeden, dwa, trzy, cztery – a potem znowu – jeden, dwa, trzy, cztery. Słupy najwyraźniej rozmieszczono w równych odstępach.

Gdyby znał odległość między nimi, to wiedząc, ile czasu pociąg jedzie od jednego do drugiego, mógłby z czystej ciekawości obliczyć, z jaką prędkością się porusza. Przynajmniej miałby zajęcie.

Minęli jakieś miasteczko, które znikło równie szybko, jak się pojawiło. Sherlock zdążył tylko dostrzec niskie drewniane budynki, wiele wozów i koni.

Ruch pociągu działał na chłopca usypiająco. Na powrót biegiem do hotelu zużył bardzo dużo energii, zmęczyło go też nieustanne napięcie. Jego organizm domagał się odpoczynku.

Chyba musiał się chwilę zdrzemnąć, ponieważ gdy znów otworzył oczy, zobaczył rzekę błyszczącą daleko pod nimi. Pociąg jechał przez most przechodzący nad wąwozem. Most był drewniany i niewiele szerszy od wagonów.

Virginia wyczuła jego nagły przestrah.

– Nie bój się – uspokoiła go. – Jest zupełnie bezpieczny. Te mosty wiszą tu od lat.

Niedługo później pociąg zwolnił.

– Dojeżdżamy do stacji – powiedziała Virginia.

– Albo bizon stoi na torach – odparł Sherlock.

Zaczął się zastanawiać nad różnymi możliwościami. Na stacji mogli zrobić wiele rzeczy: po prostu coś zjeść, wysłać telegram do Amyusa Crowe'a, mogli też spróbować uratować Matty'ego. Gdyby się im udało w jakiś sposób wydostać go z pociągu, mogliby albo poczekać w mieście, aż dojedzie do nich Amyus Crowe, albo wsiąść w pociąg powrotny – zakładając, że jeżdżą częściej niż raz na dzień albo raz na tydzień. Uświadomił sobie, że nie ma pojęcia o rozkładzie jazdy kolei w tym kraju.

– Musimy wyjść na peron – oznajmił. – Jeśli dopisze nam szczęście, może uda nam się rozdzielić Matty'ego z tymi ludźmi.

Pociąg zwolnił jeszcze bardziej. Jechali obok ogromnego pola pełnego wysokich roślin z bulwiastymi czubkami. Jedyne ogrodzenie, jakie dostrzegł Sherlock, rozciągało się od torów aż po horyzont. Nagle rozległ się dźwięk gwizdka lokomotywy: żalosny świst, jakby nawoływanie jakiegoś mitycznego stworzenia.

Minęli rozproszone stodoły i domy, potem kolejne budynki, aż wreszcie pojawiło się całe miasteczko, a pociąg stopniowo wyhamował przy chodniku ledwo wystającym nad ziemię.

– Wsiądźmy – zaproponował Sherlock, gdy w oddali rozległo się wołanie konduktora:

– Stacja Perseverance, New Jersey! Proszę państwa, pociąg zatrzymuje się na dziesięć minut, postój dziesięć minut! Stacja Perseverance!

Sherlock pociągnął Virginie ku drzwiom. Ktoś z zewnątrz je otworzył i wyskoczyli na chodnik.

– Kup jedzenie – powiedział. – Ty masz pieniądze. Ja będę patrzył, czy oni nie wysiądą na tej stacji.

Na peronie tłoczyli się ludzie w zakurzonych ubraniach z grubego płótna, sztruksu albo bawełny w kratkę. Sherlock przecisnął się między nimi i stanął w cieniu pod murem. Niektórzy podróżni wysiadali na tej stacji, niektórzy wyszli tylko na chwilę, a jeszcze inni wsiadali. Konduktor chodził wzdłuż pociągu i pomagał im znaleźć właściwy wagon.

Ives – krępy mężczyzna o krótko przyszyżonych blond włosach – wysiadł z pociągu razem z Mattym. Berle, lekarz, pewnie zajmował się na wpół obłąkanym Johnem Wilkesem Boothem. Matty był blady, choć Ives chyba traktował go przyzwoicie. Nie szturchał go ani nie bił, ale rękę trzymał na ramieniu chłopca. Popchnął go w stronę rzędu małych drewnianych budek, niewiele większych niż szopa ogrodowa, stojących z boku torów. Sherlock uznał, że to wychodki. Może tylko dziury w ziemi, osłonięte dla zapewnienia prywatności.

Ives wepchnął Matty'ego do jednej z tych budek i zamknął drzwi. Stał tam przez chwilę, po czym odszedł, krzywiąc się i zasłaniając ręką twarz. Najwyraźniej smród go zniechęcił do pilnowania więźnia.

Sherlock pobiegł na tyły wychodków i odliczając, doszedł do tego, w którym, jak sądził, był Matty. Drewniana tylna ściana niemal przegniła. Ives miał rację. Odór przyprawiał o mdłości.

– Matty! – zawołał niegłośno przez szpary w drewnie.

– Sherlock! – rozległ się ze środka głos Matty'ego. – Widziałem was w pociągu!

– A czy oni nas zauważyli?

– Nie. Powiedzieliby.

– To dobrze. – Sherlock sprawdzał, jak mocne jest drewno na dole budki.

– Pomóż mi zrobić dziurę.

Sherlock ciągnął, Matty pchał i w ten sposób udało im się zrobić w deskach wystarczająco duży otwór, żeby chłopiec zdołał się przez niego

przecisnąć. Sherlock złapał go za rękę i pociągnął. Po kilku sekundach Matty stał już obok niego.

– Dobrze się czujesz? – zapytał zdyszany Sherlock.

– Teraz już tak. – Matty zmarszczył brwi. – Bałem się na statku, ale traktowali mnie całkiem dobrze, dawali mi jeść. I wiedziałem, że po mnie przyjdziecie.

– Chodźmy stąd.

Razem przemknęli się na tyłach wychodków. Sherlock wyjrzał na drugą stronę. Ives wciąż stał z boku i czekał.

– Gdzie jest Virginia? – zapytał Matty.

– Kupuje jedzenie.

– A pan Crowe?

– Został w Nowym Jorku – wyznał Sherlock.

– Jak to się stało?

Sherlock potrząsnął głową.

– Zbieg okoliczności. Tego nie było w planie.

Ives odszedł jeszcze dalej, trzymając się za nos. Kiedy odwrócił się tyłem, Sherlock złapał Matty'ego za ramię.

– Chodźmy!

Razem pobiegli przez otwartą przestrzeń do prostego oszalonego budynku, w którym mieściły się kasy i poczekalnia. Sherlock starał się zasłaniać sobą Matty'ego, żeby nie zobaczył go Ives, gdyby się odwrócił. Czekala tam na nich Virginia. Wręczyła Sherlockowi dwie papierowe paczuszki z czymś gorącym w środku, po czym złapała Matty'ego i uściskała go z całych sił.

– Tak się cieszę, że znów cię widzę! – zawołała.

Matty też ją uściskał.

– Ja też się cieszę – powiedział szczerze.

Sherlock wyjrzał za róg budynku. Tłum się przerzedzał, ci, którzy mieli wsiąść, już zajęli swoje miejsca, a wysiadający właśnie się rozchodzili. Zostali nieliczni pasażerowie, którzy wyszli rozprostować nogi i kupić coś do jedzenia. Obok pociągu stał strażnik, patrzył to na przód, to na tył składu i zerkał na zegarek kieszonkowy. Na przodzie, przy lokomotywie, maszynista dolewał wody ze zbiornika umieszczonego koło torów na rusztowaniu.

– Musimy tylko poczekać – oznajmił Sherlock – aż pociąg odjedzie, a potem wsiąść w następny jadący do Nowego Jorku.

– To nie będzie takie proste – ostrzegła go Virginia.

– Dlaczego nie?

Wskazała w kierunku budek.

– Spójrz!

Berle i Ives stali obok siebie. Ives najwyraźniej się tłumaczył, a Berle był wściekły.

– Zauważyli, że Matty uciekł – zorientował się Sherlock. – Zaczną go szukać.

Miał rację. Berle i Ives rozdzielili się i ruszyli w różnych kierunkach. Berle poszedł wzdłuż pociągu, zaglądając pod niego, żeby zobaczyć, czy ktoś nie stoi po drugiej stronie, a Ives skradał się w ich stronę. Nie, właściwie w stronę stacji. Wszedł do środka i rozglądał się w poczekalni.

– Szybko! – powiedział Sherlock. – Tędy!

Poprowadził ich w stronę pociągu.

– Nie możemy znów do niego wsiąść! – zaprotestowała Virginia.

– Musimy – oświadczył. – Ives i Berle sprawdzą każde miejsce wokół stacji i wychodków. Jeśli uda nam się wsiąść do pociągu, a potem wysiąść po drugiej stronie, może damy radę uciec i wrócić, kiedy pociąg odjedzie.

Wspiął się po schodkach prowadzących do wagonu. Virginia i Matty podążyli za nim. Czuł, że nie podoba im się ten pomysł.

Prędko podszedł do drzwi po drugiej stronie wagonu i nacisnął na klamkę.

Były zamknięte.

Spróbował ją przekręcić. Bez skutku.

Virginia stała przy drugim wejściu.

– Wracają! – zawołała.

Sherlock spojrział w głąb wagonu.

– Możemy pójść do następnych drzwi – zasugerował. – Chodźcie.

Na szczęście wsiedli do innego wagonu niż ten, z którego wysiedli. Kiedy przeciskali się środkowym przejściem, obok ludzi wstających, sprawdzających bagaże albo po prostu kręcących się tu i tam, nie dostrzegli żadnego z mężczyzn, których próbowali uniknąć.

Na samym końcu Sherlock sprawdził drzwi wyjściowe. Były otwarte, ale gdy je otworzył i już gotów był wyskoczyć, dostrzegł krępego, jasnowłosego Ivesa stojącego po tej stronie pociągu. Na szczęście patrzył w innym kierunku i nie zauważył Sherlocka. Chłopiec pospiesznie zamknął drzwi.

Virginia wyjrzała przez okno na stronę stacji.

– Ten łysy wciąż tu jest! – zawołała. – Sprawdź obie strony pociągu.  
Na zewnątrz konduktor zadał w gwizdek.

– Proszę wsiadać, drzwi zamykać! – zawołał.

Sherlock miał mętlik w głowie. Nie było drogi ucieczki.

– Musimy spróbować podczas następnego postoju – powiedział stanowczo. – Przynajmniej udało nam się uratować Matty’ego.

Konduktor znów zagwizdał, a kilka sekund później pociąg szarpnął i ruszył, najpierw powoli, ale stopniowo nabierał prędkości. Virginia wyjrzała przez okno.

– Łysy wszedł z powrotem – oznajmiła.

Sherlock wyjrzał po swojej stronie.

– Ives też.

– Więc wszyscy są znów w pociągu – stwierdził Matty. – Świetnie. A ja nawet nie zdążyłem pójść za potrzebą.

– Przynajmniej mamy jedzenie – zauważyła Virginia.

– Znajdźmy jakieś miejsca – zaproponował Sherlock. – Najlepiej jak najdalej od tych ludzi. Jeśli się uda, na drugim końcu pociągu. – Odwrócił się, żeby pójść w tamtą stronę, ale dziwna cisza za jego plecami sprawiła, że spojrzał za siebie.

Berle i drugi mężczyzna, którego Sherlock nie znał, stali za Virginią i Mattym, przykładając im noże do gardeł. Musieli dotrzeć tu z innego wagonu, od strony początku pociągu, a oni tego nie spostrzegli.

Sherlock zerknął przez ramię.

Ives szedł wielkimi krokami środkiem następnego wagonu, tego, do którego zamierzał przejść Sherlock. Nie miał zadowolonej miny.

– Nie bądź głupi, mały – powiedział Berle. – Ives i tak jest zły. Nie pogarszaj sprawy. On czasem... traci panowanie nad sobą. A wtedy ratuj się, kto może.

Sherlock patrzył to na Berlego, to na Ivesa. Między młotem a kowadłem. I tak źle, i tak niedobrze.

Czuł w piersi straszny ciężar. Nie ma wyjścia. Tak czy siak, zostanie złapany.

Nie, powiedział sobie. Co by zrobił Mycroft? Co by zrobił Amyus Crowe? „Kiedy masz tylko dwa wyjścia i żadne ci się nie podoba, szukaj trzeciego”.

Otworzył drzwi wagonu i wyszedł na otwartą przestrzeń.

Zielony, bujny krajobraz stanu Nowy Jork rozmazywał się w pędzie. Usłyszał za plecami, jak Virginia głośno wciąga powietrze, a Ives przeklina.



Trzymając się lewą ręką framugi, wcisnął lewą stopę w miejsce, gdzie stykała się z podłogą i podczas gdy wiatr gwizdał, odpychając go w tył, przerzucił całe ciało za narożnik wagonu, w przestrzeń między wagonami. Wcześniej dostrzegł tam drabinkę prowadzącą na dach i teraz sięgnął po nią prawą ręką. Zacisnął palce na szczelbu i wysunął prawą nogę, starając się znaleźć oparcie na drabince. Po, jak mu się zdawało, kilku minutach, choć naprawdę upłynęło kilka sekund, trafił stopą w szczelbel. Puścił framugę i wciągnął się na drabinkę.

Czyjaś ręka złapała go za lewą stopę, zanim zdążył ją podciągnąć. Kopnął, czując, że trafia kogoś w twarz. Napastnik zwolnił chwyt, tylko stopa bolała Sherlocka w miejscu, gdzie tamten mocno zacisnął palce.

Po chwili chłopiec znalazł się na dachu wagonu.

Musiał ukucnąć, żeby przytrzymać się pręta biegnącego wzdłuż zadaszania.

Przed sobą widział wypukły dach pociągu. Od lecącego w tył dymu z komina łzawiły mu oczy i trudno było oddychać.

Zawahał się przez chwilę. Zamiast dać się złapać, wybrał jedyne możliwe wyjście – ucieczkę – ale możliwości okazały się ograniczone. Tkwił wciąż w pociągu – i nie miał żadnego planu. Dokądkolwiek pójdzie, Ives i inni go znajdą. Znajdą i zapewne zabiją. Nie mógł też po prostu uciec, skacząc do rzeki po drodze. Musiał ratować Virginie i Matty'ego.

Czuł, jak rozpacz sunie ku niemu niczym czarna fala, ale odepchnął ją ogromnym wysiłkiem woli. Nie pora na to. Teraz trzeba myśleć.

Jeśli uda mu się przedostać po dachu pociągu na jego początek, może zdoła ostrzec maszynistę i znajdzie jakiś sposób, żeby przekazać wiadomość policji, albo przestawi zwrotnice, żeby pojechali z powrotem do Nowego Jorku, cokolwiek!

Wciąż w kucki przeszedł powoli na początek wagonu. Wiatr niczym potężna dłoń spychał go w tył, lecz on się nie poddawał. Oczy mu łzawiły od dymu, z trudem chwycił powietrze, ale nie mógł się zatrzymać. Matty i Virginia liczyli na niego.

Pociąg podskoczył na złączeniu szyn i Sherlock niemal puścił uchwyt. Przez chwilę kołysał się w tył i w przód, starając się jak najmocniej przywrzeć do powierzchni dachu, zanim uznał, że jest bezpieczny.

Cóż, nieco bezpieczniejszy, pomyślał, zerkając na krajobraz, w pędzie rozmazujący się w zielone i brązowe smugi.

Zbliżali się do rzeki. Widział ją przed pociągiem, który zakręcał w stronę mostu, wyglądającego, jakby zbudowano go z zapalek. Poczł, jak serce łomocze mu w piersiach.

A zaraz potem o mało nie wyskoczyło mu z piersi, gdy głowa i ramiona Ivesa pojawiły się na połączeniu między wagonem, po którym szedł Sherlock, a kolejnym. Mężczyzna musiał przejść przez wagon i wspiąć się po następnej drabince.

Wciągnął się na dach i stanął prosto. Para z lokomotywy, spychana przez wiatr, kłębiła się wokół niego jak biały płaszcz.

– Chybaś upadł na głowę! – wrzasnął. – Dokąd idziesz? Bezpieczniej na dole.

Sherlock potrząsnął głową.

– Potrzebujecie tylko jedno z nas, żeby zaszantażować Amyusa Crowe'a! – odkrzyknął. – Raczej nie chcecie mieć na głowie trojga zakładników.

– Amyus Crowe? – zapytał Ives. – Czy to ten wielki typ w białym garniturze? Dotąd nie wiedziałem, jak się nazywa, a wciąż depcze nam po piętach. Uparty z niego gość. A ty razem z nim.

– Nie ma pan pojęcia, jak bardzo! – wrzasnął Sherlock, ale tak naprawdę poczuł strach. Zerknął przez ramię. Nie widać było Berlego ani tego drugiego, jednak szanse, że uda mu się uciec w tamtym kierunku, wyglądały marnie. Pewnie czekają na niego przy kolejnym przejściu między wagonami, jeden trzyma Virginie, a drugi Matty'ego.

Kiedy się odwrócił, zobaczył, że Ives ma w ręku broń.

– Niezły z ciebie chojrak – powiedział Amerykanin, podnosząc pistolet, żeby wycelować.

Część umysłu Sherlocka zastanawiała się, co to jest „chojrak”, podczas gdy pozostała część dostrzegła, że pociąg właśnie wjeżdża na most, który widział chwilę wcześniej. Pod nimi nagle otworzył się skalisty wąwóz, ze lśniącą błękitną wstążką rzeki na dnie. A trzecia część jego umysłu usiłowała coś mu powiedzieć.

Ives wystrzelił. Sherlock uchylił się, ale przez wiatr i wstrząsy mężczyzna nie mógł dobrze wycelować, więc kula przeszła bokiem, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Napastnik podszedł bliżej, starając się zachować równowagę, a Sherlock próbował uchwycić myśl, która czaiła się tuż poza zasięgiem. O czymś, co niedawno zrobił. O czymś, co kupił.

Proca! Rozpaczliwie obmacał kieszenie w poszukiwaniu kawałka skóry z doczepionymi rzemieniami, który kupił w sklepie z różnościami. W prawej kieszeni spodni – nic. W lewej – tak samo. Ives znów szykował się do strzału. Lewa wewnętrzna kieszeń marynarki – nic, ale poczuł pod palcami zimne kulki, które dostał od sprzedawcy. Ives znów mierzył, opierając broń na drugiej ręce. Lewa zewnętrzna kieszeń marynarki – jest! Sherlock wydobyl procę i szybko wsunął prawą rękę w jedną pętlę, po czym przytrzymał drugą, tak że skórzana kieszeń zwisała swobodnie.

Mężczyzna strzelił. Kula świsnęła Sherlockowi koło ucha.

Zanurzył lewą rękę w kieszeni, wyciągnął kulki i szybko włożył je do skórzanej ładownicy. Zanim Ives zdążył cokolwiek zrobić, chłopiec zakreślił obciążoną procą nad głową, po czym puścił jeden rzemyk. Kulki pofrunęły w kierunku napastnika, układając się na niebie w świecąca linię. Trafiły go w lewe ucho, odrywając kawałek. Ives krzyknął zdumiony i wstrząśnięty, krew połała mu się na ramię. Wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem.

Sherlock znów złapał rzemyk i wsypał do kieszeni kolejną porcję kulek.

Pociąg znalazł się teraz w połowie mostu i Sherlockowi wydawało się, że czuje, jak konstrukcja kołysze się pod ciężarem wagonów.

Ives rzucił się naprzód i sunął w kierunku Sherlocka, wyciągając ręce, tak jakby zapomniał, że wciąż trzyma w dłoni pistolet.

Sherlock znów dwukrotnie zakreślił procą nad głową i puścił rzemyk. Kulka pofrunęła przez zmniejszającą się odległość między nimi i utkwiała pośrodku czoła Ivesa. Mężczyzna runął do tyłu, wytrzeszczając oczy tak bardzo, że widać było białko dookoła tęczówek. Upadł plecami na dach pociągu, potoczył się na bok i zniknął za krawędzią. Sherlock usłyszał jeszcze jego rozpaczliwy krzyk, a potem już nic, tylko świst wiatru i żalony dźwięk gwizdka lokomotywy.

Sherlock osunął się na kolana, wciąż trzymając się uchwytu na dachu. Począł, aż oddech mu się uspokoi i serce przestanie tak mocno bić, po czym wstał i ruszył z powrotem w kierunku drabinki, po której się wspiał.

Pozbył się jednego, zostało jeszcze kilku, ale teraz miał broń.

Szyny zastukały pod kołami, gdy pociąg dotarł na drugi brzeg wąwozu. Znów zabrzmiał gwizdek. Sherlock spojrział w kierunku lokomotywy i zobaczył, że tory się rozdzielają. Jedna linia prowadziła dalej prosto, a druga skręcała, biegnąc wzdłuż skraju wąwozu.

Pociąg wjeżdżał właśnie w tę boczną, zwolnił, mijając bramę w ogrodzeniu, i jechał w stronę widocznej z przodu stacji.

To nie stacja, uświadomił sobie Sherlock.

To był dom, wielki biały dom, a za nim coś, co wyglądało jak ciąg zagród, otoczonych płotem lub murem, oraz klatek, niczym w prywatnej menażerii.

Tak szybko, jak tylko mógł, zsunął się po drabince i przedostał z powrotem do wnętrza wagonu. Konduktor szedł środkowym przejściem, przeciskając się między niespokojnymi pasażerami, i wołał:

– Postój poza rozkładem! Proszę nie wysiadać! Postój poza rozkładem!

Pociąg zahamował w końcu z długim sykiem wypuszczanej pary. Zatrzymał się przy długiej werandzie na tyłach budynku.

Stało na niej ośmiu czy dziewięciu ludzi.

Nadzieja Sherlocka, że to policja albo wojsko, zniknęła natychmiast, kiedy Berle i ten drugi wysiedli z pociągu, trzymając mocno Virginie i Matty'ego. Poszedł więc za nimi.

## ROZDZIAŁ 13



W wagonach zapanował chaos. Pasażerowie, przekrzykując się, wypytywali konduktora, dlaczego pociąg zmienił trasę, czemu się zatrzymał i gdzie są. Konduktor najwyraźniej nie wiedział – starał się uspokoić ludzi, ale jego mina świadczyła o tym, że sam czuje się niepewnie.

– Nieplanowany postój! – wołał tylko. – Proszę nie wysiadać!

Na peronie wciąż znajdowało się dwóch mężczyzn, trzymających Virginie i Matty'ego. Czekali na coś. Pewnie na Sherlocka. Z boku widział Johna Wilkesa Bootha. Stojąc, kiwał się powoli na boki, wzrok miał błędny. Pewnie otumanili go jakimiś lekami, żeby się nie odzywał.

Jeden z mężczyzn – ten, którego nie widział nigdy wcześniej – na chwilę wysunął rękę zza pleców. Trzymał broń.

Sherlock uznał, że nie ma wielkiego wyboru, więc zszedł po schodkach prowadzących na werandę.

Gdy spojrział w kierunku końca pociągu, zobaczył, że ludzie, którzy czekali na peronie, wyciągają z ostatniego wagonu jakieś skrzynie. Wyglądały jak te, które widział w ogrodzie domu w Godalming – jak mu się wtedy wydawało, coś się w nich ruszało. Mężczyźni załadowali skrzynie na czekający wóz, uważając, żeby nie wkładać palców w przerwy między listwami. Dwaj z nich przeklęli, kiedy niesiona przez nich skrzynia nagle się przechyliła, tak że omal jej nie upuścili, chociaż Sherlock nie wiedział, dlaczego jej ciężar się przesunął. Może w środku coś się poruszyło.

Chociaż nie zauważył, żeby ktoś dał sygnał do odjazdu, pociąg ruszył spod budynku z ogłuszającym kłopotem metalowych łączników, napinających się między wagonami. Jechał powoli, stopniowo przyspieszając.

– Gdzie jest Ives? – Berle zapytał Sherlocka, przekrzykując hałas pociągu. Prawą ręką ścisnął za ramię Virginie, w lewej zaś trzymał uchwyt

skrzynki wielkości mniej więcej piłki.

– Spadł – odparł chłopiec. Czuł, jak łomocze mu serce, ale starał się zachować spokój i pozory panowania nad sytuacją.

Virginia i Matty wpatrywali się w niego z niepokojem. Spojrzał najpierw na jedno, potem na drugie, próbując ich przekonać, że wszystko będzie dobrze, ale sam w to nie wierzył i był pewien, że oni też nie.

– To znaczy został zepchnięty – powiedział Berle. – Zabiłeś go!

– Czuję dym! – odezwał się Booth za ich plecami. Oczy miał wciąż zamknięte, a głos nieobecny i senny.

– Cisza! – krzyknął trzeci mężczyzna, ten, który trzymał Matty'ego. – Albo przyłożę ci do drugiego policzka żelazo do piętnowania!

Najwyraźniej musiał znosić Bootha i jego manię przez całą drogę z Nowego Jorku – a może nawet z Southampton – i chyba był na skraju wybuchu. Sherlock przyglądał mu się przez chwilę. Nie widział go w pociągu. Zbudowany jak bokser, miał na sobie spodnie z grubego płótna i taką samą kamizelkę, a pod nią koszulę bez kołnierzyka. Na szyi zawiązał jaskrawoczerwoną chustkę.

– Nie drażnij go, Rubinek – ostrzegł go Berle. – Duke wciąż go potrzebuje.

Mężczyzna nazwany Rubinkiem przeniósł spojrzenie na Sherlocka.

– A co z nim? – warknął. – Jego Duke nie potrzebuje, poza tym przyznał się, że zabił Ivesa. – Wyciągnął zza pleców prawą rękę z rewolwerem i wycełował w Sherlocka.

– A co z Gilfillanem? – zapytał Berle. – Czy on też nie żyje? Wysłał nam telegram.

– Jest w rękach policji – odparł Sherlock. Nie miał pewności, czy to prawda, ale prawdopodobnie tak było.

Berle przymknął na chwilę oczy.

– Coraz gorzej – powiedział cicho. – Duke nie będzie zadowolony, a słyszałem, co się dzieje, kiedy Duke jest niezadowolony.

– Nie mamy wielkiego wyboru – stwierdził trzeźwo Rubinek. – Pociąg odjechał, a my jesteśmy tutaj. Pozbądźmy się więc dzieciaków i idźmy do Duke'a.

– Nie będziemy się ich pozbywać – odparł Berle cicho, ale stanowczo. Teraz, kiedy zabrakło Ivesa, najwyraźniej przejął dowodzenie. – Duke z pewnością zechce je przesłuchać, sprawdzić, ile wiedzą. Dopiero potem pewnie odda je swoim zwierzętom.

– Ale ja sam chcę je zabić – mruknął Rubinek jak rozpieszczone dziecko, któremu odmówiono ciastka.

– Przynajmniej mamy Bootha i to coś – powiedział Berle, podnosząc skrzynkę, którą trzymał, na wysokość oczu i patrząc na nią nienawistnie. – Oby to wystarczyło – westchnął. – Okej, miejmy to z głowy.

Berle poszedł werandą do miejsca, gdzie Sherlock ujrzał okrągły stół, ustawiony przed wysokimi oknami. Był przykryty białym obrusem, stały na nim karafka z czymś, co wyglądało jak sok pomarańczowy, talerz bułek oraz pośrodku siedem szklanek. Wokół stołu ustawiono siedem kutych żelaznych krzeseł pomalowanych na biało. Biały parasol wetknięty w środek blatu dawał ochronę przed palącym słońcem.

Parasol – to słowo zwróciło uwagę Sherlocka, kiedy szli werandą w stronę stołu. Przypomniało mu o czymś, ale nie pamiętał o czym. Na tym polega problem z pamięcią – informacje przestają się w niej mieścić. Gdyby tylko był jakiś sposób, żeby usunąć wszystkie wspomnienia, na których człowiekowi nie zależy i zastąpić je tymi ważnymi. Chyba powinien po prostu zapisywać sobie to, co może być istotne, w notesie albo kilku notesach, uporządkowane alfabetycznie, żeby potem szybko znaleźć to, czego potrzebuje.

Starał się odwrócić swoją uwagę od tego, co miało nastąpić, ale przeszkodził mu w tym Rubinek, który lufą rewolweru popchnął go ku jednemu z krzeseł.

– Siadaj – warknął. Sherlock posłuchał. Matty’ego i Virginie posadzono po jego obu stronach, Berle i John Wilkes Booth zajęli miejsca po lewej stronie Virginii, a Rubinek po prawej stronie Matty’ego.

Zostaje jedno krzesło, pomyślał Sherlock. Może dla tego tajemniczego Duke’a.

– Jeśli nas nie wypuścicie, mój ojciec zacznie nas szukać – oznajmiła Virginia.

– Twój ojciec to ten wielki gość w białym garniturze? – Berle popatrzył na Virginie, a potem na Matty’ego i Sherlocka. – Nie jesteście wszyscy jego dziećmi, prawda? Dotychczas nie widziałem was razem. – Przyjrzał się bliżej Matty’emu. Zabraliśmy cię ze sobą, bo myśleliśmy, że wtedy przestanie nas ścigać. Okazuje się, że mało wiedzieliśmy. Powinniśmy byli zabrać dziewczynę.

– On i tak by was ścigał – odparła Virginia. – Tak właśnie działa. Nie lubi rozkazów.

Berle chciał coś powiedzieć, ale oszklone drzwi nagle się otworzyły. Dwaj służący w nieskazitelnych czarnych frakach przytrzymali je, podczas gdy na tarasie zalanym słońcem pojawiła się kolejna postać.

Mężczyzna był wysoki – Sherlock uznał, że ma ponad sześć stóp wzrostu, jeśli nie siedem – i straszliwie chudy. Był ubrany cały na biało: frak, kamizelka, koszula, buty, szerokoskrzydły kapelusz i rękawiczki – z wyjątkiem tasiemki otaczającej główkę kapelusza oraz sznurkowego krawata, który zwisał z kołnierzyka koszuli i zniknął za kamizelką. Jedno i drugie uszyto z czarnej skóry. Sherlock myślał przez chwilę, że twarz tego mężczyzny jest albo nieprawdopodobnie blada, albo pokryta białym makijażem, ale potem zdał sobie sprawę, że ma on na sobie porcelanową maskę, tak doskonale wykonaną, że przypominała wrażliwą twarz o subtelnych rysach. Włosy widoczne spod kapelusza i opadające na krawędź maski były tak jasne, że także wydawały się białe.

Ale oczy wyglądające przez otwory w masce nie były białe. Miały tak ciemne, że niemal czarne tęczęwki, a białka nabiegły krwią. W kontraście z dziewiczą bielą maski oczy zdawały się jarzyć czerwonym blaskiem.

Nadgarstki mężczyzny, widoczne z mankietów koszuli, były nieprawdopodobnie chude. Sherlock zastanawiał się, czy zwykły uścisk dłoni nie połamałby mu kości. Ale on nie wyciągnął ręki na powitanie. Idąc, odchyłał ramiona od ciała, a od jego nadgarstków prowadziły czarne skórzane smycze, które zniknęły gdzieś w mroku domu. Coś mocno je napinało.

Zatrzymał się tuż za drzwiami. Sherlock miał wrażenie, że coś poruszyło się za nim, na końcach rzemieni, ale nie był pewien co. Chyba jakieś duże psy.

– Doktorze Berle – powiedział mężczyzna zza maski. Głos miał cichy, wysoki, niemal przechodzący w szept. – Kapitanie Rubinek. Panie Booth. I oczywiście nasi szanowni goście. Obawiam się, że nie znam waszych imion. Czy przez wzgląd na uprzejmą konwersację zechcielibyście się przedstawić?

– Nazywam się Virginia Crowe – powiedziała Virginia.

– Matty Arnatt – wykrzywił się Matty.

– Ach – westchnął mężczyzna. – Przyjaciół z morza. – Zerknął na Sherlocka swoimi czerwonymi oczami. – A pan? Kim pan jest?

– Nazywam się Sherlock Scott Holmes – odparł Sherlock.

– Kolejny gość z Wielkiej Brytanii. Jakże interesująco.



Uwagę Sherlocka przyciągnęły ręce trzymające smycze. Coś było z nimi nie tak, lecz dopiero po chwili spostrzegł co. U obu rąk brakowało palców – u lewej małego, a u prawej serdecznego, rękawiczki jednak uszyto specjalnie, więc żaden palec nie zwisał pusty ani nie trzeba było spinać materiału.

W samych dłoniach także zwracało uwagę coś dziwnego. Były tak samo chude jak ich właściciel, ale materiał rękawiczek wypychał jakieś guzy. Jak naprawdę wyglądały te ręce?

– Stawia nas pan w niekorzystnej sytuacji – powiedział Sherlock, przenosząc wzrok z powrotem na porcelanową maskę mężczyzny i starając się zapanować nad głosem. – Czy mogę zapytać, jak się pan nazywa?

– Jestem Duke Balthassar – przedstawił się mężczyzna głosem suchym i szeleszczącym jak jesienne liście. – A teraz proszę, częstujcie się sokiem i bułeczkami. Zapewniam, że sok jest idealnie świeży, a bułeczki prosto z pieca.

Virginia sięgnęła po karafkę.

– Pozwoli pan, że naleję.

Duke Balthassar wysunął się nieco dalej na słońce. Obie smycze, które trzymał, napięły się mocno, aż w końcu dwoje zwierząt niechętnie wyszło na werandę.

Virginia rozlała sok na biały obrus.

Sherlock przez chwilę nie wiedział, co to za stworzenia. Wyglądały jak smukłe, brązowe koty, ale głowami sięgały Duke'owi Balthassarowi do pasa. Ślepią miały czarne i bez przerwy machały ogonami, przenosząc spojrzenie z jednej osoby na drugą.

– Pумы? – wykrztusiła Virginia.

– W rzeczy samej – odparł Balthassar, wyraźnie zadowolony. – Mógłbym powiedzieć „proszę się ich nie bać”, ale to nie byłaby dobra rada. Owszem, należy się ich bać.

– Nie wiedziałam – przyznała Virginia, a Sherlock usłyszał drżenie w jej głosie – że pумы dają się oswoić.

– Oswoić? – zdziwił się Balthassar. – Nie, nie da się ich oswoić. Ale tak jak wszystkie stworzenia, w tym ludzie, reagują na strach. A boją się mnie – powiedział coś w obcym języku, a wtedy pумы przysiadły na werandzie, kładąc głowy na łapach.

Sherlock widział kły w ich nie do końca zamkniętych pyskach. Mogłyby odgryźć człowiekowi rękę, a ledwo schowane pazury z łatwością wyrwałyby ramię ze stawów.

– Jak udało się panu sprawić, że pумы się pana boją? – zapytał, niezupełnie pewien, czy chce usłyszeć odpowiedź.

– Tak samo, jak można sprawić, by człowiek się ciebie bał – odrzekł Balthassar. Jeden z jego odzianych na czarno służących odsunął wolne krzesło, a on usiadł z gracją, krzyżując nogi cienkie jak u pasikonika. – Przez połączenie bólu oraz przykłady tego, co się z nimi stanie, jeśli nie będą posłuszne. One mają pamięć. Pamiętają przykłady i kierują się nimi. Można się też ich pozbyć i zacząć od nowa z innym zwierzęciem. Widowiskowa i długa egzekucja jest od razu przykładem dla nowego zwierzęcia – co się stanie, jeśli nie będzie posłuszne. Można nie sprzątać ciała przez długi czas.

Przez chwilę przy stole zapanowała cisza, wszyscy przyglądali się pumom.

– Podoba mi się pana pociąg – powiedział w końcu Matty.

Porcelanowa maska pozostała nieruchoma, ale Sherlock wyczuł, że męczyzna uśmiecha się pod nią.

– Jesteś bardzo miły. Pociąg się przydaje, jeśli muszę pojechać na spotkanie do Nowego Jorku albo w inne miejsce. Nie znoszę jeździć powozem do najbliższej stacji. Drogi są takie wyboiste i zakurzone. Wolę, jeśli pociąg przyjeżdża do mnie.

– Jak udało się to panu zorganizować? – zapytał Sherlock.

– Zapewniam spółce kolejowej dużo pracy – wyjaśnił Balthassar. – Jestem przedsiębiorcą. Posiadam kilka podróżujących menażerii i cyrków, obwozących zwierzęta po tym pięknym kraju, a te menażerie i cyrki jeżdżą naszymi pociągami. Kiedy powiedziałem im, że chcę mieć własną bocznice i semafony, które pozwolą mi skierować dowolny pociąg do mojego domu, zgodzili się. – Urwał. – W końcu. Najpierw dałem im kilka przykładów tego, co się stanie, jeśli się nie zgodzą.

Sherlock spróbował sobie wyobrazić, o jakiego rodzaju przykładach mówi Balthassar, ale szybko tego pożałował – obrazy były zbyt plastyczne.

– Więc skierował pan pociąg na bocznice, ponieważ znajdowali się w nim pańscy ludzie? – zapytała Virginia.

– Właśnie. Zawiadomili mnie wcześniej, że nim jada i że wiozą cenny ładunek. – Zerknął na Johna Wilkesa Booth, który wpatrywał się

w szklanke soku pomarańczowego, jakby zawierała wyjaśnienie zagadki wszechświata. – Pan Booth był jego częścią. Czekałem od jakiegoś czasu, aż wróci do tego niegdyś wspaniałego kraju. Mam wobec niego pewien plan. Inną przesyłkę wyładowano wcześniej, a teraz zapoznaje się z nowym otoczeniem. – Przeniósł wzrok na skrzynkę, którą Berle trzymał na kolanach. – A w tej skrzynce jest, jak sądzę, ostatnia przesyłka. Czy mam rację, doktorze Berle?

Berle skinął głową i oblizał suche wargi.

– Tak jest, Duke. Czy pan...

– Jeszcze nie, doktorze. Długo czekałem na przybycie tej właśnie paczki. Chciałbym nacieszyć się tą chwilą. – Urwał i popatrzył po zebranych. – Widzę jednak, że brakuje wśród nas panów Ivesa i Gilfillana – oznajmił łagodnie. – Gdzie oni są?

Sherlock wiedział, że ma dwa wyjścia: albo pozwolić, żeby to Berle poinformował Balthassara, że Gilfillan jest w areszcie, a Ives nie żyje, albo samemu to powiedzieć, przejmując w ten sposób inicjatywę. Wybrał drugie rozwiązanie.

– Pan Gilfillan jest w więzieniu w Anglii – odezwał się. – Pana Ivesa zabiłem, spychając go z pociągu. – Wpatrywał się w otwory w masce Duke'a Balthassara. – Pozbyłem się też stewarda na SS „Scotia”, który próbował mnie zamordować. Został opłacony przez pana Ivesa.

Przy stole zapadła cisza, przerywana tylko chrapliwym oddechem pum, które patrzyły z napięciem na Sherlocka. W jakiś sposób wyczuwały, że między nim a Dukiem Balthassarem toczy się próba sił.

– Rzutki z ciebie młodzieniec – powiedział w końcu Balthassar. – Dlaczego właściwie ich zabiłeś?

– Może chciałem dać przykład innym pańskim podwładnym – odrzekł spokojnie Sherlock. – Żeby zaczęli się mnie bać.

Balthassar roześmiał się: jasny, wysoki dźwięk, na który pумы aż się cofnęły.

– Cóż za śmiałość. Chyba pana polubiłem, panie Holmes. Nie dość, żeby zachować pana przy życiu, ale lubię pana.

– Nic mu pan nie zrobi? – zdziwił się osiłek o nazwisku Rubinek.

– Za to? – zapytał Balthassar. – Nie. Skoro byli na tyle głupi, że dali się przechytrzyć smarkaczowi, to krzyżyk na drogę. Oszczędzili mi zachodu. Nie, młody pan Sherlock nie doczeka wieczora, ale nie dlatego, że

przerzedził szeregi moich ludzi. Nie, on i jego przyjaciele umrą, ponieważ nie są mi do niczego potrzebni.

Na werandzie znów zapadła cisza.

– Zatem – zaczął cicho Balthassar po kilku minutach – skoro już wszyscy się sobie przedstawili, siedzicie wygodnie i przekąsilście co nieco, bądźcie łaskawi powiedzieć mi, ile władze wiedzą o moich projektach.

– My nic nie wiemy – odparł Sherlock.

– Mylisz się z dwóch powodów – odparł Balthassar. – Po pierwsze, to jasne, że coś wiecie, ponieważ udało wam się pokrzyżować mi plany i zabić dwóch moich ludzi. Dzieci zwykle nie mieszają się w coś tak poważnego, a jeśli nawet, to szybko się wycofują. Ty, jak rozumiem, pojawiłeś się po raz pierwszy w domu w Anglii, gdzie pan Booth... przebywał pod naszą opieką. Tam w każdym razie po raz pierwszy zobaczyli cię pan Ives i doktor Berle. Pytanie brzmi przede wszystkim: skąd się tam wzięłeś? Znalazłeś się tam przypadkiem czy szukałeś pana Bootha?

Sherlock otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Balthassar dał mu znak, żeby się nie odzywał.

– Po drugie – ciągnął tym samym miłym, spokojnym głosem – nie ma znaczenia, co wiecie. Ta kwestia mnie nie interesuje. Mam tu was wszystkich i żadne z was nie ucieknie. Za kilka godzin wszyscy zginiecie, a wasza wiedza przypadnie razem z wami. Obiecuję. Nie, ważne jest tylko to, jak dużo wie ojciec dziewczyny, Amyus Crowe, i jak dużo wiedzą władze w Anglii i tutaj, w Ameryce. – Urwał i zwrócił porcelanową maskę w stronę Sherlocka. – Powiedz mi, i to zaraz, zanim stracę cierpliwość.

Mimo słońca prażącego z bezchmurnego nieba Sherlock poczuł na werandzie jakby zimny podmuch.

– I tak nas pan zabije – zaczął Sherlock ostrożnie – więc dlaczego mielibyśmy cokolwiek panu wyjaśniać? Przecież nie ocali nam to życia. Powiedział pan, że i tak zginieemy.

– Słuszna uwaga – uznał Balthassar. – Ten kraj zbudowano na handlu i negocjacjach. Znakomicie, w takim razie mam dla was propozycję.

Odwrócił porcelanową maskę w stronę Virginii.

– Proszę, wyciągnij rękę – rzekł.

Virginia zerknęła na Sherlocka z paniką w oczach. Nie wiedziała, co ma robić – posłuchać Balthassara czy go zignorować? Sherlock nie miał pojęcia, jakie konsekwencje mogłaby nieść każda z tych decyzji. Balthassar,

choć z pozoru miły, wydawał się balansować na cienkiej granicy między normalnością a szaleństwem.

– Jakie to nużące – stwierdził. – Panie Rubinek?

Rubinek wychylił się krzesła, złapał Virginie za nadgarstek i wyprostował jej ramię, tak żeby dłoń była skierowana ku Balthassarowi.

– Znakomicie – oznajmił Balthassar. Wyrzekł kilka gardłowych słów w nieznanym Sherlockowi języku.

Jedna z pum wstała i podeszła cicho do Virginii, skóra zwierzęcia przesuwiała się gładko po węzłach mięśni. Dziewczyna zastygła, nie śmiała nawet zaczerpnąć powietrza.

Puma otworzyła pysk i wyciągnęła szyję, aż dłoń Virginii znalazła się w jej paszczy. Rubinek puścił jej rękę i wrócił na krzesło. Wielki kot zamknął szczęki, zaciskając zęby na nadgarstku dziewczyny.

– A teraz stanie się jedno z dwojga – odezwał się Balthassar swobodnym tonem. – Albo powiesz mi to, co chcę wiedzieć, albo puma odgryzie dziewczynie rękę. – Porcelanowa maska miała obojętny wyraz, ale Sherlock wyczuwał pod jej gładką powierzchnią uśmiech zadowolenia. – Tak przy okazji, puma nazywa się Sherman. Ta druga ma na imię Grant<sup>8</sup>. Taki żarcik.

Virginia utkwiała wzrok w Sherlocku.

– Ja panu powiem – zaoferował Matty pospiesznie.

– Nie – odrzekł łagodnie Balthassar. – Chcę, żeby to panicz Sherlock mi powiedział. To on, jak sędzę, jest przywódcą waszej grupki. To on musi nauczyć się mnie bać. To jego trzeba wytresować. – Urwał na chwilę. – Widzisz, umrzeć można na różne sposoby. Strzał w głowę to metoda szybka i bezbolesna. Wykrwawienie się na śmierć jest powolne i sprawia ból. Nie możesz wybrać, czy umrzesz, czy nie. Ale możesz zdecydować, jak umrzesz: szybko czy wolno, w męczarniach czy spokojnie.

– Dobrze – zgodził się Sherlock, czując, jak serce łomocze mu w piersi. – Proszę zabrać pumę, a wtedy odpowiem na pańskie pytania.

– Nie – stwierdził Balthassar. – Odpowiedz na pytania, a ja zabiorę pumę.

Napięcie w powietrzu było niemal widoczne. Sherlock wiedział, że to próba sił. Problem polegał na tym, że Balthassar miał przewagę pod każdym względem.

– Władze wiedzą o Johnie Wilkesie Boocie – oznajmił. – Wiedzą, że nie zginął, że został przewieziony z Japonii do Anglii i że jest teraz w Ameryce.

Wie o tym rząd brytyjski i Agencja Pinkertona. Pewnie zawiadomią rząd amerykański. Ale nie wiedzą, co ma pan zamiar z nim zrobić.

– Dobrze – ocenił Balthassar. – Mów dalej.

– Nie ma nic więcej! – krzyknął Sherlock.

– Zawsze jest coś więcej. Na przykład: czy władze wiedzą coś o mnie?

– Nie.

– Więc trafiłeś do pociągu przez przypadek? Nie sądzę.

– Szliśmy za nimi. – Sherlock wskazał Berlego i Rubinka. – Chcieliśmy uratować Matty’ego.

– Czy w pociągu był z wami ktoś jeszcze? – Głos Balthassara był spokojny, ale bezlitosny.

– Nie. Tylko my.

– To bardzo zmyślne z waszej strony. – Balthassar urwał, Sherlock miał wrażenie, że zastanawia się, czy nie kazać Shermanowi i tak odgryźć ręki Virginii.

Sherlock nie śmiał się modlić. Żadna siła z zewnątrz nie mogła im teraz pomóc. Byli zupełnie sami, zdani na kaprys szaleńca.

To nasunęło mu pewien pomysł. Może mógłby to wykorzystać przeciwko człowiekowi w porcelanowej masce.

Balthassar wydał krótki rozkaz, a wtedy puma niechętnie cofnęła łeb, tak że jej zęby nie wbijały się już w rękę Virginii. Całe jej ciało zwiotczało. Puma patrzyła przez chwilę na dziewczynę, po czym odeszła cicho i stanęła u boku Balthassara.

– Mam pytanie – powiedział Sherlock.

Balthassar spojrział na niego czerwono-czarnymi oczami zza maski.

– Nie rozumiesz zasad? To ja zadaję pytania, ty na nie odpowiadasz, co zapewni ci szybką i bezbolesną śmierć. Taka była umowa.

– Ale mamy na to tylko pańskie słowo – zauważył Sherlock. – Myślę, że zamierza pan wydobyć od nas wszystkie odpowiedzi, a potem i tak nas torturować, bo sprawi to panu przyjemność. W takim razie nic nie zyskamy, współpracując, może jedynie nieco opóźnimy początek tortur.

Balthassar namyślał się przez chwilę.

– Logiczna analiza – uznał w końcu. – Macie tylko moje słowo, a nie wiecie, ile ono jest warte. Jaka jest twoja kontrpropozycja?

– Uwierzymy pańskiemu słowu – powiedział Sherlock – jeśli pan także odpowie na nasze pytania.

– Interesujące – zastanawiał się Balthassar. – Nic nie tracę na takim układzie, a zyskuję więcej informacji. Z drugiej strony, wy też nic nie tracicie, ponieważ i tak to ja zadecyduję, jak zginiecie, ale zyskujecie informacje, a na tym najwyraźniej wam zależy. Więc dobrze, zgadzam się. Pytajcie.

– Do czego jest panu potrzebny John Wilkes Booth? – zapytał Sherlock. – Dlaczego fakt, że żyje i przebywa tu, w Ameryce, jest tak ważny, że ludzie muszą zginąć, aby to zostało utrzymane w tajemnicy?

– Och – powiedział spokojnie Balthassar – ludzie umierają z różnych przyczyn, w większości mało ważnych. Ale podoba mi się pan, panie Holmes. Ma pan charakter. Więc panu powiem. – Zerknął na Berlego i Rubinka. – Ostatecznie, oni i tak nie rozumieją. Zależy im tylko na pieniądzach.

– Jak to... – wtrącił się Berle, lecz umilkł pod spojrzeniem Balthassara.

– Jesteś Brytyjczykiem, ale chyba musiałeś słyszeć o wojnie secesyjnej – zaczął Balthassar.

Sherlock skinął głową.

– Mój brat mówił, że chodziło o niewolnictwo. – Spojrzał na Virginie. – A jej ojciec powiedział, że to trochę bardziej skomplikowane.

– Jej ojciec miał rację. Ostatecznie chodziło o tożsamość. Osiem lat temu mieliśmy wybory, w których Partia Republikańska, pod wodzą Abrahama Lincolna, oparła swoją kampanię na postulacie, żeby niewolnictwo nie rozprzestrzeniało się poza stanami, w których już istnieje. Lincoln wygrał wybory, a w efekcie jeszcze zanim objął urząd, siedem południowych stanów ogłosiło secesję: Karolina Południowa, Missisipi, Floryda, Alabama, Georgia, Luizjana i Teksas. Stworzyły nowy kraj, Skonfederowane Stany Ameryki, z Jeffersonem Davisem jako prezydentem. Po dwóch miesiącach dołączyły do nich Wirginia, Arkansas, Karolina Północna i Tennessee.

– Co to jest „secesja”? – zapytał Matty.

– Secesja – wyjaśnił Balthassar – jest wtedy, kiedy jakiś stan wycofuje się z Unii i wybiera autonomię. My uważamy, że prawo do secesji zostało zagwarantowane w Deklaracji Niepodległości, ale zarówno odchodzący rząd Jamesa Buchanana, jak i nowy rząd Abrahama Lincolna nie zgodziły się z tym. Uznano to za bunt i ogłoszono, że to bezprawne. – Westchnął. – W ostatecznym rozrachunku nie ma znaczenia, czy sądzisz, że można mieć niewolników, czy nie. Walczyliśmy o prawo do stworzenia własnego narodu, osobnego od tego, któremu przewodził Lincoln, i życia zgodnie ze

swoimi przekonaniami. Nawet gdyby nie było problemu niewolnictwa, znalazłby się inny powód.

– Ale przegraliście – zauważył Sherlock. – Ulysses S. Grant i William Sherman pokonali Roberta E. Lee w bitwie. Poddał się.

– Nie miał prawa się poddać – warknął Balthassar. – Nie dysponował taką władzą. Wojna trwa, chociaż uznano, że się zakończyła. Konfederacyjny rząd na wygnaniu wciąż chce wyzwolić spod ucisku Unii te stany, które tego pragną.

Uwagę Sherlocka odwrócił ruch ręki Balthassara. A właściwie nie jego ręki, zdał sobie sprawę Sherlock, tylko czegoś na niej. Materiał białej rękawiczki na lewej dłoni napinał się lekko, tam gdzie znajdował się jeden z guzów, które Sherlock zobaczył wcześniej. Kiedy się przyglądał, wypukłość zdawała się poruszać, pełznąć w kierunku nadgarstka. Co to było, na miłość boską?

– A – powiedział Balthassar, dostrzegając pełen zgrozy wzrok Sherlocka – widzę, że zauważyłeś jednego z moich małych towarzyszy. Pozwól, że was sobie przedstawię.

Sięgnął prawą dłonią do lewej i mocnym, ostrożnym ruchem zdjął rękawiczkę.

Virginia wciągnęła powietrze, a Matty wydał dźwięk odrazy.

Dłoń – pozbawioną małego palca – i nadgarstek Balthassara pokrywało coś, co przez chwilę wyglądało jak wrzody, ale Sherlock zorientował się, że to żywe stworzenia, coś jak ślimaki. Miały czerwonawo-szarą skórę i lekko pulsowały.

– Co to takiego? – wyszeptał.

Balthassar zdjął drugą rękawiczkę. Jego prawa dłoń – u której brakowało palca serdecznego – była również pokryta podobnymi do ślimaków stworzeniami.

– Poznaj moich lekarzy – powiedział. – Cały zespół medyczny, który dba o moje zdrowie.

Prawą dłonią odpiął haczyk za lewym uchem i jednym szybkim gestem zdjął porcelanową maskę.

Pumy zasyczały i próbowały się cofnąć.

Twarz Balthassara była wychudła, o wystającym nosie i kościach policzkowych. Rysów prawie nie dało się jednak dostrzec spod małych, miękkich stworzeń, które przywarły niczym krople smoły do jego bladej skóry.



## ROZDZIAŁ 14



Virginia wydała zdławiony dźwięk, jakby usiłowała powstrzymać mdłości. Matty powiedział jedno słowo, które wyrażało, jak bardzo jest wstrząśnięty. Sherlock przypuszczał, że nauczył się go podczas swoich podróży kanałami.

Sam był zafascynowany. Pełen odrazy, ale głównie zafascynowany. Kiedy przyjrzał się bliżej, dostrzegł, że twarz Balthassara pokrywają małe trójkątne blizny. Czymkolwiek były stworzenia, które przywarły do jego twarzy, musiał używać ich od pewnego czasu.

– Trudno nazwać to obliczem nowego kraju – powiedział Sherlock, starając się ukryć swoje uczucia. – Teraz rozumiem, dlaczego musi pan nosić maskę.

– Wszelkie zabiegi medyczne mają skutki uboczne – stwierdził cicho Balthassar. – Rtęć, stosowana do leczenia syfilisu, powoduje szaleństwo. I tak mam szczęście, że w moim przypadku skutki uboczne są wyłącznie kosmetyczne.

– Ale co to za stworzenia? – wyszeptał Matty.

Odpowiedziała mu Virginia.

– To pijawki – wyjaśniła. – One piją krew. Żyją w strumieniach i sadzawkach w ciepłym klimacie.

– Pijawki – powtórzył Matty. – I pozwala im pan pić swoją krew? Pan jest szalony!

– Ale przynajmniej żyję – odparł niewzruszony Balthassar. – Moja rodzina cierpi na pewną dziedziczną chorobę. Umarł na nią mój ojciec i jego ojciec także. Krew płynie zbyt ospale w naszych żyłach. Bez kuracji nasze ciała powoli by się obumierały, kawałek po kawałku. – Podniósł rękę i spojrzął na miejsce, gdzie brakowało palca. – Kiedy mój ojciec umierał, niewiele z niego zostało.

– A pijawki na to pomagają? – zapytał zafascynowany Sherlock.

– W ich ślinie jest substancja zapobiegająca krzepnięciu. Inaczej nie mogłyby się najeść. Kiedy do mojej skóry jest przystawiona wystarczająca liczba pijawek i wszystkie ssą, wydzielając tę substancję, krew szybciej krąży mi w żyłach.

– Ale one przecież wysysają pańską krew? – zapytał Matty.

Balthassar wzruszył ramionami.

– Każda wypija naparstek. To niewielka cena za zdrowie, więc im nie żałuję. Co przypomina mi... – Odwrócił się do doktora Berlego. – Jak sądzę, przywiózł pan coś dla mnie?

Berle miał niespokojną minę. Wziął skrzynkę, którą trzymał na kolanach, i postawił ją na stole, po czym rozpiął zatrzask i otworzył pokrywę. Ze środka wyjął słoik przykryty woskowanym papierem obwiązany sznurkiem.

W słoiku znajdowało się coś przerażającego.

Pijawki na twarzy i rękach – i zapewne na całym ciele Duke’a Balthassara – były drobne, niewiele większe od małego palca Sherlocka. Ta w słoiku miała natomiast wielkość jego zaciśniętej pięści i była jaskrawoczerwona. Leżała zwinięta na dnie słoja, a jej główka chwiała się na oślep, szukając oparcia.

Virginia przycisnęła dłoń do ust i się odwróciła. Pумы, leżące w pobliżu na werandzie, usiłowały cofnąć się jeszcze dalej. Odstłoniły zęby, wzrok miały dziki i przerażony, ale strach przed Balthassarem był najwyraźniej większy niż strach przed pijawkami, więc nie próbowały uciekać.

– Imponujący okaz – powiedział Balthassar, biorąc słoik ze stołu. – Kiedy ostatnio jadła?

– Mniej więcej miesiąc temu – odparł Berle. – Tak przynajmniej mi mówiono. – Urwał i przełknął, a następnie mówił dalej. – Jako lekarz – pański lekarz – muszę ostrzec pana, że ta... kuracja... nie zalecałbym jej. Właściwie nie jestem nawet przekonany, czy działa. To, co pan robi ze swoim ciałem, jest potworne.

– Ale wciąż żyję, doktorze, i nadal zachowałem wszystkie kończyny, oprócz kilku palców u rąk i nóg – odparł Balthassar. – To dla mnie wystarczający dowód. – Pociągnął za koniec sznurka i rozwiązał węzeł przytrzymujący papier na słoiku. – A dzięki temu wspaniałemu stworzeniu będę mógł myśleć jeszcze jaśniej i zyskam niewyczerpaną wytrzymałość.

Sięgnął do słoika i ostrożnie wyjął pijawkę. Zwisiała bezwładnie z jego palców. Odgarnął z twarzy pasmo jasnych włosów, a później umieścił pasożyta za prawym uchem.

Pumy zamiauczały. Były przerażone.

Sherlock patrzył, jak głowa pijawki porusza się w różnych kierunkach, zapewne w poszukiwaniu żyły, po czym przywiera do skóry Balthassara. Jej drugi koniec także wił się przez chwilę, a potem przyczepił się mocno.

Balthassar przymknął oczy i uśmiechnął się błogo.

– O tak – wyszeptał. – Właśnie tak, moja śliczna. Jedz.

– Jak... na jak długo one się przyczepiają? – zapytał Sherlock.

– Na kilka dni – odparł sennie Balthassar, z wciąż przymkniętymi oczami. – Czasem na całe tygodnie. Kiedy już się napiją, odczepiają się i hibernują przez miesiąc czy dwa, podczas których trawią wciąż płynną krew. Posiadam dużą kolekcję pijawek: większość z Ameryki, z Florydy i Alabamy, ale takiej jeszcze nie miałem. O nie, takiej nie. – Uśmiechnął się. – Wiedziałem, że tam jest, w dżunglach Dalekiego Wschodu. Czułem jej obecność. Wzywała mnie, żebym po nią przyszedł i ją zabrał.

W jego głosie brzmiało coś, co przypomniało Sherlockowi Johna Wilkesa Bootha, kiedy mówił, że czuje dym – był senny, niezupełnie skupiony na rzeczywistości. Czy pijawka wpuszczała do jego krwiobiegu coś poza substancją zapobiegającą krzepnięciu krwi, jakiś narkotyk, pod wpływem którego ofiary przestawały przejmować się tym, że przyczepił się do nich pasożyt, i który wywoływał przyjemne, halucynacyjne wizje? Postanowił zapamiętać tę myśl na później – jeśli nadejdzie jakieś później. Wciąż nie miał pomysłu, jak wszyscy troje mają się stąd wydostać.

Uwagę Sherlocka przyciągnął ruch przy stopach Balthassara. Pumy odsunęły się od niego. Wpatrywały się w ogromną czerwoną pijawkę, która wyraźnie im się nie podobała. Bały się jej.

– Sherman, Grant – zasyczał Balthassar, a potem powiedział coś, czego Sherlock nie zrozumiał. Wielkie koty zatrzymały się, ale mięśnie miały wciąż napięte.

Olbrzymia pijawka pulsowała, napelniając się krwią Balthassara, wysysaną z żyły za jego prawym uchem.

– Tracisz czas – zauważył Balthassar. – Masz jeszcze jakieś pytania?

Sherlock starał się skupić się na czym innym niż pijawka.

– Stwierdził pan: „konfederacyjny rząd na wygnaniu wciąż chce wyzwolić spod ucisku Unii te stany, które tego pragną” – zacytował.

– W rzeczy samej.

– Ale jak? – zapytał Sherlock.

– Spróbuj zgadnąć. Powiem ci, jeśli będziesz miał rację. – Sherlock otworzył usta, by zaprotestować, a Balthassar dodał: – W ten sposób dowiem się czegoś więcej. Jeśli ty się domyślisz, biorąc pod uwagę to, co wiesz o panu Boocie, to władze niewątpliwie także do tego dojdą. Obiecuję, że jeśli sam na to nie wpadniesz, podam ci odpowiedź.

Sherlock zastanowił się przez chwilę. Im dłużej Balthassar będzie mówił, tym bardziej zyskają na czasie. Może uda mu się tymczasem wymyślić jakiś sposób ucieczki. A może Amyus Crowe ich znajdzie.

– A więc – zaczął – John Wilkes Booth popadł w obłąd. Albo ma halucynacje, albo jest agresywny i musi cały czas zażywać leki, żeby można go było przewozić. Nie nadaje się na zamachowca ani do żadnej innej roli oprócz figuranta. Potrzebuje go pan więc wyłącznie jako kogoś, wokół kogo można zebrać ludzi, kogoś, kogo można wtoczyć na scenę, żeby obudzić ducha w swoich szeregach.

Balthassar skinął głową, ale słowo „szeregi” nasunęło Sherlockowi pewien pomysł, choć było tylko metaforą.

– Pan gromadzi ludzi – ciągnął. – Nie ma sposobu, żeby zdołał pan obalić obecny rząd albo nawet doprowadzić do secesji środkami politycznymi. Już pan próbował i poniósł klęskę. Pan chce stworzyć armię, prawda? Dlatego potrzebuje pan Booth’a – żeby podnieść morale żołnierzy. Pokazać swoim ludziom, że między wojną secesyjną a tym, co pan robi teraz, istnieje bezpośredni związek.

Balthassar znów skinął głową.

– Mów dalej.

– Ale nie wyobrażam sobie, żeby udało się panu zebrać armię dość wielką, by stanąć do walki z armią Unii. Nie po tym, jak ostatni raz pan przegrał. Potrzebuje pan żołnierzy w jakimś innym celu. – Myślał gorączkowo. – Ale jakim? Jeśli ta armia nie będzie walczyć na amerykańskiej ziemi, zapewne ma w planach inwazję na jakiś inny kraj. – Starał się przypomnieć sobie mapy, którym się przyglądał na SS „Scotia”. – Meksyk? – zapytał.

Balthassar potrząsnął głową.

– Idziesz dobrym tropem, ale nie zgadłeś. Już podjęto taką próbę, kilka lat temu, plan jednak upadł z powodu braku wsparcia. A poza tym

w Meksyku jest gorąco i sucho i ten kraj ma swoją regularną armię, która stawiałaby nam opór.

– W takim razie jakie inne miejsce? – zapytał Sherlock, lecz w tym samym momencie odpowiedź pojawiła się w jego głowie. – Jeśli ma pan wojsko, musi być też granica lądowa, którą mogłoby ono przekroczyć – powiedział. – Stany Zjednoczone mają tylko dwie granice lądowe: jedną z Meksykiem, a drugą z... Kanadą?

Balthassar skinął głową.

– Nieźle kombinujesz. Tak, zebraliśmy armię, która stacjonuje niedaleko stąd, liczy tysiące ludzi. Przedostawali się tu przez wiele miesięcy, krok za krokiem, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Z Johnem Wilkesem Boothem jako symbolicznym przywódcą – naszą maskotką, jeśli wolisz – pomaszujemy, żeby zająć port w Halifaksie, tak aby Brytyjczycy nie mogli dostać posiłków, a potem przerwiemy komunikację między Kanadą Wschodnią a Zachodnią, zdobywając Winnipeg. Następnie możemy ruszyć przez kraj i zająć Quebec oraz rejon Wielkich Jezior. A kiedy nasz plan się powiedzie, stworzymy nowy naród, a podobnie myślący konfederaci będą mogli do nas dołączyć i mieć niewolników, zgodnie z wolą bożą.

– Ale dlaczego Kanada? – zapytał Sherlock.

– Dobra ziemia uprawna, umiarkowany klimat – w każdym razie w pobliżu granicy z Ameryką – doskonałe porty handlowe, brak armii, która byłaby w stanie powstrzymać nasz najazd, i oczywiście jest to terytorium brytyjskie, niedawno zjednoczone. A Brytania odmówiła nam pomocy w walce przeciwko Unii.

– Rząd brytyjski nigdy nie odda Kanady – powiedział Sherlock, myśląc o Mycroftcie.

– Pewnie w ogóle nie będą sobie zawracać tym głowy – odparł drwiąco Balthassar. – Zastanów się tylko, jak skomplikowanym przedsięwzięciem byłoby przewiezienie ich armii na odległość trzech tysięcy mil, zwłaszcza gdy my zyskamy mieli kontrolę nad portami. Nie, nastąpi kilka lat politycznego biadolenia, ale to my przejmujemy władzę w Kanadzie.

– Z panem jako prezydentem? – zapytał Sherlock. – Człowiekiem w porcelanowej masce?

Balthassar gwałtownie poruszył głową. Słowa Sherlocka trafiły w czuły punkt.

– Może zostanie nim John Wilkes Booth – stwierdził lakonicznie. – Oczywiście przy odpowiednim wsparciu i lekach. Albo nawet generał

Robert E. Lee. Jest mnóstwo kandydatów. Ale to ja będę szarą eminencją.

Nagły ruch sprawił, że jedna z mniejszych pijawek oderwała się od jego twarzy i z cichym plaśnięciem spadła na stół. Balthassar spojrzał na nią.

– Staruszka – powiedział. – Jedna z najstarszych moich pomocniczek. Czas na emeryturę, przyjaciółko.

Wziął ją z obrusa, wrzucił sobie do ust i przełknął, jakby zjadał ostrygę.

Sherlock zauważył, że pijawka zostawiła na obrusie czerwoną smugę. Skupił na niej wzrok. Czuł, że zwymiotuje, jeśli nie skoncentruje na czymś uwagi. Na cymkolwiek.

– Muszę przyznać – odezwał się Balthassar swoim słabym, szeleszczącym głosem, delikatnie zakładając porcelanową maskę z powrotem na poznaczoną bliznami, pełną pijawek twarz – że z niezwykłą przenikliwością przewidziałeś moje plany na podstawie zaledwie kilku oderwanych faktów. Albo to moje plany są dużo łatwiejsze do rozszyfrowania, niż myślałem. W każdym razie, nie mogę tracić czasu. Jeśli ty – zwykły dzieciak – zdołałeś je odgadnąć, z pewnością rząd Unii może zrobić to samo. Sądzę, że nasza inwazja na Kanadę powinna się zacząć w ciągu kilku dni. Dziękuję za pomoc.

– A co z nami? – zapytała Virginia. Sherlock był dumny z tego, jak doskonale panowała nad głosem.

– Och, teraz już nie jesteście mi potrzebni – powiedział Balthassar. W jego głosie nie było ani śladu gniewu czy żądzы zemsty. W ogóle brzmiał niemal zupełnie beznamiętnie. Równie dobrze mógłby rozmawiać o cenie herbaty. – Pozbędę się was.

– Jak? – zapytał Sherlock.

– Ach. – Porcelanowa twarz Balthassara pozostała zupełnie obojętna. – Tutaj, przyznam się, wprowadziłem cię w błąd. Zaplanowałem dla was koniec, który rozwiąże mi za jednym zamachem trzy osobne problemy, ale wiąże się z nim sporo udręki i cierpienia. – Skinął na potężnego Rubinka. – Kapitanie, zabierz naszych gości do nowej zagrody. Trzeba nakarmić moje najnowsze nabytki. – Odwrócił się do Sherlocka. – Moi łowcy rzadkich i niezwykłych stworzeń zadbali o to, by się najadły, zanim zostały schwytane – powiedział tonem pogawędki – i strawienie pokarmu zajmuje im kilka tygodni, podczas których pozostają niemal w stanie śpiączki, ale przebyły długą drogę z Borneo i z ich obecnego zachowania można wysnuć wniosek, że znów są głodne. – Urwał. Sherlock podejrzewał, że uśmiecha się pod maską. – Spodziewam się, że kiedy wystawimy je na pokaz,

przyciągną wielkie tłumy. Jeśli je wami nakarmię, zarazem pozbędę się was i waszych ciał i zapewnię moim ulubieńcom źródło dobrej jakości mięsa, które na jakiś czas je zaspokoi. – Umilkł na chwilę. – Jak mi powiedziano, wciągają jedzenie pod wodę i upychają między kamieniami, czekając, aż skruszeje. Będziemy z przyjemnością obserwować ten proces.

Zanim Sherlock zdążył cokolwiek powiedzieć, na znak Rubinka jeszcze dwóch ludzi wynurzyło się z cienia. Wszyscy trzej wzięli Sherlocka, Matty'ego i Virginie za ramiona, brutalnie zmusili ich, by wstali, i popchnęli wzdłuż werandy.

Sherlocka ogarnęła rozpacz. Mimo wszystko zanosilo się na to, że zginą wyjątkowo paskudną i bolesną śmiercią. Nie wiedział, czym okażą się ostatnie „nabytki” Balthassara, ale wątpił, by sprawił sobie stworzenia tak nieszkodliwe jak wiewiórki czy papugi. Czymkolwiek były, na pewno były duże i miały ostre zęby. Znów pумы? Nie, te mógł schwytać w Ameryce, nie musiałby wysyłać po nie łowców do dalekich krajów.

Kiedy tak szli, popychani przez strażników, przez werandę, złapał na chwilę spojrzenie Matty'ego. Jego kumpel wyraźnie się bał, ale uśmiechnął się krótko do Sherlocka.

Zeszli z werandy na ubitą ziemię, a potem poprowadzono ich na teren, gdzie umieszczono klatki, wybiegi i zagrody, które Sherlock widział z pociągu. Zmierzali chyba w kierunku otoczonej murem zagrody stojącej nieco z boku. Mur wyglądał na niedawno postawiony. Z jednej strony znajdował się pomost, z którego można było zaglądać do środka. Na pomost prowadziły schodki. Sherlock zadygotał, kiedy zobaczył, że wystaje z niego długa deska kończąca się nad zagrodą.

Osobne schodki biegły na dół, w ciemność. Sherlock zastanawiał się przez chwilę, co mieszka tam na dole, ale jego rozmyślenia zostały przerwane, kiedy Rubinek popchnął go na schodki wiodące na pomost. Jego dwaj towarzysze prowadzili za nimi Matty'ego i Virginie.

Sherlock mógł już zajrzeć do wnętrza zagrody. Stąd wyglądała raczej jak jama. Teren w środku był skalisty i nierówny, z roślinami wyrastającymi pomiędzy kamieniami i sadzawką pełną mętnej wody, która zajmowała mniej więcej jedną trzecią powierzchni. Nie pokazało się żadne żywe stworzenie, ale Sherlocka jakoś to nie pocieszyło.

Rubinek poprowadził chłopca na początek deski. Dwaj pozostali trzymali Matty'ego i Virginie kilka stóp dalej.

– No już – powiedział. – Wiesz, co masz robić.

– A jeśli nie? – zapytał Sherlock.

Rubinek podniósł rękę. Trzymał w niej mały pistolet, niewiele większy od dłoni, z dwoma lufami, jedną nad drugą.

– Temu, co tam mieszka, nie sprawi różnicy, czy będziesz żywy, czy martwy – oznajmił Rubinek. – Mnie też nie.

Sherlock spojrział w kierunku domu. Spodziewał się, że Balthassar pójdzie z nimi, by obserwować egzekucję z pomostu, ale wysoki mężczyzna w białym garniturze wciąż siedział na werandzie. Przyglądał się mapie, którą rozłożył na stole. Sprawiał wrażenie, jakby już zapomniał o Sherlocku i jego przyjaciółach.

Sherlock niechętnie zbliżył się do końca deski. Ugięła się pod jego ciężarem. Od kamienistego podłoża zagrody dzieliły go jakieś trzy metry.

– Skacz! – rozkazał Rubinek. Ponieważ Sherlock wydawał się słuchać jego rozkazów, wsunął mały rewolwer z powrotem do kieszeni marynarki.

– Połamie sobie nogi! – zaprotestował Sherlock. – Tam na dole są kamienie!

– No to co? – Mężczyzna poklepał się po kieszeni. Groźba była jasna.

Sherlock spojrział w głąb zagrody, potem na Virginie, po czym zrobił dwa kroki w tył, wziął rozbieg i skoczył.

Wykorzystał sprężystość deski, żeby odbić się od niej nieco w bok, ku sadzawce. Trafił i wpadł do wody, wzbijając fontannę. Woda była nagrzana słońcem, ale natychmiast popłynął do brzegu, żeby nie zdążyło go dopaść to coś, co w niej mieszkało. Mokry wspiał się na skały i rozejrzał dookoła. Nic. Żadne stworzenie się nie pojawiło.

Spojrział w górę na pomost. Virginia z przerażoną miną stała na końcu deski. Matty właśnie wchodził na trampolinę, ale potknął się i upadł na kapitana Rubinka, który brutalnie wepchnął go na nią z powrotem.

Sherlock rozejrzał się szybko, na wypadek gdyby coś się do niego podkradało. Usłyszał plusk, potem kolejny – to Virginia i Matty zeskoczyli do zagrody. Kiedy plując wodą, wypłynęli na powierzchnię, pomógł im się wydostać na skały.

– Jakie zwierzę tutaj mieszka? – zapytał zdyszany Matty.

– Nie jestem pewien – odparł Sherlock, wciąż rozglądając się dookoła. Rubinek i jego ludzie schodzili z pomostu. Cokolwiek miało się wydarzyć w zagrodzie, najwyraźniej nie stanowiło dla nich ciekawego widowiska.

– Nie pilnują nas – zauważyła Virginia. – Mamy szansę uciec.



– Ściany są za wysokie, żeby się na nie wspiąć – powiedział z powątpiewaniem Matty.

Sherlock przyglądał się otoczeniu.

– Jest tu trochę kamieni. Może damy radę ułożyć je w stos i wspiąć się po nich na mur. – Zastanowił się. – Nie, to zły pomysł. Mogliby zobaczyć nas z domu, jak wychodzimy. Musimy znaleźć taką drogę wyjścia, żeby nas nie zauważyli.

Z drugiego końca zagrody dobiegł ich odgłos skrobania. Sherlock spojrział tam, czując, jak łomocze mu serce. Co znajdowało się w zagrodzie razem z nimi?

Przez chwilę nic nie widział, ale potem pomiędzy dwóch kamieni wyłonił się koszmarny łeb. Był wąski i długi, z małymi oczkami po bokach. Skóra stworzenia miała szarzielony odcień, a jej fałdy zwisały z długiej szczęki. Zwierzę otworzyło pysk, wystawiając szybkim ruchem rozdwojony czerwony język, ale w środku Sherlock dostrzegł rząd straszliwych zębów wielkości swego małego palca, wygiętych do wewnątrz, tak żeby ofiara nie mogła się z nich wydostać.

Matty wciągnął powietrze, a Virginii wyrwał się zdławiony jęk.

– Co to takiego? – wyszeptał Matty.

Stworzenie wyszło na otwartą przestrzeń. Jego ciało było rozmiarów Sherlocka, ale połowę stanowił długi, muskularny ogon. Szło na czterech łapach rozstawionych na boki. Łapy kończyły mu się pazurami, które przesuwały się szybko po kamieniach. Szarzielona skóra sprawiała wrażenie za dużej, zwisała luźno i kołysała się, kiedy zwierzę się poruszało.

Nawet z tej odległości Sherlock widział, że w tych oczach nie było emocji: tylko zimna, głodna inteligencja.

– To jakiś rodzaj gada – powiedział. – Ale strasznie wielki. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego.

– Jest tak duży jak my – wyszeptała Virginia. – Myślałam, że to może być aligator – podobno żyją u nas na Florydzie – ale to coś innego. Aligatory są powolne i głupie, i nie lubią wychodzić na ląd, a to coś wydaje się szybkie i inteligentne i bez problemu chodzi po skałach.

Sherlock spojrział na łapy zwierzęcia.

– Te pazury wyglądają, jakby umiało wspinać się po drzewach – zauważył. – Tylko że tu nie ma drzew.

Zwierzę stanęło na płaskim kamieniu i patrzyło na nich, szybkimi ruchami wysuwając język. Wiedziało, że w pobliżu jest jedzenie.

Z boku coś się poruszyło. Sherlock zerknął w tamtą stronę. Z innej dziury między kamieniami wyłoniło się drugie zwierzę, jeszcze większe niż pierwsze.

– Patrzcie! – zawołała ostrzegawczo Virginia. Przez chwilę Sherlock sądził, że ona też zobaczyła drugie stworzenie, ale okazało się, że patrzy w inną stronę. Spojrzał tam, gdzie wskazywała palcem. Trzeci jaszczur szedł ku nim wzdłuż ściany i przyglądał się im, kiwając głową.

Pierwsze zwierzę poszło w innym kierunku, ale drugie ruszyło w ich stronę, kołysząc całym ciałem, gdy jego pazury znajdowały oparcie na ziemi.

Wszystkie trzy najwyraźniej działały razem, jak psy. Chciały osaczyć Sherlocka, Matty'ego i Virginie, tak by nie zostawić im drogi ucieczki.

Sherlock myślał gorączkowo. Biorąc pod uwagę wielkość zwierząt, ich olbrzymie i ostre zęby, były z pewnością mięsożerne, a poruszały się tak, jakby czuły wielki głód i wiedziały, że w zagrodzie jest jedzenie. Nie wydawały się nieufne ani ostrożne, tak jak czasem psy. Sherlock czuł, że nie da się ich przestraszyć. Ich mózgi po prostu działały inaczej. Będą podchodzić, niezależnie od tego, co robi Sherlock czy pozostali. Nie zatrzyma ich ani hałas, ani gwałtowne ruchy. Nie pomoże też rzucanie kamieniami. To były wyrachowane maszyny do zabijania.

Potworne stworzenia zbliżały się coraz bardziej, ze wszystkich stron. Sherlock, Matty i Virginia cofnęli się pod ścianę. Przerazająco inteligentne gady odcinały im drogę ucieczki.

– Co tak śmierdzi? – zapytał Matty, krzywiąc się. Sherlock też go czuł: coś jakby gnijące mięso. Jeśli te stworzenia naprawdę połykają swoje ofiary w całości, a potem tygodniami je trawia, to być może one wydzielają ten odór.

– Sherlocku – odezwała się Virginia sztucznie opanowanym głosem – co robimy?

– Myślę – odparł Sherlock, i to była prawda. Myślał tak szybko jak jeszcze nigdy w życiu.

Zwierzę po ich prawej stronie podeszło kilka kroków bliżej. Matty schylił się i podniósł kamień. Wysokim łukiem rzucił go w stronę stworzenia. Gdy kamień uderzył w ścianę obok niego, nawet nie drgnęło. Żadnego strachu, niepokoju, nic. Po prostu miało to w nosie. Po kilku sekundach zrobiło jeszcze dwa kroki na rozstawionych łapach.

Zwierzę po lewej zasyczało i uniosło łeb, wężąc. Dwa pozostałe też zasyczały. Sherlock nie był pewien, czy porozumiewają się ze sobą, czy też chcą, żeby ich ofiary zastygły w przerażeniu.

Odległość między gadami a ich trojgiem zmniejszyła się o połowę, a zwierzęta wciąż się zbliżały małymi krokami. Bez pośpiechu, bez gwałtownego ataku, tylko stopniowe, inteligentne osaczenie ofiary, tak żeby zaraz spokojnie ją zjeść.

A Sherlock nie mógł wymyślić żadnego sposobu, żeby je powstrzymać.

## ROZDZIAŁ 15



– A woda? – wyszeptał Matty, tak jakby gady mogły go usłyszeć i zrozumieć.  
– Czy nie możemy wejść do sadzawki i przeczekać?

– Myślę, że to zwierzęta wodno-łądowe – stwierdził Sherlock. – Spójrz na te łapy. Mają błonę między palcami. Pływają pewnie lepiej niż my.

– Ja nie umiem pływać – odezwała się nagle Virginia.

– Cofam to, co powiedziałem – oświadczył Sherlock. – One z pewnością pływają lepiej niż my. – Rozejrzał się z desperacją, mając nadzieję, że w pobliżu leży może coś, co mogłoby im pomóc, ale w zagrodzie nie było nic oprócz skał i krzaków.

Jaszczury podchodziły coraz bliżej, a odór zgniłego mięsa stawał się niemal nie do zniesienia.

– Och, nie wiem, czy to się na coś przyda – zaczął Matty – ale wyjąłem to z kieszeni tego gościa.

Sherlock odwrócił się i zobaczył, że Matty trzyma mały, dwulufowy pistolet.

– To remington derringer – oznajmiła Virginia. – Tata raz mi taki kupił, ale go zgubiłam.

– Jak ty, u diabła, mu to zabrałaś? – zapytał Sherlock.

Matty wzruszył ramionami.

– Mam własne źródła utrzymania – stwierdził. – A kradzieże kieszonkowe są jednym z nich.

Sherlock spojrzał na pistolet, na jaszczury i znów na pistolet.

– Dwie kule, trzy gady – powiedział. – Źle to wygląda.

– Ale zwiększa nasze szanse – uznała Virginia.

– Oznacza, że tylko jedno z nas zostanie zabite i zjedzone, a nie wszyscy troje, a takie rozwiązanie jest nie do przyjęcia.

– Masz lepszy pomysł? – zapytał Matty.

– Właściwie tak – odparł Sherlock. Przyglądał się ścianom zagrody. – Jak oni je tu wprowadzili? Przecież nie zrzucili ich z tej deski. Mogłoby im się coś stać, gdyby spadły.

– Myślisz, że jest tu jakaś furtka albo drzwi, albo coś w tym rodzaju? – zapytał Matty.

– To byłoby logiczne. Musimy tylko poszukać.

Przyjrzał się uważniej zbliżającym się gadom.

– Są wolniejsze od nas – stwierdził – ale bardziej wytrzymałe. – Spojrzał ponad głazami. – Zobaczcie, jeśli prędko będziemy się wspinać, damy radę przeskoczyć nad ich głowami i zostawić je za nami. A potem poszukamy wyjścia. One nie są szybkie.

Zanim Matty i Virginia zdołali go powstrzymać, pobiegł w kierunku jaszczurów. Trzy pyski pełne ostrych zębów otworzyły się i nagły syk niemal go ogłuszył. Bez zastanowienia wskoczył na jeden z kamieni, a z niego na większy głaz. Zachybotął mu pod stopami, a on wiedział, że jeśli się ześlizgnie, zwierzęta dopadną go w mgnieniu oka. Skoczył chwiejnie i zauważył, że jaszczury pod nim wspinają się na tylne łapy i wyciągają długie pyski z nadzieją, że złapią go za pięty.

Wylądował bezpiecznie na kawałku otwartej przestrzeni. Odwrócił się i zobaczył, że Virginia frunie w jego stronę. Złapał ją, gdy lądowała, i odciągnął na bok, żeby zrobić miejsce dla Matty'ego. Jaszczury kłapały paszczami, gdy skakał, a jeden z nich oparł się na muskularnym ogonie, żeby wybić się w powietrze, ale jego szczęki zamknęły się o ułamek sekundy za późno. Matty spadł na ziemię, potknął się i poturlał.

Bez okazywania jakichkolwiek emocji trzy jaszczury odwróciły się i znów zaczęły podchodzić, wpatrując się paciorkowatymi oczami w Sherlocka, Matty'ego i Virginie.

– Szybko! – zawołał Sherlock i ruszył w kierunku ściany otaczającej zagrodę. Po prawej stronie tkwił lity mur aż do ziemi, ale po lewej u jego podstawy leżały stosy kamieni. Pobiegł w tamtą stronę, sprawdzając, co jest za kamieniami. Na próżno! Kolejny kawałek otwartej przestrzeni, a później wielki krzak przesłaniający mur. Odgarnął go na bok i serce aż mu podskoczyło, gdy zobaczył sięgającą mu do pasa metalową kratę, z zawiasami po lewej stronie, zamykaną na prostą zasuwę.

Ale potem spostrzegł przy zasuwie wielką kłódkę.

Dotarł do niego Matty.

– Czy możesz przestrzelić taki duży zamek z pistoletu? – zapytał, wyciągając derringera.

Sherlock zastanowił się przez chwilę.

– Raczej nie – odparł. – Kłódka jest za gruba. Ołowiane kule pewnie się od niej odbiją.

– A zawiasy?

– Trzy zawiasy, dwie kule. Ten sam problem.

Dołączyła do nich Virginia i z niepokojem obejrzała się przez ramię.

– Chyba nie mamy zbyt wielkiego wyboru – stwierdziła.

Matty kopnął w kratę. Ledwo drgnęła.

W głowie Sherlocka kłębiły się sprzeczne myśli. Dwa wyjścia: zastrzelić jaszczury, z tym że jeden zostanie żywy, albo strzelać w zamek i być może zmarnować dwie kule. Co powinien zrobić?

Wśród tego zamętu cichy głosik w jego głowie zapytał: „Co powiedziałyby Mycroft? Albo Amyus Crowe?”. I tak samo jak w pociągu głosik odpowiedział: „Kiedy masz tylko dwa wyjścia i żadne ci się nie podoba, szukaj trzeciego”.

Spojrzał w kierunku sadzawki, do której skoczyli wszyscy troje, i nagle przypomniał sobie schody wiodące w dół, które zobaczył obok schodków na pomost. Nie prowadziły do kraty, bo za nią rozciągał się płaski teren. Musiały prowadzić gdzieś indziej. Sadzawka była po tej stronie zagrody, a Balthassar mówił wcześniej o przyglądaniu się, jak gady gromadzą jedzenie za kamieniami pod wodą. Może schody wiodły do podziemnego miejsca do obserwacji, sali z grubą szybą, przez którą Balthassar i jego goście mogli patrzeć, jak jaszczury pływają.

Ale jak stłuc to szkło – jeśli to w ogóle było szkło? Na pewno jest grube, żeby wytrzymało ciśnienie wody.

Musiał więc stworzyć takie ciśnienie, którego nie wytrzyma.

Wziął derringera z ręki Matty’ego. Dwa cyngle, co było sensowne, skoro broń miała dwie lufy, żeby można było strzelać osobno z każdej z nich. Spojrzał na lufy.

– Kiedyś używałaś takiego pistoletu – powiedział do Virginii. – Jak się go ładuje?

– Sypie się do lufy trochę prochu, a potem wciska ołowianą kulę owiniętą w papier<sup>9</sup> – wyjaśniła – uważając, żeby między kulą a prochem nie zostało powietrze. Potem na drugim końcu lufy umieszcza się kapiszon. Wtedy broń jest naładowana i gotowa do strzału.

– Kula owinięta w papier? – zapytał, przyglądając się uważnie lufom. – Aha, to daje szczelność.

– Woskowany papier. Dlaczego to takie ważne?

– Bo oznacza, że nie przepuszcza powietrza – oznajmił. – Przynajmniej przez jakiś czas. A jeśli powietrza, to również wody.

Zanim Virginia zdążyła coś powiedzieć, Sherlock odwrócił się i pobiegł w kierunku sadzawki, odbezpieczając oba kurki. Skoczył do wody, wyciągając ręce przed sobą, derringera trzymał w prawej. Woda zakryła go z głową: była ciepła, pełna drobinek kurzu i roślinności. Dźwięki nagle stały się przytłumione. Machał nogami, żeby dopłynąć do ściany pod pomostem.

A tam, dokładnie tak, jak wynikało z jego dedukcji, była szyba osadzona w metalowej ramie. Zanim woda zdążyła się nalać do derringera, przystawił go do tafli szkła.

I pociągnął za oba cyngle.

Gdzieś z tyłu głowy błąkał mu się fakt, o którym przeczytał kiedyś i który zapadł mu w pamięć: woda jest nieściśliwa. Niezależnie od tego, jak bardzo się ją ściśnie, nie staje się gęstsza. Wywierany nacisk przenosi się tylko gdzie indziej, na coś, z czym woda się styka.

Więc kiedy kurki u nasady luf uderzyły w kapiszony, zapalił się piorunian rtęci w środku. Na skutek tego siarka, węgiel i azotan potasu w czarnym prochu natychmiast się zapaliły, wytwarzając ogromną ilość gorącego gazu. Gaz wypchnął ołowiane pociski z luf, spalając po drodze papierowe łaty. Kule popchnęły wodę w lufach, a ta naparła na szkło.

Które popękało i rozsypało się na kawałki.

Cała zawartość sadzawki przelała się do podziemnej sali, porywając Sherlocka ze sobą. Na oślep dotarł do rogu pomieszczenia, gdzie powinny być schody, w nadziei, że Virginia i Matty zrozumieją, co zrobił, i pójdą za nim. Czy powinien był ich uprzedzić? Nie pomyślał o tym. Po prostu ruszył do akcji, kierując się swoimi domysłami, nie zastanawiając się nad tym, że tamci dwoje mogli ich nie pojąć.

Wstrzymywał oddech tak długo, że aż paliło go w płucach, a serce łomotało mu w klatce żeber. Rozpaczliwie machając rękami, płynął przez mętną wodę. Nagle poczuł, że kostkami palców ociera się o kamienną krawędź stopnia. Skierował się więc do góry i płynął ile sił.

Kiedy wystawił głowę nad wodę, która sięgała aż do progu drzwi wyjściowych, wziął kilka głębokich oddechów, czekając, aż serce przestanie

mu łomotać.

Obok niego z wody wynurzyła się nagle głowa Matty'ego. Zaraz za nim dotarła Virginia.

– Z ciebie to jest – wydyszał Matty – jakiś geniusz. – Nie wiem, co zrobiłeś, ale nas uratowałeś.

– Niezupełnie – zauważyła Virginia, również dysząc.

– Co masz na myśli? – zapytał Matty.

– Sherlock powiedział, że to zwierzęta wodno-łądowe.

Wszyscy troje patrzyli na siebie dłuższą chwilę, po czym szybko wydostali się z wody.

Schody wiodące do podziemnej sali i na pomost były niewidoczne z domu. Wszyscy troje usiedli na chwilę, żeby złapać oddech.

– I co teraz? – zapytał Matty. – Co robimy?

– Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to żeby pójść wzdłuż torów z powrotem do najbliższego miasta – odparł Sherlock. – Tam na pewno będzie telegraf. Wyślemy wiadomość do ojca Virginii. Musimy go zawiadomić o armii Balthassara i o ataku na Kanadę.

– A – powiedział Matty – mamy iść pieszo.

– Moglibyśmy spróbować ukraść konie – odparł Sherlock – ale pewnie by nas złapali. Podejrzewam, że ci ludzie pilnują swoich koni, zwłaszcza jeśli planują inwazję.

Matty westchnął.

– No dobrze – rzekł. – To chodźmy. Przynajmniej wyschniemy po drodze.

Starając się, by nie dostrzeżono ich z domu, poszli między zagrodami i klatkami mieszczącymi menażerię Balthassara. Wiele z nich było pustych, ale w pozostałych Sherlock zobaczył stworzenia, które zapamiętał do końca życia – dotychczas widywał je tylko na ilustracjach, a na żywo wyglądały jak stwory ze snów lub koszmarów. Zwierzęta o długich nogach i szyjach, których skórę pokrywały brązowe plamy, potężne zwierzę o kwadratowej, zwieszanej nisko głowie, z dwoma rogami między oczami i skórze grubej jak zbroja; i jakieś stworzenia wyglądające jak świnie, ale pokryte kręconą sierścią, z kłami wystającymi z pysków. Cały fantastyczny bestiariusz.

Kiedy doszli do zagród i klatek, Sherlock rozejrzał się uważnie. Przed nimi rozciągał się porośnięty trawą, pusty teren, a daleko po prawej widzieli dom Balthassara. Położenie domu wskazywało, którądy będą



tory, ukryte w wysokiej trawie. Gdzieś tam stał płot okalający posiadłość, a dalej, tak jak prowadziła linia kolejowa, miasto zwane Perseverance. Za co najmniej jednym drewnianym mostem, przerzuconym, jak pamiętał, nad głęboką przepaścią.

Zresztą i tak nie mieli wyboru.

– Chodźmy – powiedział ze znużeniem. – Miejmy to za sobą.

Ruszyli więc przez trawiasty teren. Po dziesięciu minutach dotarli do torów, a po półgodzinie do płotu otaczającego posiadłość i miejsca, gdzie ich pociąg skręcił z głównej linii w kierunku domu Balthassara. Kiedy znaleźli tory, Matty przez kilka minut próbował iść środkiem, stąpając po drewnianych podkładach, ale odległość między nimi była nieco za duża jak na jego kroki, więc szybko zaczęły go boleć nogi i dalej szedł już wzdłuż torów razem z Sherlockiem i Virginią.

Po kolejnej półgodzinie płot i dom zniknęły w oddali, w powietrzu falującym i migoczącym od upału. Teraz zostały już tylko tory i trawiasta równina. Sherlockowi wydawało się, że w oddali po lewej widzi zamglony zarys gór, choć ze względu na falujące powietrze nie był pewien.

Nad nimi krążyły ptaki. Matty sądził, że to sępy, ale Virginia powiedziała, że to myszołowy. Sherlock się nie wypowiadał. Nie wiedział, jak wygląda ani sęp, ani myszołów, więc powstrzymał się od domysłów.

Kiedy szli, wciąż rozmyślał nad planami, których wyjawiał im Duke Balthassar. Wszystko brzmiało tak niedorzecznie: zebrana ponownie armia konfederatów, zamierzająca najechać na sąsiednią kolonię brytyjską, żeby założyć nowe państwo, które będzie się rządziło tak, jak oni chcą, a nie jak chcą zwycięscy unioniści. Sherlock nie popierał niewolnictwa, lecz miał wątpliwości, czy jedna grupa ludzi ma prawo siłą narzucić drugiej, jak ma żyć. Ale jakie było inne wyjście? Czy każdy powinien móc żyć zgodnie z własnym kodeksem moralnym? A skoro tak, to co począć jeśli twój sąsiad, w przeciwieństwie do ciebie, uważa, że kradzież jest dopuszczalna, i kradnie twoje świnie, owce albo konie? Z kolei inne wyjście to pozwolić, żeby ktoś narzucił ci kodeks moralny, z którym się nie zgadzasz, ale którego musisz przestrzegać.

Co dziwne, te refleksje przypomniały Sherlockowi o Państwie Platona, które dał mu Mycroft, zanim wypłynęli z Southampton. Platon przewidział te wszystkie pytania ponad dwa tysiące lat temu. I choć minęło już tyle czasu, nikomu nie udało się stworzyć społeczeństwa, które by każdemu odpowiadało i działało jak trzeba.

Czy to właśnie próbował robić Mycroft na swój dyskretny sposób – zmienić Wielką Brytanię w możliwie jak najlepiej funkcjonujące społeczeństwo?

Sherlock stwierdził, że im jest starszy, tym bardziej szanuje swojego brata.

Słońce za ich plecami zbliżało się nieuchronnie do horyzontu, rzucając przed nimi ogromne cienie na pofałdowany teren. Przez chwilę Sherlockowi wydawało się, że widzi ciemne rozcięcie w rozświetlonej trawie, a po jakimś czasie, gdy słońce zeszło jeszcze niżej, rozcięcie zmieniło się w wąwóz, przez który pociąg przejeżdżał po drodze do domu Balthassara. Ostatnie promienie oświetliły most pod dziwnym kątem, tak że wyglądał raczej jak dziecięca zabawka niż coś rzeczywistego.

– Mamy po tym przejść? – zapytał Matty słabym głosem, kiedy zatrzymali się nad krawędzią wąwozu, patrząc na most.

Sherlock machnął ręką w kierunku przepaści.

– Nie sądzę, żebyśmy zdołali zejść na dół, przejść po dnie i wspiąć się z powrotem.

– Myślę – odezwała się Virginia – że on chciał powiedzieć: czy musimy przejść po tym teraz, wieczorem? I chyba się z nim zgadzam.

– Nie możemy się tu zatrzymać na nocleg – stwierdził Sherlock. – Przede wszystkim nie wiemy, co możemy tu spotkać. Pумы, niedźwiedzie...

– Skunksy – mruknęła Virginia.

– Może tu być wszystko – ciągnął. – Poza tym potrzebujemy jedzenia. Oprócz soku pomarańczowego i bułki od rana nic nie jadłem.

– Jedzenie – jęknął Matty. – Umieram z głodu. Sądzicie, że jest tu coś, na co moglibyśmy, no wiecie, zapolować?

– Bardziej prawdopodobne, że coś na nas zapoluje – uznał Sherlock. Wziął głęboki oddech i ruszył nad wąwozem, przechodząc z podkładu na podkład.

– A co, jeśli będzie jechał pociąg? – zawołał Matty.

– Pociągi nie jeżdżą w nocy – powiedziała Virginia. – Za duże ryzyko zderzenia z bizonem albo osunięcia się ziemi, albo innych wypadków. Pociągi zatrzymują się w najbliższym mieście, pasażerowie nocują w hotelach i ruszają w dalszą podróż następnego dnia rano.

– Och – westchnął Matty. Najwyraźniej miał nadzieję, że znajdzie się jakiś powód, żeby nie przechodzić po moście.

Tak jak wcześniej Matty, Sherlock zauważył, że stąpanie z podkładu na podkład jest wyczerpujące. Chociaż miał długie nogi, i tak musiał stawiać duże kroki. Można było spojrzeć w dół między podkładami, ale ponieważ ostatnie promienie słońca świeciły poziomo, wąwóz był pogrążony w ciemnościach, tak że w dole widziało się tylko czarną pustkę. Jeśli za długo się w nią wpatrywał, plątały mu się nogi. Dwa razy się potknął i niemal stracił równowagę. W końcu uznał, że musi po prostu spoglądać naprzód i zaufać instynktowi. Podkłady umieszczono w równej odległości i stwierdził, że nawet nie patrząc, udaje mu się w nie trafić.

Co jakiś czas zerkał przez ramię i widział idących za nim Virginie i Matty'ego na tle czerwonej tarczy słońca. Wydawało się, że dobrze sobie radzą. I tak nie miał im jak pomóc. Każde z nich podczas tej długiej wędrówki nad przepaścią było zdane na własne siły.

Usłyszał za sobą jakiś dźwięk. Zatrzymał się i zerknął przez ramię. Virginia leżała na torach. Wyglądała na wyczerpaną. Podniosła głowę i spojrzała na niego ze znużeniem.

– Przykro mi – wymamrotała. – Potknęłam się.

– Nie mogę podejść, żeby ci pomóc – powiedział z rozpaczą Sherlock. – Nie mogę zawrócić, bo spadnę, a jeśli się schylę, żeby pomóc ci wstać, też mogę spaść.

– Wiem – odparła cicho. – Wiem.

Idący za nią Matty zawołał:

– Virginia, wstawaj!

– Jasne, dzięki – prychnęła, podnosząc się na nogi. – Nigdy bym sama na to nie wpadła.

Ruszyli dalej, jedno za drugim. Czas jakby się rozpląwał, sekundy i minuty zlewały się ze sobą, więc kiedy Sherlock zdał sobie sprawę, że między torami jest twardy grunt, znajdowali się już jakieś sto jardów za krawędzią wąwozu.

– Zróbmy sobie przerwę – powiedział. – Tylko dziesięć minut.

– Chce mi się spać – jęknął Matty.

– Mój brat mówi, że człowiek może wytrzymać bez snu całymi dniami, jeśli robi coś wystarczająco ważnego i ciekawego.

– Dojście do najbliższego miasta to bez wątpienia coś ważnego – stwierdził Matty – ale na pewno nie ciekawego.

Sherlock pozwolił im odpocząć przez jakieś dziesięć minut, chociaż równie dobrze mogło to być pół minuty albo godzina, biorąc pod uwagę,

jak czas rozciągał się i zamazywał, po czym skłonił ich, by wstali i ruszyli w dalszą drogę. Szli w milczeniu poboczem torów. Dwa razy gdzieś w oddali Sherlock usłyszał odgłos przypominający wycie. Pomyślał z przerażeniem, że Balthassar zauważył ich ucieczkę i wysłał za nimi pumy, ale Virginia odezwała się cicho:

– Kojoty.

– Co to jest kojot? – zapytał za jej plecami Matty.

– Coś jakby wilk – odparła Virginia.

– Och – westchnął. – Ciekawe, jak smakuje.

– To zabawne – powiedziała Virginia – ale to wycie pewnie oznacza, że one zastanawiają się nad tym samym.

Księżyc wzniósł się nad horyzontem: pękaty biały dysk, który wydawał się dużo większy niż księżyc w Anglii. Ameryka chyba nie leży bliżej Księżyca? Świat ostatecznie jest okrągły i każdy punkt na jego powierzchni znajduje się w tej samej odległości od niego. Jedyne wyjaśnienie, jakie przyszło Sherlockowi do głowy, to to, że coś w atmosferze, jakaś iluzja spowodowana rozgrzanym powietrzem powoduje, że księżyc wygląda na większy.

Po chwili zdał sobie sprawę, że Matty mówi do siebie. Najpierw myślał, że rozmawia z Virginią, ale robił przerwy, a Virginia ich nie wypełniała. Prawdopodobnie Matty słyszał głos, który nie docierał do nikogo poza nim. Halucynacja? Może to z głodu i zmęczenia. W końcu przeżył ostatnio kilka stresujących tygodni.

Chociaż Sherlock sądził, że Matty ma halucynacje, jemu samemu nie wydawało się dziwne, że od jakiegoś czasu idzie obok niego pani Eglantine, ochmistrzyni z domu stryjostwa. Nie odzywała się. Patrzyła tylko na niego z dezaprobatą, ściągając usta w dzióbek i potrząsając głową. Nie wiedział, kiedy się pojawiła ani kiedy zniknęła. Wiedział jedynie, że przynajmniej przez część wędrówki była obok niego, milcząco dotrzymując mu kroku. To dziwne, pomyślał. Dlaczego właśnie ona, spośród wszystkich ludzi, których mógłby sobie wyobrazić? Dlaczego nie Mycroft ani Amyus Crowe? A jeśli z jego głową było coś nie w porządku, to dlaczego nie ludzie, za których śmierć odpowiadał – pan Surd, Gilfillan, Ives albo Grivens? Nawet Platon byłby lepszym kompanem niż pani Eglantine.

Jeśli Virginia widziała kogoś, kogo naprawdę nie było, nic o tym nie powiedziała, ani wtedy, ani później.

W świetle księżyca Sherlock dostrzegał od czasu do czasu na horyzoncie zarys stodoły albo wiejskiego domu. Pomyślał, że może by skręcić i tam zajrzeć, żeby poprosić o pomoc, a przynajmniej o jedzenie i picie, ale coś sprawiało, że dalej szedł wzdłuż torów. Wyjaśnienia zabrałyby tylko czas, w dodatku mogliby wpaść w jeszcze większe kłopoty. Poza tym jedyne, czego potrzebowali, to urząd telegraficzny, a ten znajdował się tylko na dworcu w mieście.

Po jakimś czasie domów i budynków gospodarczych zrobiło się więcej. Najwyraźniej doszli do jakichś przedmieść. Jeśli mieli szczęście, to było miasto. Sherlock nie pamiętał, żeby pociąg przejeżdżał przez jakieś inne zbiorowisko budynków po odjeździe ze stacji Perseverance, ale też nie wyglądał przez okno przez cały czas. Miał inne zajęcia. Możliwe, że to inne miasto, bez stacji czy telegrafu, postanowił jednak, że i tak się w nim zatrzymają, choćby na chwilę. Może ktoś za pieniądze zawiezie ich do Perseverance.

Na horyzoncie rozlała się plama różu. Wschodziło słońce. Czy naprawdę szli przez całą noc? Sądząc po zeszywniałych mięśniach i wyschniętym gardle, podejrzewał, że tak.

A może to tylko halucynacja, jak pani Eglantine?

Tory, które dotychczas bieły po linii prostej, teraz zakręciły, prowadząc ich do centrum miasteczka. Aż wreszcie pojawiła się przed nimi grupa budynków, które Sherlock zapamiętał, kiedy wszyscy troje na chwilę wysiedli z pociągu – dworzec i budki obok niego. Dotarli na miejsce. Jakimś cudem udało im się dojść.

Na bocznicy obok stacji stał pociąg. Był krótszy niż ten wczorajszy, zupełnie pusty i ciemny.

Kiedy weszli chwiejnym krokiem na peron, wokół nie zobaczyli nikogo. Nawet urząd telegraficzny był zamknięty. Sherlock załomotał w drzwi, na wypadek gdyby ktoś spał w środku, ale nikt nie odpowiedział. Całe miasteczko wydawało się uśpione, mimo że poranne niebo coraz bardziej błękitniało.

– Chodźmy – wykrztusił przez zaschnięte gardło. – Znajdźmy jakiś hotel i coś do jedzenia. Urząd telegraficzny pewnie zostanie otwarty później.

– Jeść – wymamrotał chrapliwie Matty. – Spać.

Virginia tylko skinęła głową. Jej twarz pobladła jak kreda – piegi odznaczały się na niej jak kropki tuszu – i wyglądało na to, że jest u kresu sił.

Hotel znajdował się naprzeciwko dworca. Piaszczysta ulica była poryta koleinami przez niezliczone wozy, i co dziwne, Sherlockowi szło się nią trudniej niż przez łąkę.

Wahadłowe drzwi okazały się otwarte, co wydało im się pierwszym od dłuższego czasu uśmiechem losu.

A nad stołem pośrodku sali na parterze stał, wpatrując się w rozłożoną przed nim mapę, Amyus Crowe.

Słyszając, jak wchodzi, podniósł głowę, a wtedy w ułamku sekundy przez jego twarz przebiegło tyle odmiennych emocji, że Sherlock miał wrażenie, jakby patrzył jednocześnie na wielu różnych ludzi.

Virginia podbiegła do ojca i objęła go ramionami. Matty opadł na krzesło i przymknął oczy.

– Wytropił nas pan – powiedział Sherlock. Jego głos był zupełnie wyprany z uczuć. Może całonocny marsz wszystko w nim wypalił. Czuł się tylko bardzo zmęczony.

– Pogadałem z gazeciarzami – wyjaśnił Crowe, z wyraźnym trudem panując nad głosem. – Niewiele jest w mieście rzeczy, o których by nie wiedzieli, a na nich samych nikt nie zwraca uwagi. Powiedzieli mi, że ktoś za tobą szedł i że udało ci się odwrócić sytuację. Tak przy okazji – sprytne zagranie z czapką, marynarką i gazetami. Jeden z nich dostrzegł cię niedaleko pensjonatu, a inny zauważył was dwoje na stacji. Resztę odgadłem. – Wziął głęboki, drżący oddech. – Chyba się domyślam, jak to się stało, że dotarliście tutaj. Gdybym sądził, że zrobiłeś to celowo, wsadziłbym cię na pierwszy statek płynący do Anglii i już bym się postarał, żebyś nigdy więcej nie postawił stopy na tym kontynencie, ale myślę, że to, co się wydarzyło, to był ciąg drobnych przypadków, w którego rezultacie znaleźliście się daleko ode mnie, tak że nie mogłem wam pomóc.

– Mniej więcej tak – zgodził się Sherlock. – Nie zrobiłem tego celowo. W żadnym razie.

– To prawda – potwierdziła Virginia stłumionym głosem, bo wciąż przyciskała twarz do piersi ojca. – Jechaliśmy za ludźmi, którzy porwali Matty'ego, a pociąg ruszył, zanim zdążyliśmy wysiąść.

– Ale mnie uratowali – dodał Matty, nie otwierając oczu.

– Racja – przyznał Crowe. Popatrzył na nich troje. – Musicie coś zjeść, napić się i przespać, ale sądzę, że podczas jedzenia powinniście mi opowiedzieć, co się stało. – Odwrócił się w stronę wyjścia na tyłach sali. – Pani Dimmock! Cztery śniadania i tyle soku pomarańczowego i kawy, ile

tylko pani znajdzie! – Spojrzał na Sherlocka i Matty’ego. – Nie, właściwie to osiem śniadań! – zawołał. – Mamy tu naprawdę głodnych ludzi.

Następna godzina minęła w ogólnym zamieszaniu. Na stole pojawiło się jedzenie, a oni opowiadali Amyusowi Crowe’owi o wszystkim, co im się przydarzyło, opychając się jednocześnie szynką, smażonymi ziemniakami, jajkami przyrządzonymi na różne sposoby oraz sokiem.

– On chce najechać Kanadę – powiedział Sherlock do Crowe’a, kiedy dotarli do końca. – Zebrał armię i zamierza stworzyć w Kanadzie nowe państwo, które ogłosi Nową Konfederacją.

– Mniej więcej tego samego zdążyli się dowiedzieć Pinkertonowie – przytaknął Crowe. – Już od jakiegoś czasu mieli tego Duke’a Balthassara na oku. Fakt, że chce wykorzystać Johna Wilkesa Booth’a jako marionetkę, żeby podnieść morale swoich oddziałów i uprawomocnić ten nowy kraj w oczach południowych stanów, był dla nich nowością, ale wyjaśniał, na co czekał Balthassar.

– I co mają zamiar z tym zrobić? – zapytał Sherlock. – Chyba nie pozwolą mu ruszyć na Kanadę? To zepsułoby stosunki między Ameryką a Anglią na wiele pokoleń.

Crowe potrząsnął potężną, pobrużdżoną głową.

– Mają plan – odparł dudniącym głosem. – Nie powiem, żeby mi się podobał, ale poparł go sam minister wojny, Stanton, więc trudno coś na to poradzić.

– Zaatakują? – zapytał Matty z ustami pełnymi smażonych ziemniaków.

– Armia została postawiona w stan gotowości i tworzy kordon mniej więcej stąd do granicy – powiedział Crowe. – Ale szykuje się coś jeszcze. Rząd chciałby rozwiązać ten problem bez bezpośredniej walki, jeśli to możliwe. – Westchnął i zerknął ku drzwiom. – Ministrowi wojny spodobało się wykorzystanie balonów do celów zwiadowczych podczas wojny secesyjnej. Uważa, że balony to przyszłość sztuki wojennej. Zarządził, żeby korpus inżynieryjny zebrał tyle balonów na gorące powietrze, ile tylko się da. Wieczorem mają przelecieć nad obozowisko oddziałów Balthassara i zrzucić na nie ładunki wybuchowe.

– Ale – zaczął Sherlock i urwał, pełen zgrozy. – Ale to będzie masakra! Wiem, że ci ludzie mają zamiar najechać inny kraj, ale żeby zrzucić na nich bomby? Czy nie można przynajmniej dać im szansy, żeby się poddali?

Crowe potrząsnął głową.

– To tak nie działa. Minister wojny chce, żeby przekaz był jasny. Chce, żeby wszyscy wiedzieli, że wojna się zakończyła, Unia wygrała, a wszelkie próby odtworzenia Konfederacji zostaną zdławione.

– Ale zginą setki, może tysiące ludzi! – zaprotestował Sherlock. – I nawet nie w bitwie, kiedy mogliby się bronić. Zginą, bo spadnie na nich z góry deszcz ognia! To jest barbarzyństwo.

– Być może – powiedział Crowe. – Ale tak właśnie będzie. Witaj w świecie tego, co Niemcy nazywają Realpolitik, Sherlocku.



## ROZDZIAŁ 16



Sny Sherlocka były pełne ognia spadającego z nieba i krzyków osmalonych, wychudłych, biegających chaotycznie postaci. Obudził się po kilku godzinach. Wciąż czuł się zmęczony, ale nie mógł już zasnąć.

Spał w jednym z trzech wolnych pokoiów, jakie udało się dla nich znaleźć kierownikowi hotelu. Sherlock zastanawiał się, czy pusty pociąg na stacji oznacza, że hotel będzie pełen podróżnych, ale w rzeczywistości skład został specjalnie wynajęty przez Amyusa Crowe'a i grupę agentów Pinkertona, którzy przyjechali tu obserwować sytuację.

Gdy tak leżał, nie mógł przestać myśleć o tym, co miało się stać za kilka godzin. Ludzie w armii Balthassara nie byli przecież źli – oni tylko mieli odmienny pogląd na to, jak powinno wyglądać rządzenie krajem. Oczywiście najazd na inne państwo to coś złego, ale czy ci ludzie zasługiwali na to, żeby ich unicestwić jak mrówki?

Mycroft znalazłby sposób, żeby temu zapobiec. Sherlock był tego pewien. Stanowił co prawda tylko trybik w maszynie rządu brytyjskiego, ale miał swoje przekonania i zasady moralne. Te same przekonania i zasady, które przekazał Sherlockowi ich ojciec, major Siger Holmes z królewskich dragonów. Obaj byli synami Sigera i obaj odziedziczyli jego wartości, tak samo jak odziedziczyli po nim niebieskie oczy.

Musiał coś zrobić. Ale co? Co mógł zrobić, żeby powstrzymać korpus inżynieryjny?

Może mógłby wysłać telegram do Mycrofta, do Anglii. Nie wiedział, ile by to kosztowało, podejrzewał, że sporo, ale miał jeszcze trochę pieniędzy. Mycroft mógłby zawiadomić amerykańskiego ambasadora albo zrobić coś w tym rodzaju i jakoś powstrzymać to wszystko.

Ale czy naprawdę by mógł? I czyby chciał? I, co ważniejsze, czy zdążyłby cokolwiek zrobić? Był w końcu wiele tysięcy mil stąd i może jego

przełożonym w Ministerstwie Spraw Zagranicznych bardziej zależało na tym, żeby zapobiec inwazji na terytorium Wielkiej Brytanii, niż żeby ocalić życie ludzi, których nigdy nie widzieli na oczy.

Sherlock wiedział, że musi sam dotrzeć do armii Balthassara i oddziałów korpusu inżynieryjnego. Raczej nie jest w stanie nic zrobić, ale nie może tak po prostu siedzieć w hotelu. Może tam, na wielkich równinach, pojawi się jakieś rozwiązanie.

Ale jak się tam dostać?

W mieście można pewnie pożyczyć konia. Mógłby pojechać tam, skąd wystartują balony. Widział to miejsce zaznaczone na mapie, której przyglądał się Amyus Crowe kilka godzin wcześniej. Nie starał się specjalnie jej zapamiętać, lecz tak jak wiele innych rzeczy, które czytał, po prostu utkwilo mu to w pamięci.

Czy powinien zabrać Virginie i Matty'ego? Z nimi byłoby mu raźniej, ale miał poczucie, że to jego bitwa. Ich to mniej obchodziło i nie miał prawa ich w to wciągać.

Wstał i założył świeże ubranie, które Amyusowi Crowe'owi udało się znaleźć gdzieś w mieście. Było nowe i drapiące, aż się jednak wzdrygnął na myśl, że miałby założyć te same rzeczy, które nosił przez ostatnie dni.

Crowe w jadalni rozmawiał z dwoma mężczyznami w garniturach. Mieli broń przy paskach wiszących nisko na biodrach. Pewnie pracowali w agencji Pinkertona. Sherlock przemknął obok, nie zwracając ich uwagi, i wyszedł na zewnątrz.

Na chodnikach pełno było ludzi, którzy chodzili tu i tam albo stali i rozmawiali. Sherlock przespacerował się kawałek ulicą, aż zobaczył budynek, który wyglądał na stajnię. Wszedł do środka.

– Potrzebujesz czegoś, chłopcze? – usłyszał czyjś głos. Rozejrzał się. Z ciemności wyłonił się starszy mężczyzna. Był łysy, miał tylko wianuszek siwych włosów z tyłu głowy i krzaczasty siwy wąs.

– Potrzebuję konia, tylko na jeden dzień – powiedział Sherlock.

– Dobrze się składa – odparł mężczyzna. – Mam konia, któremu przyda się trochę ruchu. Dobraliście się idealnie.

– Ile to kosztuje? – zapytał Sherlock.

– Zostaw mi dziesięć dolarów kaucji, a oddam ci dziewięć, kiedy wrócisz.

Sherlock wręczył mu pieniądze, a on zaprowadził go do boksu, gdzie spokojnie stała brązowa klacz. Podczas gdy starszy pan ją siodłał,

przyglądała się Sherlockowi z namysłem.

Sherlock rozejrzał się po stajni. Poza elementami uprzęży – wiszącymi na hakach siodłami, lejcami, strzemionami – było tu też mnóstwo nieznanego mu przedmiotów. Wyglądały jak broń: łuki, włócznie, topory – ale były ozdobione piórami i rzemykami.

– To pamiątki z wieloletnich walk z tubylcami – poinformował mężczyzna, gdy spostrzegł, na co patrzy Sherlock. – Plemiona Pamunkey i Mattaponi sprawiały nam wiele kłopotów, kiedy budowaliśmy to miasto. Oni zbierali nasze skalpy, a mój dziadek i ojciec zbierali ich tomahawki, włócznie, noże i łuki.

Sherlock pomyślał o tym, dokąd jedzie – wroga armia, nacierające siły i pustkowie pełne kojotów. Nie chciał brać broni palnej, był zresztą pewien, że nikt by mu jej nie dał, coś do obrony mogłoby się jednak przydać.

– Czy za drugiego dolara – zapytał – mógłbym pożyczyć łuk, kołczan strzał i nóż?

– Nie – odparł mężczyzna. – Ale za pięć – zgoda.

Dziesięć minut później Sherlock wyjechał ze stajni z nożem za paskiem, kołczanem pełnym strzał na plecach i łukiem przytroczonym do siodła. Gdy przejeżdżał obok hotelu, wydawało mu się, że widzi przed nim Matty'ego i Virginie, lecz mignęli mu tak szybko, że nie był pewien, i nie chciał się zatrzymywać.

Przypominając sobie mapę Amyusa Crowe'a, Sherlock ruszył przez łąki, pod kątem w stosunku do torów. Teren, ku któremu zmierzał, był bardziej pofałdowany niż równina przecięta linią kolejową. Jechał kłusem u stóp łańcucha niskich, zaokrąglonych wzgórz.

Po godzinie jazdy przez obszar porośnięty krzewami i kępami drzew przekroczył szeroki, płytki strumień, spływający ze wzgórz niczym błękitna, mieniąca się wstążka. Kiedy kopyta konia rozpryskiwały wodę i rozrzucały drobne kamyki, zastanawiał się, czy gdzieś dalej to właśnie ten strumień wyżłobił sobie drogę w miękkiej skale, tworząc wąwóz, nad którym przechodzili we trójkę poprzedniej nocy. Teren był tu ukształtowany inaczej niż w Anglii: jakby młodszy i bardziej surowy.

Pomyślał o tym, żeby zabrać ze stajni skórzany bukłak, więc zatrzymał się, żeby uzupełnić zapas wody i pozwolił koniowi się napić.

Sądząc po słońcu, było wczesne popołudnie, a zgodnie z zapamiętaną mapą powinien znajdować się już niedaleko obozu korpusu inżynierskiego. Z pewnością ustawili wartowników, a on nie chciał wpaść

na żadnego z nich. Całkiem możliwe, że najpierw będą strzelać, a potem zadawać pytania.

Zamiast nadal przemieszczać się u podnóża, Sherlock skręcił i wjechał na wzniesienia. Jeśli miał rację, jeśli dotarł tam, gdzie sądził, powinien mieć z góry dobry widok na obóz.

Przez kilka godzin wspinał się po łagodnych zboczach i przejeżdżał przez kamieniste piargi, aż dotarł na skraj bardziej stromej części wzgórza i ujrzał w dole to, po co tu przyjechał.

Zostawił konia tak, by nikt nie dostrzegł go z dołu, podkradł się na czworakach, a następnie ukryty za dużym głazem wbił wzrok się w równinę poniżej.

Słońce zniżyło się już nad horyzont, więc rozpościerający się przed nim obszar oświetlały częściowo jego czerwone płomienie, a częściowo płonące tu i ówdzie ogniska. W tym mieszanym świetle zobaczył rozciągający się w dole obóz korpusu inżynieryjnego: szeregi namiotów skupionych pośrodku otwartego terenu. Między nimi widać było może z setkę ludzi. Po jednej stronie obozu trzymano konie zamknięte w prowizorycznej zagrodzie. A po drugiej stronie znajdowały się balony.

Ten widok zaparł Sherlockowi dech w piersiach. Stało ich chyba z dziesięć czy dwanaście, na terenie wielkości boiska do rugby. Jedne wyglądały jak potężne, workowate meduzy, jakie widywał podczas wycieczek nad morze, kiedy był młodszy, inne zaś były w pełni nadmuchane i tworzyły lśniące kule, które błyszczały w nienaturalnym świetle słońca. Za pomocą lin i płacht z tego samego materiału – impregnowanego jedwabiu, jak wiedział Sherlock z rozmowy z grafem von Zeppelinem na SS „Scotia” – przytwierdzono do nich kosze, a nadmuchiwano je za pomocą rur, prowadzących do wozów, na których znajdowały się lśniące miedziane zbiorniki. Sherlock pamiętał, że w zbiornikach tych wytwarzano wodór, w reakcji kwasu siarkowego i opiłków żelaza.

Przypomniawszy sobie o grafie Zeppelinie, Sherlock przyjrzał się obozowi w poszukiwaniu sztywnej sylwetki Niemca. Przybył przecież do Ameryki, żeby rozmawiać o militarnym zastosowaniu balonów. Byłoby dziwne, gdyby go tu zabrakło.

Postacie krążące po obozowisku były z tej odległości zbyt małe, żeby rozpoznać twarze, ale wydawało mu się, że zobaczył mężczyznę z brodą, w mundurze innym niż pozostali, który stał niedaleko balonów i zafascynowany przyglądał się ich napełnianiu.

Zauważył, że balony umieszczono z dala od ognisk. Rozsądnie – jak pamiętał ze szkoły, wodór był bardzo łatwopalny. Ale tuż obok nich leżały stosy metalowych kul, wyglądających jak kule armatnie, które z pewnością zawierały środki wybuchowe. A za godzinę czy dwie, jeśli wiatr nadal będzie sprzyjający, balony zostaną wypuszczone, każdy ze swoim aeronautą, i pofruną cicho nad pustkowiem, nad obóz armii Duke'a Balthassara. A potem nastąpi śmierć i zniszczenie na taką skalę, że Sherlockowi robiło się niedobrze.

Musiał to powstrzymać. Musiał. Już i tak widział w swoim życiu za dużo śmierci. Jeśli tylko może zapobiec temu, by zginęli ludzie, powinien to zrobić.

Wodór. Łatwopalny. Rozwiązanie miał niczym na tacy, ale jak miał cokolwiek z tym zrobić? Jeśli spróbuje przekraść się na dół i podłożyć ogień pod balony, zastrzelą go jako szpiega konfederatów. Wokół balonów stali w kręgu wartownicy.

Ale nie ustawiono strażników wokół ognisk po drugiej stronie obozu, a ze swojego miejsca widział, że przed większością namiotów stoją wbite w ziemię słupy, na których zawieszono lampy naftowe.

Myślał coraz bardziej gorączkowo, dostrzegając związki między niepowiązanymi z pozoru elementami. Rozwiązanie leżało tuż przed nim. Miał część rzeczy, których potrzebował, a reszta znajdowała na dole, w obozie.

Im szybciej zacznie, tym szybciej skończy.

Upewnił się, że wodze jego konia są mocno zaczepione pod głazem, po czym zaczął powoli schodzić na równinę. Teraz nad horyzontem widać było już tylko cienki pasek słońca, a cienie rozrzuconych głazów stały się długie i czarne. Stwierdził, że może cały czas się w nich chować i przemykać się przez otwartą przestrzeń tylko wtedy, kiedy musi.

Zanim dotarł na równinę, słońce zniknęło za horyzontem, a niebo przybrało kolor świeżego siniaka. Większość balonów była w pełni nadmuchana i panowała przy nich ożywiona krzątanina.

Sherlock odszedł od balonów w kierunku terenu, gdzie paliły się ogniska. Liczni inżynierowie kręcili się przy balonach, stali po drugiej stronie kordonu wartowników, obserwując i czekając na start. Sherlock skradał się między namiotami, aż dotarł do ognisk. Piekło się na nich mięso, bulgotał gulasz i nikt nie patrzył w jego stronę. Rozejrzał się, wyprostował, otrzepał kurz z ubrania, a następnie podszedł do namiotu,

przy którym nikogo nie było, i zdjął ze słupa lampę naftową. Potem, na wszelki wypadek, zdjął drugą ze słupa w pobliżu. Nie z namiotu obok – to mógłby ktoś zauważyć – ale z namiotu nieco dalej. Nikt nie próbował go powstrzymać ani nie pytał, co robi. Serce biło mu dwa razy szybciej niż normalnie, lecz starał się robić to wszystko z obojętną miną, po czym odwrócił się i ruszył powoli z powrotem, osłaniając lampy naftowe marynarką, żeby nikt nie zobaczył poruszających się świateł.

Kiedy znalazł się bezpiecznie za namiotami, przyspieszył, zmierzając w stronę podnóża wzgórz. Po drodze spojrzął w kierunku balonów. Teraz już wszystkie zostały nadmuchane i widział, jak wojskowi aeronauci krzątają się przy nich, sprawdzając mapy i kończąc ostatnie przygotowania.

Tak szybko, jak tylko mógł, wspiął się na wzgórze, wiedząc, że niesie płonące lampy i że jeśli się potknie, jego ubranie może się zapalić. Po zachodzie słońca wiatr zaczął wiać mocniej i Sherlock czuł, że marznie bez marynarki.

Jego koń zarżał krótko, gdy chłopiec dotarł na płaski kawałek terenu, gdzie go zostawił. Odłożył lampy naftowe, podszedł do konia i odwiązał łuk oraz kolczan ze strzałami, który pożyczył – nie za darmo – od właściciela stajni.

Potrzebne mu było coś, co podtrzymałoby ogień, kiedy wypuści strzały w powietrze.

Jakaś podpalka.

Rozejrzał się, przeklinając sam siebie, że nie zabrał czegoś z obozu – kurtki mundurowej albo czegoś w tym rodzaju. Miał tylko własne ubranie. Zaczął więc odrywać pasy materiału i obwiązywać je wokół grotów strzał. W końcu i tak z nich nie korzystał.

Kiedy już owinął w materiał groty dziesięciu strzał, przyniósł lampy naftowe. Zastanowił się przez chwilę, po czym zgasił jedną z nich i otworzył, tak żeby móc po kolei zamoczyć groty strzał w nafcie.

Jedna paląca się lampa powinna wystarczyć. Odemknął ją, odsłonięty płomień zamigotał na wietrze.

Wziął łuk i wstał. Teraz panowała już taka ciemność, że nikt by go nie spostrzegł, a palącą się lampę zasłaniał głaz.

Podniósł łuk i napiął go na próbę. Zasada wydawała się jasna. Ciężka wchodziła w nacięcie na końcu strzały, naciągało się ją palcami prawej ręki, przytrzymując łuk lewą i napinając go tak mocno, jak się dało. Potem

trzeba wycelować – wysoko, bo strzała leci łukiem jak pocisk – i puścić cięciwę.

Pora na próbę. Czas działać.

Przytknął grot strzały, obwiązany kawałkiem marynarki, do płomienia lampy. Materiał nasiąknięty naftą zapalił się natychmiast. Sherlock podniósł strzałę i nasunął na cięciwę, po czym naciągnął ją, trzymając łuk w wyprostowanej lewej ręce. Wycelował w balon, przy którym, jak mu się wydawało, znajdowało się najmniej ludzi, ale nieco ponad nim, tak żeby strzała spadła od góry.

Cięciwa wrzynała mu się w palce prawej dłoni. Czuł, jak napięty łuk drży. Płonący materiał tworzył jasny punkt w polu widzenia, tak że nie widział niemal nic poza nim.

Czy dobrze robi?

Już za późno, żeby się nad tym zastanawiać.

Zwolnił cięciwę. Strzała pomknęła łukiem w powietrze, jakby zamarła na moment w najwyższym punkcie, a później opadła niczym maleńki meteor wprost na powierzchnię balonu.

Przez kilka uderzeń serca nic się nie działo; tak długo, że Sherlock nabrał przekonania, że płonący materiał zgasł albo że grot strzały nie przebił impregnowanego jedwabiu, albo że gaz w balonie to wcale nie wodór, tylko coś innego, niepalnego. Ale wtedy właśnie materiał na górze balonu rozchylił się niczym płatki kwiatu, a Sherlocka oślepiła kula ognia, która wyskoczyła z jego wnętrza i pomknęła ku niebu.

W obozie podniosła się straszliwa wrzawa. Ludzie biegali dookoła, lejąc wiadra wody i próbując zdusić spadające na nich kawałki płonącego materiału, lecz ogniste piekło wznosiło się, zamiast opadać. Wodór był w końcu lżejszy od powietrza.

Sherlock chwycił kolejną strzałę, zapalił ją, wymierzył w następny balon i wystrzelił. Maleńka iskierka płonącej strzały zakreśliła w locie świetlistą linię w powietrzu, po czym spadła na bok balonu.

Tym razem nie widział rozchylającego się materiału, ale pojawiła się kula ognia równie imponująca, jak za pierwszym razem.

W obozie zapanował chaos, tymczasem Sherlock posyłał jedną strzałę po drugiej w stronę pozostałych balonów. Kiedy skończyły mu się strzały, powietrze wypełniał dym, a ziemia zasłana była strzępy impregnowanego jedwabiu. I nikomu nic się nie stało! Zdziwił się, ale nie widział, by ktokolwiek został ranny. Ludzie biegali rozgorączkowani

i przerażeni, lecz nikt nie wyglądał na poszkodowanego. Rozżarzony gaz uniósł się w powietrze, a opadające na ziemię kawałki płonącego materiału dawało się łatwo ominąć.

Wziął głęboki oddech. Balony nie polecą dziś w nocy i trzeba będzie wielu dni, może tygodni, zanim uda się tu ściągnąć ich więcej. W tym czasie armia Balthassara albo się rozproszy, albo pomaszeruje na Kanadę, gdzie spotka się z wojskami Unii. Udało mu się.

Miał ochotę zrobić coś ze stosem środków wybuchowych, czekających z boku obozu. Pociski przetrwały bez szwanku. Sherlock martwił się, że mogą na nie spaść kawałki płonącego materiału, co spowoduje eksplozję i prawdziwą masakrę, jednakże albo nie wybuchają tak łatwo, jak sądził, albo leżały na tyle daleko, że nie spadły na nie żadne iskry ani płonący materiał. Sądził, że mógłby się zakraść na dół i jakoś je uszkodzić – wyrwać bezpieczniki lub coś w tym rodzaju – ale po co? Teraz, kiedy nie było jak ich przetransportować, stały się bezużyteczne.

Usłyszał czyjś krzyk. Spojrzał w dół, na obóz. Jakiś człowiek wskazywał w jego kierunku. W świetle płonącego wodoru dostrzeżono obecność intruza. Coraz więcej ludzi patrzyło w jego stronę. Część z nich zaczęła wbiegać na zbocze wzgórza, na którym się ukrył. Większość trzymała broń.

Ach. A on trzymał łuk.

Czas się stąd wynosić.

Odwrócił się i pobiegł do miejsca, gdzie uwiązał konia. Wierzchowiec był niespokojny i narowisty – napinał wodze, próbując się cofnąć, ale jeszcze nie panikował. Sherlock szybko uwolnił wodze spod przyciskającego je głazu i wskoczył na siodło.

Przy odrobinie szczęścia może uda mu się wrócić do miasta i udawać, że był tam przez cały czas. Nikt nie wiedział, co zrobił.

Zawrócił konia i ruszył w drogę powrotną.

Jazda w dół okazała się łatwiejsza niż w górę. Koń stąpał pewniej, zadowolony, że oddalają się od ognia i dymu.

Zrobiło się już ciemno, ale wierzchowiec widział ziemię w świetle gwiazd, więc Sherlock pozwolił, by sam decydował, którędy iść. Kiedy zjadą na trawiastą równinę, odnajdzie drogę do miasteczka.

Koń sam wybierał szlak przez pełen porozrzucanych gładów teren u stóp wzgórz, a Sherlock stwierdził, że łagodne kołysanie działa na niego



usypiająco. Odpływało z niego napięcie, zostały tylko pustka i melancholia. Nie uśmiechała mu się długa jazda powrotna do Perseverance.

Zaczęły go też ogarniać wątpliwości. A jeśli armii unionistów nie uda się przeszkodzić w inwazji? Jeśli konfederaci naprawdę zaatakują, a on im to ułatwił?

Nie, Amyus Crowe powiedział mu, że wojska Unii i tak się przygotowywały do odparcia ataku konfederatów, ale minister wojny osobiście zdecydował, że chce ich masakry. Jeśli wszystko poszło dobrze, to Sherlock swoimi działaniami jedynie uratował wielu ludzi. Nie spowoduje konfliktu dyplomatycznego.

Gdzieś w ciemności wrzasnęło jakieś zwierzę. Ten dźwięk go przeraził. Brzmiał, jakby krzyczał człowiek. To chyba nie był kojot. Raczej jakiś wielki kot.

Koń szedł teraz dnem wąwozu między dwoma stromymi zboczami. Sherlock pomyślał, że są już niedaleko podnóża wzgórz i niedługo pojedą przez otwarte łąki w kierunku miasteczka. Ściany wąwozu były tylko mrocznymi kształtami, ich ciemne poszarpane krawędzie odcinały się na tle gwiaździstego nieba.

I wtedy jedna z tych poszarpanych krawędzi się poruszyła.

Sherlock ocknął się nagle. Coś, co uważał za kawałek skały, niespodziewanie poruszyło się na bok i cofnęło.

Coś było tam na szczycie. Coś go śledziło.

Sherlock rozejrzał się nerwowo. Nic. Tylko ciemność, która w padającym z góry świetle gwiazd wyglądała jak wyrazisty relief.

Ze stromego zbocza sturlał się kamyk i odbił się od dna wąwozu.

Klacz kręciła głową. Wiedziała, że w ciemności coś się czai. Postawiła uszy, a Sherlock czuł pod udami, jak drżą jej mięśnie.

Wąwóz zaczął się rozszerzać, wyszli na płaską skalną platformę, z ostrym spadkiem po jednej stronie, sięgającym aż do równiny. Wiszący nisko księżyc oświetlał wszystko z boku jak reflektor. Sherlock rozpoznał to miejsce: mimo stromizny przed nimi z boku ciągnęła łagodnie schodząca aż na równinę. Właśnie nią wchodzili wcześniej.

Spadł kolejny kamyk, odbijając się od skał. Koń Sherlocka odsunął się od ściany i przyspieszył. Tak samo jak Sherlock bardzo chciał dotrzeć już na równinę.

Nagle coś nad głową Sherlocka wrzasnęło i skoczyło na nich z ciemności.

## ROZDZIAŁ 17



Przerażona klacz odskoczyła na bok, ratując w ten sposób ich oboje. Cokolwiek na nich skoczyło, spadło na ziemię, migając wysuniętymi pazurami, i potknęło się, ale natychmiast poderwało się na równe nogi. Oszołomionemu Sherlockowi błysnęły przez chwilę ślepie, w których odbijał się księżyc, i spiczaste mokre kły, lśniące w zaślinionej paszczy.

Wyrwał nóż z za paska i wyciągnął go przed siebie. Marna to była pociecha, ale nic więcej nie miał.

Jakiś głos z góry powiedział coś gardłowego w języku, którego Sherlock nie znał, i zwierzę wycofało się, sycząc wściekle na chłopca i jego konia.

Teraz je rozpoznał. To była jedna z pum Duke'a Balthassara. Co znaczyło, że druga czai się pewnie gdzieś w pobliżu. I że gdzieś blisko znajduje się również sam Balthassar.

Koń Sherlocka był sparaliżowany ze strachu: wytrzeszczał oczy, podciągnięte wargi odsłaniały zęby. Nie ruszy się z miejsca, nie kiedy w pobliżu są pumy. Sherlock zeskoczył z siodła, czując, jak serce łomocze mu w piersi. Był zmęczony, spragniony i głodny. Nie chciał tego. Nie teraz. Nie tutaj.

Ale chyba nie miał wyboru.

Poszedł naprzód, w światło księżyca u końca wąwozu.

Duke Balthassar stał kilka stóp dalej. Wciąż miał na sobie biały garnitur, biały kapelusz i białą porcelanową maskę, ale do uda przytroczył rewolwer. Sherlock widział za jego prawym uchem czerwoną pijawkę, lśniącą wilgocią w świetle księżyca, była to jedyna plama koloru w całej scenie. Wydawała się lekko pulsować.

Puma, która skoczyła na Sherlocka i jego konia, stała u boku Balthassara, niespokojnie machając ogonem. Sherlock zauważył, że wciąż

zerka ku czerwonej pijawce. Wyglądała na zdenerwowaną, nawet przerażoną. Drugiej pumy nie było widać.

– Sherlock Scott Holmes – powiedział Balthassar głosem ledwo słyszalnym wśród szumu wiatru. – Obawiam się, że los krzyżuje nasze ścieżki i wciąż się spotykamy, niczym kochankowie u Szekspira.

– Co pan tu robi? – zapytał Sherlock.

– Szukałem cię – odparł Balthassar. – Kiedy stwierdziłem, że moje kochane jaszczurki są wciąż głodne, a galeria do obserwacji została zalana, mogłem tylko uznać, że ty i twoi dzielni przyjaciele uciekliście. Za dużo wiesz: musiałem cię wyśledzić i zrobić z tobą porządek. Moje pumy zwietrzyły trop tuż za miastem i szliśmy za tobą aż tu, na wzgórze. – Urwał, przechylając głowę. – Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że pójdziesz do miasta, ale zamiast tego jesteś tutaj. Dlaczego?

Sherlock zastanowił się przez chwilę. Balthassar musiał pomylić dwa różne tropy: ten, który Sherlock, Matty i Virginia zostawili, gdy szli w kierunku Perseverance, oraz ślady Sherlocka i jego konia, kiedy wyjeżdżali z miasteczka. To znaczy, że Balthassar jeszcze nie wie, że jego plany zostały zdemaskowane. Czy Sherlock powinien mu powiedzieć?

Gdyby Balthassar wiedział, że jest za późno, że jego armia już została odkryta, nie miałby powodu zabijać Sherlocka. Przynajmniej w teorii.

– Armia Unii już wie o inwazji na Kanadę – powiedział Sherlock. – Atak nie ma sensu. Niech pan go odwoła. Może pan uratować wielu ludzi.

Balthassar milczał, rozważając jego słowa. Nie sposób było stwierdzić, co myśli za swoją białą maską.

– Od jak dawna wiedzą? – zapytał w końcu.

– Na tyle długo, że pana armia nie ma szans dotrzeć do granicy.

– W takim razie co ty tutaj robisz? – zapytał Balthassar.

– Unioniści planowali zrzuć ładunków wybuchowych na pańskich ludzi. Nie mogłem na to pozwolić. Musiałem temu zapobiec.

– Jak sędzę, powodowała tobą raczej chybiona szlachetność niż akceptacja zasad wyznawanych przez konfederatów?

– Po prostu nie chcę znów patrzeć, jak giną ludzie – odparł ze znużeniem Sherlock.

Balthassar potrząsnął głową.

– Czy oczekujesz ode mnie wdzięczności? – zapytał, a w jego głosie nagle zazgrzytał gniew.

Sherlock czuł, jak zmęczenie kładzie mu się na ramionach ołowianym ciężarem.

– Niczego nie oczekuję – oświadczył. – Nie robię tego ani dla pana, ani dla nikogo innego. Robię to dla siebie. W imię tego, w co sam wierzę.

– W takim razie straciłeś tylko czas! – warknął Balthassar. – Inwazja nastąpi mimo tego, co mi powiedziałeś.

– Wtedy pańscy ludzie zostaną otoczeni, a jeśli postanowią walczyć, dojdzie do bitwy.

– A ludzie i tak zginą – burknął Balthassar. – Więc poniosłeś porażkę.

– Nie mam władzy nad światem – zauważył Sherlock. – Tylko nad fragmentami, które są w moim zasięgu. Przynajmniej zrobiłem to, co mogłem, żeby powstrzymać masakrę. Reszta należy do pana, do Amyusa Crowe'a i do rządu.

– Twój problem – porcelanowa twarz Balthassara lśniła obojętnie w świetle księżyca, ale głos wypełniała gorycz – polega na tym, że pozwalasz, by twoje uczucia stawały na drodze logice. Jeśli mogę ci coś doradzić, powinieneś stłumić w sobie emocje. Trzymać je na wodzy. Mogą jedynie sprowadzić cię na manowce. Przyniosą ci tylko cierpienie.

Przed oczami Sherlocka przemknęły obrazy jego matki i siostry, zabarwione uczuciami, które bolały. Ale były też wspomnienia Virginii i te nie bolały. Niosły radość.

– Doceniam pańską radę – oznajmił – ale myślę, że pozostanę przy swoich uczuciach. Lubię je, czy są dobre, czy złe.

– Powiedziałbym, że będziesz tego żałował przez całe życie – odparł Balthassar – ale nie będziesz. – Pstryknął palcami. Puma czekająca u jego boku podeszła do Sherlocka, odsłaniając zęby i mrużąc oczy.

Sherlock wysunął rękę z nożem. Ostrze zalśniło w świetle księżyca płynnym blaskiem.

Puma nie zawahała się. Po prostu podchodziła.

Z tyłu usłyszał ciche stąpanie. Powoli odwrócił głowę.

Za nim czaiła się druga puma.

Przez głowę przebiegały mu różne możliwości, żadna jednak nie była odpowiednia. Jak miał walczyć z dwiema dzikimi bestiami za pomocą noża?

Ale one nie były dzikie, prawda? Były częściowo oswojone – albo, w każdym razie, posłuszne Balthassarowi. Bały się go, a to zwiększało szanse Sherlocka.

Usłyszał, że kroki za nim przyspieszają, więc padł na ziemię i przetoczył się na bok. Coś ciemnego mignęło mu nad głową. Zerwał się na nogi, ale pумы były szybsze. Teraz stały tuż obok siebie, warcząc na niego.

Koty potrafią wspinać się na drzewa, ale nie na skały.

Tak prędko, jak tylko mógł, Sherlock wdrapał się po zboczu wąwozu, wczepiając się palcami w szczeliny, szukając stopami występow i półek, które utrzymałyby jego ciężar.

Pумы skoczyły za nim.

Złapał się palcami jakiegoś występu i podciągnął rozpaczliwie, a w tym samym momencie pazurzasta łapa zaczęła o jego but i pociągnęła go w dół. Podciągnął się ze wszystkich sił i znalazł się bezpiecznie na półce, biegnącej skosem po jednej stronie wąwozu.

Spojrzał w dół, na szczęście pумы nie zdołały go zranić. Oderwały mu obcas jednego buta, ale drugi pozostał nienaruszony.

Oczy pum błyszczące w dole zniknęły, koty ruszyły każdy w innym kierunku, szukając sposobu, by się do niego dostać. Były na swoim terytorium. Znajdą drogę.

– To wszystko bardzo zajmujące – zawołał Balthassar – ale tylko odsuwasz w czasie to, co nieuchronne. Działasz nielogicznie. Poddaj się, tak będzie łatwiej i mniej boleśnie.

– Już raz mi to pan obiecał – wydyszał Sherlock – i okłamał mnie pan.

Półka skalna była niewiele szersza od jego ciała, ale pobiegł wzdłuż niej, aby poszukać jakiegoś względnie bezpiecznego miejsca. Słyszał gdzieś z boku stukanie pazurów o skałę i chrapliwy oddech odbijający się echem w wąwozie.

Jeśli szybko czegoś nie zrobi, zginie.

Przyciskając się plecami do ściany wąwozu, zerknął w dół. Pod sobą widział biały kapelusz Balthassara.

Pomodliwszy się przez chwilę, by jego domysły na temat pum i ich relacji z Balthassarem były słuszne, skoczył.

Spadł na mężczyznę, przewracając go na ziemię, tak że jego rewolwer pokoziołkował w ciemność. Sherlock próbował poturlać się na bok, ale uderzył lewym barkiem o głaz na dnie wąwozu i jego ciało przeszył okropny ból. Zanim podniósł się na nogi, Balthassar zdążył już wstać. Prawą ręką podtrzymywał lewą. Zdawała się zniekształcona, jakby jego cienkie kości połamały się przy upadku.

Spadła mu porcelanowa maska. Leżała na ziemi kilka stóp dalej, pęknięta na trzy części. Jego obnażona twarz wykrzywiała się w wyrazie czystej nienawiści.

– Dość cackania się! – warknął Balthassar. – Będę patrzył, jak moje zwierzęta żywcem drą z ciebie pasy. – Mniejsze czarne pijawki na jego twarzy wyglądały jak dziury na wylot, przez które widać było ciemne nocne niebo. Balthassar spojrzał gdzieś za Sherlockiem.

– Już są – powiedział i szczerknął trzy słowa w gardłowym języku, którym zwykł się z nimi porozumiewać.

Przewidując, że za chwilę poczuje na plecach ciężar pumy, a jej pazury rozedrą mu ciało, Sherlock zrobił kilka kroków w kierunku Balthassara.

Chudy mężczyzna nie spodziewał się tego. Odsunął się w tył, nadal podtrzymując lewe ramię, ale Sherlock wyciągnął wciąż pulsującą bólem lewą rękę i oderwał czerwoną pijawkę z za ucha Balthassara. Nie dała się tak łatwo odczepić. Na białą marynarkę mężczyzny spadły krople krwi, które wydawały się czarne w świetle księżyca.

Balthassar krzyknął; rozległ się wysoki, cienki wrzask wściekłości i szoku.

Wielka pijawka była miękka i mokra. Zanim Balthassar zdążył cokolwiek zrobić, zanim pumy zebrały się do skoku, Sherlock uniósł nóż i przeciął ją na pół. Zwijająca się i skręcała, zalewając mu rękę krwią Balthassara. Odwrócił się, w każdej ręce trzymając po połówce pijawki, po czym rzucił je w stronę zbliżających się do niego pum.

Sądząc po ich wcześniejszej reakcji, na werandzie Balthassara, Sherlock myślał, że się odwrócą i uciekną w popłochu, ale one go zaskoczyły. Schwyciły połówki pijawki w powietrzu, jakby to były smakowite kąski rzucające w nagrodę, i połknęły je w całości.

Nadal się zbliżały.

Ale nie do niego. Ich wzrok był skupiony na Balthassarze.

Sherlock powoli odsunął się na bok. Pumy nie zwróciły na niego uwagi i wciąż szły w stronę swojego pana.

W dziwny sposób miało to sens. Człowiek, który dotychczas nad nimi panował, teraz był ranny, słaby, a pijawka, której się bały, zniknęła. Jeśli nawet Balthassar do tej pory miał nad nimi władzę, to przestały ją uznawać. Teraz to one przejęły władzę. Nie mógł nic im zrobić.

Balthassar cofnął się. Za nim była krawędź skały. Powiedział coś w języku, którym zwykle wydawał komendy kotom, ale one go

zignorowały.

Sherlock przyglądał się, czując, jak łomocze mu serce i zasycha mu w ustach. Balthassar cofnął się jeszcze o krok, unosząc ręce, żeby odpędzić pumy, ale jego prawa stopa trafiła już poza skraj skalnego nawisu, w powietrze, i z krzykiem spadł w ciemność.

Pumy stały tam przez chwilę, spoglądając w dół, po czym nie patrząc ani na siebie, ani na Sherlocka, odeszły cicho na wzgórze.

Sherlock czekał nieruchomo jakiś czas, aż oddech mu się wyrównał, a ból w ramieniu nieco zelżał. Chyba nic nie złamał. Przynajmniej tyle.

Pumy zniknęły na dobre.

W końcu wrócił do swojego przerażonego konia i uspokoił go, głaszcząc jego boki, aż przestał dygotać. Potem wsiadł na siodło i pojechał dalej, w dół zbocza na równinę.

U stóp wzgórza znalazł ciało Balthassara. Leżało zwinięte i połamane na płaskim kawałku łąki. Pijawki z jego twarzy zniknęły. Może w chwili gdy krew przestała płynąć w jego żyłach, popęzły szukać innej ofiary. Niekoniecznie logiczna decyzja, ale tak nakazywał im instynkt.

Sherlock musiał się zdrzemnąć podczas drogi powrotnej, ponieważ kiedy się ocknął, jego koń kłusował przez przedmieścia, a na horyzoncie niebo robiło się błękitne. Zostawił klacz uwiązaną przed stajnią i poszedł do hotelu. Kaucję odbierze później.

W jadalni nie było nikogo. Ruszył do swojego pokoju. Nikt nie próbował go zatrzymać. Niemal się spodziewał, że ktoś wyskoczy i go napadnie albo że coś rzuci mu się od tyłu na plecy, ale nic się nie wydarzyło. Wszędzie panowały cisza i spokój. Wszedł do pokoju i wsunął się pod koce. Było tak, jakby nic się nie stało. Tak jakby nie wychodził z hotelu, od kiedy dotarł tu rano, po długiej wędrówce przez równiny z domu Balthassara z Mattym i Virginią.

Nic mu się nie śniło, a jeśli nawet, to gdy się ocknął, nic nie pamiętał, i może całe szczęście.

Kiedy się obudził, przez okno wpadało słońce. Leżał przez chwilę, porządkując sobie w myślach minione zdarzenia. Potem ubrał się i zszedł na dół.

Amyus Crowe rozmawiał już w jadalni z dwoma agentami od Pinkertona. Powiedział coś do nich, a gdy wyszli, zbliżył się do Sherlocka.

– Nie widziałem cię od wczorajszego ranka – zauważył. – Miałem dużo roboty z Pinkertonami, ale Matty i Virginia twierdzili, że nie wychodziłeś

z pokoju. Pewnie musiałeś odespać.

– To prawda – przyznał Sherlock.

– Na rękach masz zadrapania, których nie pamiętam z wczoraj.

– Chyba pojawiły się w nocy – zasugerował Sherlock.

– Może. – Crowe dłuższą chwilę patrzył mu w oczy.

– Co się działo? – zapytał Sherlock. – Pojawił się jakieś wieści o Balthassarze i inwazji na Kanadę?

– Atak balonowy na armię konfederatów został odwołany – odparł Crowe. – Ktoś podłożył ogień pod balony. Zapewne jeden ze szpiegów Balthassara. Taka jest w każdym razie oficjalna wersja, a kimże ja jestem, żeby ją podważać?

– Przynajmniej udało się uniknąć masakry – zauważył Sherlock.

– To prawda – zgodził się Crowe. – Minister wojny planował wielkie starcie swoich oddziałów z oddziałami Balthassara, ale jego rozkazy nie dotarły na czas, a ja wykorzystałem okazję, żeby przeprowadzić własny plan. Wykorzystaliśmy Johna Wilkesa Bootha, żeby powiedział armii Balthassara, że ma się rozejść. Potrafi być bardzo przekonujący, jeśli da mu się odpowiednie leki i jeśli wie, że inaczej trafi na szubienicę. Nie sądzę, żeby duża część tych ludzi naprawdę miała ochotę walczyć. Cieszyli się, że mogą pójść do domu.

– A John Wilkes Booth?

– Jeśli chodzi o fakty historyczne, już nie żyje. Człowiek o nazwisku John St. Helen wylądował w przytułku dla obłąkanych w Baltimore. Jeśli będą mu podawać stosowne leki we właściwych dawkach, nie powinno być z nim kłopotów. Do końca jego życia.

– To jak więzienie – ocenił Sherlock.

– W końcu jest zabójcą. To i tak lepsze wyjście, niż sobie zasłużył.

Sherlock skinął głową, nie tyle dlatego, że się zgadzał, ile dlatego, że nie miał ochoty dyskutować.

– A co z nami? Co teraz?

– Teraz – powiedział Crowe – wracamy do Nowego Jorku i kupujemy bilety do Anglii. Zajmie nam to dzień czy dwa. Spędziliśmy tu już wystarczająco dużo czasu. Kocham mój rodzinny kraj, ale podoba mi się życie w Anglii. Poza rozgotowanymi warzywami i budyniami na parze.

– Nie zostaje pan? – zapytał Sherlock niepewnie.

Crowe potrząsnął swoją wielką głową.



– Zbyt wiele roboty czeka na mnie gdzie indziej – odparł. – Tu jest nas dużo, ale w Anglii tylko ja. Mam tam coś do zrobienia. Poza tym obiecałem twojemu bratu, że nauczę cię myśleć logicznie i korzystać ze śladów, a podejrzewam, że jeszcze nie zrobiłem pod tym względem wszystkiego, co mogłem.

Później tego dnia wszyscy czworo – Crowe, Virginia, Sherlock i Matty – pojechali pociągiem do Nowego Jorku, gdzie Crowe kupił dla nich bilety na statek, który za kilka dni odpływał do Anglii. Udało im się nawet ostatniego wieczoru zjeść kolację w słynnym Niblo's Garden – oczywiście ostrygi i wielkie steki – ale Sherlock miał wrażenie, jakby spoglądał na to wszystko z dystansu, bez szczególnych emocji. Tak wiele ostatnio przeszedł, że czuł, jakby coś się w nim wypaliło. Miał nadzieję, że niedługo mu to minie. Nie podobało mu się to uczucie oddalenia od świata.

Widział, że Virginia martwi się o niego. Zerknęła wciąż w jego stronę, gdy jedli, a raz czy dwa dotknęła jego ramienia, ale cofnęła rękę, gdy nie zareagował.

Kilka dni później, na statku, patrząc, jak wybrzeże Nowego Jorku znika w oddali, Sherlock stwierdził, że dygocze, choć grzało słońce i nie było wiatru. Czuł się chory, ale nie wiedział, co mogłoby mu pomóc.

– A więc – usłyszał za plecami znajomy głos – jak tam nowojorska metropolia? Czy udało ci się to, co zamierzałeś?

Odwrócił głowę. Rufus Stone, irlandzki skrzypek, którego poznał podczas rejsu w tamtą stronę, stał obok, oparty o reling. Skrzypce w futerale zawiesił na plecach, długie ciemne włosy opadały mu na kołnierz.

– Myślałem, że zostaje pan w Ameryce – zdziwił się Sherlock.

– No tak – powiedział ze smutkiem Rufus. – Może nie wspominałem, ale tam, w starym kraju, wpadłem w pewne kłopoty, dlatego liczyłem, że wyprawa po bajkowy garnek ze złotem na końcu tęczy będzie dobrym posunięciem, okazuje się jednak, że pewni ludzie przesyłali sobie wiadomości po tej samej tęczy, i kiedy dotarłem na miejsce, ktoś tam już na mnie czekał. – Westchnął. – Kto by pomyślał, że Irlandczycy mają w Nowym Jorku całą siatkę przestępczą, szczelną jak całun na zwłokach?

– A co teraz? – zapytał Sherlock. – Dokąd pan płynie?

– To zależy – stwierdził Rufus, patrząc w wodę. – Czy znasz kogoś, kto bardzo potrzebuje nauczyciela gry na skrzypcach?

– Zabawne – powiedział Sherlock – ale chyba tak.

## POSŁOWIE

I tym sposobem dotarliśmy do końca drugiej przygody młodego Sherlocka Holmesa. Mam nadzieję, że czytało wam się ją równie dobrze, jak mnie ją pisało.

W pierwszej książce Sherlock zaczął uczyć się logicznego myślenia i zwracania uwagi na ślady od genialnego, ale tajemniczego Amyusa Crowe'a. Pokazałem także, że zaczyna się interesować pszczołami i boksem, co jest zapowiedzią umiejętności i zainteresowań, które przejawia później w książkach Arthura Conan Doyle'a (w Znaku czterech na przykład, pewien pięściarz komplementuje Sherlocka słowami: „Oj, pan to zmarnował talent, zupełnie zmarnował... Mógłby pan daleko zajść w naszym fachu”<sup>10</sup>).

W tej książce starałem się wyobrazić sobie, jak i gdzie Sherlock po raz pierwszy uczył się gry na skrzypcach, a także zrekonstruować wydarzenia, które sprawiły, że zaczął się interesować tatuażami (w powieściach Conan Doyle'a będzie umiał rozpoznać, gdzie wykonano tatuaż, tylko po barwnikach w tuszu). W bardziej ogólnym sensie położyłem grunt pod sympatię, którą Sherlock później przejawia wobec Amerykanów i Ameryki (Sherlock mówi w jednej z powieści Conan Doyle'a, że pewnego dnia Brytyjczycy i Amerykanie będą „obywatelami tego samego wszechświatowego państwa, pod flagą łączącą barwy brytyjskie z paskami i gwiazdami”).

Starałem się zadbać o to, by wydarzenia w tej książce były możliwie zgodne z faktami historycznymi. SS „Scotia” naprawdę pływał po Atlantyku, wożąc pasażerów z Liverpoolu do Nowego Jorku, tak samo SS „Great Eastern”. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek płynął z Southampton, czy nie, ale dla celów tej książki uznałem, że przynajmniej raz tak mogło się zdarzyć. „Scotia” wypłynęła w swój pierwszy rejs jako statek pasażerski w 1862 roku pod dowództwem kapitana Judkinsa, a w ostatni rejs – w 1875 roku, i przez jakiś czas do niej należał rekord najszybszego przepłynięcia Atlantyku, ale ze względu na zużycie węgla eksploatacja tego okrętu była nieopłacalna i nie przyniosła Cunard Company, która go zbudowała, spodziewanych zysków. Przez kilka lat używano tego parowca przy układaniu kabli telegraficznych, aż w 1904 roku zatonął u wybrzeży wyspy Guam na Oceanie Spokojnym. Informacje

na temat SS „Scotia” i innych statków pasażerskich kursujących po Atlantyku zaczerpnąłem z następujących książek:

H. Philip Spratt, Transatlantic Paddle Steamers, Brown, Son & Ferguson, 1951.

Stephen Fox, Transatlantic – Samuel Cunard, Isambard Brunel, and the Great Atlantic Steamships, HarperCollins, 2003.

Historia, którą opowiada na pokładzie SS „Scotia” kapitan Judkins, ta o dziwnym, podobnym do ogromnego skoroka stworzeniu, które trzymało się końca kabla transatlantyckiego, kiedy wydobyto go z głębin oceanu, to mój wymysł, ale takie stworzenia naprawdę istnieją. Przerazające, ale prawdziwe. Jeśli mi nie wierzycie, zajrzyjcie na następującą stronę: <http://news.ninemsn.com.au/national/1034874/monster-bug-attaches-itself-to-submarine>

Wielka czerwona pijawka z Borneo, znana naukowcom, w rzeczywistości nie pije krwi, ale zjada wielkie dżdżownice żyjące na tej wyspie. Pijawka, której Duke Balthassar używa do celów medycznych, to, moim zdaniem, gatunek obecnie nieznan, ale biorąc pod uwagę, jak wiele nieznan, gatunków odkrywa się co roku, od owadów do ssaków, całkiem możliwe, że gdzieś tam sobie żyje. Substancja zawarta w ślinie pijawek jest prawdziwa: to tak zwana hirudyna, a pijawek coraz częściej używa się w szpitalach, żeby przeciwdziałać potencjalnie niebezpiecznym zakrzepom u pacjentów po operacjach. Ale jeszcze nie można dostać ich na receptę.

Wielkie gady, które ścigają Sherlocka, Matty’ego i Virginie w menażerii Duke’a Balthassara, to warany. Mogą osiągać kilka metrów długości, mają szybkie tempo metabolizmu w porównaniu z innymi gadami i bywają równie inteligentne, jak małe psy (eksperymenty wykazały, że warany potrafią liczyć do sześciu, chociaż żaden naukowiec dotychczas nie wie, jaki czerpią z tego pożytek).

Układanie pierwszego kabla podmorskiego między Irlandią a Ameryką to jedna z niezwykłych historii dziewiętnastego wieku. Doskonale przedstawia ją następująca książka:

John Steele Gordon, A Thread Across the Ocean – The Heroic Story of the Transatlantic Cable, Simon and Schuster, 2002.

Ferdinand Graf von Zeppelin, którego Sherlock spotyka na SS „Scotia”, opuścił armię niemiecką w 1863 roku i pojechał do Ameryki, gdzie był obserwatorem Północnej Armii Potomaku w wojnie secesyjnej. Co ważne, poznał tam wtedy profesora Thaddeusa Lowe’a, który używał balonów na uwięzi w celach zwiadowczych, by obserwować ruchy oddziałów konfederatów na potrzeby wojsk Unii. Loty balonem nie były dostępne dla cywilów, więc profesor Lowe wysłał von Zeppelina, by odwiedził jego niemieckiego asystenta Johna Steinera, który mógł rozmawiać z nim po niemiecku, bo angielszczyzna Zeppelina była dość kulawa. Właśnie u Steinera von Zeppelin po raz pierwszy poleciał balonem na uwięzi. Zafascynowany możliwościami balonów wrócił do Ameryki w latach siedemdziesiątych, by znów porozmawiać z Lowe’em (choć przesunąłem datę podróży, żeby pasowała do czasu akcji tej książki). Później w Niemczech zaprojektował sztywny balon – sterowiec zwany zeppelinem – który miał przynieść mu sławę.

Wiadomości na temat Nowego Jorku oraz reszty Ameryki w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku zaczerpnąłem z następujących książek:

Transatlantic Crossing – American Visitors to Britain and British Visitors to America in the Nineteenth Century, wybór i red. Walter Allen, William Heinemann, 1971.

Matthew Goodman, The Sun and the Moon – The Remarkable True Account of Hoaxers, Showmen, Dueling Journalists and Lunar Man-Bats in Nineteenth-Century New York, Basic Books, 2008.

Materiały na temat zabójstwa Abrahama Lincolna i jego skutków historycznych uzyskałem z:

Anthony S. Pitch, „They Have Killed Papa Dead!” – The Road to Ford’s Theatre, Abraham Lincoln’s Murder, and the Rage for Vengeance, Steerforth Press, 2008.

Co dziwne, trudno było znaleźć coś na temat amerykańskich kolei w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Przydałaby się mapa albo przynajmniej rozkład jazdy, żeby zobaczyć, ile razy trzeba by się przesiadać, żeby dojechać z Nowego Jorku do Pensylwanii, ale jeśli nawet

takie książki istnieją, to nie udało mi się do nich dotrzeć. Nieliczne informacje na ten temat wyszukałem tutaj:

George Rogers Taylor, Irene D. Neu, *The American Railroad Network, 1861-1890*, University of Illinois Press, 2003.

John S. Reese, *Guidebook for Tourists and Travellers over the Valley Railway From Cleveland to Canton*, przedruk wydania z 1880, The Kent State Press, 2002.

Co dziwne, wielu różnych Amerykanów, niektórzy w porozumieniu z rządem, inni nie, chciało przemocą wyrwać część Kanady z rąk Wielkiej Brytanii. W 1864 roku, podczas amerykańskiej wojny secesyjnej (albo wojny między stanami, jak ją wówczas nazywano), grupa żołnierzy konfederatów przeszła przez Quebec, żeby przyłączyć do Stanów stan Vermont, który był w rękach Unii. W 1866 roku, dwa lata wcześniej, niż toczy się akcja tej książki, grupa Amerykanów pochodzenia irlandzkiego nawoływała do najazdu na Quebec i Ontario, żeby wykorzystać je jako bazę do ataku na Wielką Brytanię w zemście za to, co widzieli podczas okupacji brytyjskiej w Irlandii. Trzykrotnie wysyłali do Kanady zbrojne oddziały – za drugim i trzecim razem około tysiąca ludzi – ale pierwsza próba spaliła na panewce, a dwie następne zostały odparte przez kanadyjskie siły zbrojne. Wiele lat później, w 1896 roku, minister marynarki wojennej H.A. Herbert rozkazał wojsku stworzenie planu zajęcia Wielkich Jezior i St. Lawrence, kiedy wyglądało na to, że spór o granice między Wenezuelą a brytyjską Gujaną może przerodzić się w wojnę między USA a Wielką Brytanią. Na szczęście napięcie osłabło. Gromadząc te informacje, korzystałem między innymi z *The Straight Dope* ([www.straightdope.com](http://www.straightdope.com)).

Tak jak poprzednio, jestem bardzo wdzięczny zarówno potomkom Arthura Conan Doyle'a, że udzielili mi pozwolenia na napisanie tych książek, jak i mojemu agentowi Robowi Kirby'emu i wydawcy Rebecce McNally, za to, że mi to umożliwili.

Kiedy czytacie te słowa, będzie gotowa trzecia część przygód młodego Sherlocka Holmesa. Nic zdradzę ani słówka, o czym opowiada, z wyjątkiem tego, że tym razem Sherlock i jego brat Mycroft być może znajdą się na dalekiej Syberii. A może pojawi się w książce także tajemniczy wielki szczur z Sumatry (opowieść, jak mawiał Conan Doyle, na

którą świat nie jest jeszcze gotowy). Albo jedno i drugie. Jeszcze nie zdecydowałem. Gdy przeczytacie, to się dowiecie.

- 
- <sup>1</sup> CSS – Confederate States Ship – statek Marynarki Wojennej Stanów Skonfederowanych (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
  - <sup>2</sup> Shenandoah to nazwa doliny w stanie Wirginia w USA, gdzie w 1862 roku, podczas wojny secesyjnej, konfederaci stoczyli kilka zwycięskich walk z wojskami Unii.
  - <sup>3</sup> William Szekspir, Król Henryk VI, przeł. L. Ulrich, [w tegoż:] Kroniki tom II, przeł. St. Koźmian, J. Paszkowski, L. Ulrich, Warszawa 1963, s. 373.
  - <sup>4</sup> Pozostawiam miary angielskie, z nadzieją, że pozwolą czytelnikowi lepiej wczuć się w klimat miejsca i epoki. Dla ułatwienia: 1 cal = 0,25 cm = 1/12 stopy. 1 jard = 3 stopy, a 1 stopa = 0,3 metra. Mila to 1760 jardów, czyli 1,6 kilometra.
  - <sup>5</sup> Ale – angielski gatunek ciemnego piwa.
  - <sup>6</sup> SS – Steam Ship (ang.) – parowiec.
  - <sup>7</sup> Hoi oligoi, hoi pdloi (gr.) – arystokracja i plebs.
  - <sup>8</sup> William Sherman i Ulysses S. Grant – dowódcy wojsk Unii podczas wojny secesyjnej.
  - <sup>9</sup> Taka osłona, z tkaniny lub papieru, jest fachowo nazywana flejtuchem.
  - <sup>10</sup> Arthur Conan Doyle, Znak czterech, przeł. Krystyna Jurasz-Dąmbaska, Warszawa, 2008, s. 41.

Przekład: Dominika Cieśla-Szymańska

Redaktor prowadząca: Natalia Sikora  
Redakcja: Andrzej Szewczyk  
Korekta: Joanna Habiera, Małgorzata Denys  
Redakcja techniczna: Anna Gajewska

Opracowanie okładki polskiej na podstawie wersji oryginalnej: Szymon  
Wójciak  
Ilustracja na okładce: Kev Walker i Sam Halley

Skład i łamanie: AdamDabrowski.com

Wydawnictwo W.A.B.  
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5  
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11  
[wab@wab.com.pl](mailto:wab@wab.com.pl)  
[www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

ISBN 978-83-7747-425-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Wydawnictwo W.A.B.](http://Wydawnictwo W.A.B.)  
i Magdalena Wojtas / [Virtualo Sp. z o.o.](http://Virtualo Sp. z o.o.)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow